



**MARCIN NAPIÓRKOWSKI**

**GOSCIŃI**



**GOSCIŃI**

**MARCIN NAPIÓRKOWSKI**



# **G**ościni

©

WYDAWNICTWO LITERACKIE



# Spis treści

Karta redakcyjna

PRZEZ MOST

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.

DZIEŃ PIERWSZY

- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.
- 14.
- 15.
- 16.
- 17.
- 18.
- 19.
- 20.
- 21.
- 22.
- 23.
- 24.
- 25.
- 26.
- 27.
- 28.
- 29.
- 30.

- 31.
- 32.
- 33.
- 34.
- 35.
- 36.
- 37.
- 38.

## DZIEŃ DRUGI

- 39.
- 40.
- 41.
- 42.
- 43.
- 44.
- 45.
- 46.
- 47.
- 48.
- 49.
- 50.
- 51.
- 52.
- 53.
- 54.
- 55.
- 56.
- 57.
- 58.
- 59.
- 60.
- 61.

## DZIEŃ TRZECI

- 62.
- 63.

- 64.
- 65.
- 66.
- 67.
- 68.
- 69.
- 70.
- 71.
- 72.
- 73.
- 74.

## OSTATNIA NOC

- 75.
- 76.
- 77.
- 78.
- 79.
- 80.
- 81.
- 82.
- 83.
- 84.
- 85.
- 86.

## POSTSCRIPTUM

- 1 --
- 2 --
- 3 --
- 4 --
- 5 --
- 6 --
- \* \* \*

Podziękowania  
Przypisy

Opieka redakcyjna: PIOTR TOMZA  
Redakcja: ANNA MILEWSKA  
Korekta: JOANNA MIKA, ANNA RUDNICKA, ANNA SIKIERSKA  
Projekt okładki i stron tytułowych: RAFAŁ KUCHARCZUK  
Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ

© Copyright by Marcin Napiórkowski  
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2023

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07902-7

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.  
ul. Długa 1, 31-147 Kraków  
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40  
księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)  
e-mail: [ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl)  
tel. (+48 12) 619 27 70

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

**PRZEZ MOST**



## 1.

-- Kochani, kochani! Znowu jesteśmy w drodze. Dostaliśmy mnóstwo głosów, że podobał się wam nasz objazd Podkarpacia. Dlatego mamy dla was coś specjalnego. Nie czekaliśmy do kolejnych wakacji, nie czekaliśmy do ferii. Pan Wycieczka z rodziną uprali ciuchy w rewelacyjnej pralkosuszarce Futuron firmy Eltron, przepakowali się błyskawicznie i wyruszyli na kolejną wyprawę. A mieli się do czego przepakować!

Osiem miejsc w trzech rzędach, a do tego pojemny bagażnik. Oto nasz nowy minivan. Ale ma też w sobie coś z SUV-a. Taką terenową zaciętość. Więc może powinienem go nazywać suvanem? Tak, chyba tak go będę nazywał. Suvan! Coś dla tych, którzy nie chcą wybierać między rodziną a przygodami.

Kochani, możecie mieć wszystko, i rodzinę, i przygody. Kupę miejsca i terenowy charakter. My to mamy dzięki uprzejmości sponsora tego sezonu, pana Kostery z Kostera Auto. Dostaliśmy tego pachnącego nowością suvana na dwa tygodnie do testów, ale coś mi mówi, że zostanie z nami na dłużej. Mało pałacy, nigdy się niepsujący: marzenie każdej podróżującej rodziny. Jak kolejny członek rodziny, tylko że nigdy nie marudzi...

-- Do kogo to był przytyk?

-- Osiem miejsc, jak już mówiłem, a w bagażniku...

-- Pytam, do kogo to było o tym marudzeniu?

-- Pięknie! Teraz będę musiał nagrywać od nowa. Przecież wiesz, że nie mam jak tego tutaj zmontować. A nie utnę w połowie zdania. Mieliście być cicho przez trzy minuty. Czy to takie trudne? Trzy minuty. Stać przy wozie i się uśmiechać. Albo siedzieć w środku.

-- W środku jest sauna. Klimatyzacja nie działa przy wyłączonym silniku.

-- Nagrywasz to szósty raz. Za pierwszym razem wszyscy się uśmiechaliśmy.

-- Od godziny stoimy na parkingu przy stacji benzynowej, a ty gadasz do telefonu na kiju o tym, jaki masz fajny samochód. Ludzie się na nas gapią. Mam tego dosyć. Jedziemy w te Beskidy czy wracamy do domu?

-- Czuję, że to się źle skończy. Błagam, zawróćmy, zanim będzie za późno.

## 2.

Od postoju na stacji benzynowej minęła godzina, wypełniona zło-wróźbną ciszą. Odzywał się tylko GPS udzielający lakonicznych wskazó-wek dotyczących kolejnych rond i zakrętów. Jego nie dało się obrazić ani wyprowadzić z równowagi. Polecenia padały coraz częściej, w miarę jak auto oddalało się od trasy ekspresowej, wplątując się w sieć rozgałęzionych dróg i drózek oplatających górzyste tereny Mało-polski.

Niebo niespiesznie, ale systematycznie zaciągało się chmurami. Słoneczny poranek stawał się odległym wspomnieniem. Atmosfera w samochodzie też gęstniała i nawet nowoczesny system klimatyzacji z wentylacją foteli nie był w stanie temu zapobiec. Burza wisiała w po-wietrzu. Pan Wycieczka zaciskał ręce na kierownicy i pogwizdywał przez zęby jakąś zupełnie nieharmonijną melodię, co w jego przypadku stanowiło odpowiednik kłębów dymu wydobywających się z krateru wulkanu. Oczywiście tak naprawdę nie nazywał się Wycieczka. Miał na nazwisko Jaworski, ale ostatnio coraz częściej sam o tym zapominał. Wszędzie rozpoznawano go jako Pana Wycieczkę.

To pseudonim, pod którym był znany od pięciu lat. Pięć lat... Mógłby przysiąc, że znacznie dłużej. Dzień, który zmienił losy ich ro-dziny, wydawał mu się teraz odległy niczym poprzednie wcielenie. Pan Wycieczka jak przez mgłę pamiętał, że w tamtym innym życiu był na-uczycielem historii. Historię lubił. Lubił też o niej opowiadać. Nienawi-dził natomiast tego, że nikt go nie słuchał.

Jego poprzednie wcielenie umarło dwudziestego czwartego czerwca, w pierwszy dzień wakacji. Z perspektywy czasu trudno było nie dopatrywać się w tym symbolu. Kolejny rok szkolny skończył się absurdalną awanturą z rodzicami uczniów z klasy, w której Jaworski miał wychowawstwo. Jak na ironię, poszło właśnie o wycieczki.

Wracał do domu załamany. Od wielu lat nie czerpał satysfakcji ze swojej pracy, ale tamtego dnia poczuł, że to, co robi, nie ma najmniej-

szego sensu. Zderzył się ze ścianą. Mur. Koniec. Droga dawnego życia po prostu nie prowadziła dalej.

I właśnie wtedy, kiedy był przekonany, że gorzej już być nie może, nacisnął klamkę drzwi prowadzących do dwupokojowej klitki, w której się gnieździli, i nagle uświadomił sobie, że są urodziny Marka. Zapomniał kupić prezent własnemu synowi. Jak w koszmarnym śnie.

Było już za późno, żeby zawrócić. Drzwi otworzyły się z głośnym skrzypnięciem. W przedpokoju stał Marek. Dziś wysoki czternastolatek, wtedy rozbijającym drobny chłopczyk w dniu swoich dziewiątych urodzin. Ojciec przywitał go zakłopotanym uśmiechem. Ale syn, zamiast dopytywać o prezent, zaczął po raz kolejny opowiadać o swoich ulubionych youtuberach i mówić, że jest już na tyle duży, żeby założyć własny kanał.

Wówczas nastąpił jeden z tych niezwykłych momentów, które bardzo opiewają w pieśniach. Przebłysk geniuszu, szczęśliwy zbieg okoliczności, interwencja życzliwych bogów. Głosem, w którym brzmiała pewność siebie, jak gdyby od początku miał taki plan, Jaworski zaproponował, że w ramach prezentu przygotują razem film. Ojciec i syn. Pojechali na wycieczkę rowerową, nagrali ją telefonem i wrzucili na YouTube'a. Ludziom się spodobało. Tak narodzili się Pan Wycieczka i jego Wycieczkowa Rodzina.

Spróbowali kolejny raz, potem następny. Okazało się, że są w tym dobrzy. Bardzo dobrzy. Wprawdzie od pewnego czasu nie mogli przemierzać długich pieszych szlaków, bo żona Jaworskiego, Natalia, miała problem z nogą, ale na rodzinnych atrakcjach znali się jak nikt.

Po pięciu latach kanał Pana Wycieczki i jego Wycieczkowej Rodziny śledziło ponad pół miliona widzów. Oznaczało to, że są najpopularniejszym polskim kanałem w segmencie lokalnej turystyki rodzinnej. Nie licząc Podróży z Bobasami. Pan Wycieczka stał na stanowisku, że ta paskudna rodzinka lokuje się raczej w niszy wideoblogów parentingowych, a to zupełnie inna dyscyplina sportu. Poza tym korzystają z nieuczciwej przewagi w postaci uroczych trojaczków. Nikt nie przebiję trojaczków.

A przecież jego rodzina też miała potencjał. Naprawdę miała potencjał! Choć oczywiście nie brakowało jej też problemów. Wszystkie youtubowe rodziny są do siebie podobne, ale każda jest nieszczęśliwa na swój sposób, pomyślał i rzucił szybkie spojrzenie na żonę przeglądającą Facebooka na siedzeniu pasażera. Po prawie dwóch dekadach od ślubu wciąż wydawała mu się atrakcyjna. Początek youtubowej przygody był dla nich jak drugi miesiąc miodowy. Natalii spodobała się nowa, sceniczna persona męża. I to, że wreszcie mogli żyć na poziomie. Hotele, spa, błyskawiczna spłata kredytu. Ale po roku wszystko się zepsuło. Poza kamerą coraz rzadziej rozmawiali. Przytulali się głównie na potrzeby instagramowych zdjęć.

Pan Wycieczka namierzył w lusterku siedzące z tyłu dzieciaki. W drugim rzędzie przycupnęła Marta -- szesnastolatka, przez całe dni wymieniająca wiadomości ze znajomymi, do których w realnym świecie odzywała się nie częściej niż dwa razy w tygodniu. Była szczupła, może nawet chuda, choć Pan Wycieczka nie był ekspertem od BMI ani aktualnych kanonów nastoletniej urody. Marta miała ładne jasne włosy związane z tyłu w kitkę. Chyba najmniej z rodziny lubiła rozpoznawalność, z jaką wiązało się prowadzenie najpopularniejszego kanału o rodzinnych podróżach na polskim YouTube.

W ostatnim rzędzie rozwalił się Marek -- bezpośredni sprawca całego zamieszania. W pierwszych miesiącach to on był głównym pomysłodawcą kolejnych wycieczek i filmów. Internetowa popularność błyskawicznie wyniosła go z pozycji kujona i outsidera do roli szkolnego idola. Trzeba przyznać, że odnajdywał się w niej znakomicie. Jego atrybutami stały się gwiazdorskie ciemne okulary i markowe bluzy z kapturem, spod którego wystawała starannie ułożona grzywka. Był zachwycony, że wszyscy, łącznie z nauczycielami, nie zwracają się do niego inaczej niż per Jutuber. Nieustannie planował ekspansję wycieczkowej marki. To on wymyślił pierwszy poważny kontrakt na lokowanie produktów. A potem stwierdził, że jednak chce zostać gamerem. Tak po prostu. Z dnia na dzień. Wycieczki i filmy przestały go interesować. Dalej wszędzie szukał wyzwań. Dalej całymi dniami układał i udosko-

nalął plany. Ale żądę przygody przerzucił gdzie indziej. Zbierał ekwipunek, rozwiązywał zagadki, wypełniał ściśle tajne misje.

-- Przecież to wszystko jest dla was -- zaczął Pan Wycieczka pojednawczo.

Nikt nie podniósł wzroku znad ekranu. Marek niespiesznie sięgnął do schowka w siedzeniu, wyjął z niego kabel i podłączył go do portu w podłokietniku. Telefon cichym bzyknięciem potwierdził rozpoczęcie ładowania. Był to jedyny dźwięk, jakiego doczekał się w odpowiedzi Pan Wycieczka. Zaczęła się kolejna minuta wypełniona szumem klimatyzacji.

-- Kochani... -- spróbował jeszcze raz.

-- Nie mów do nas "kochani" -- zachnęła się żona i oderwała spojrzenie od niekończącego się łańcucha zdjęć uśmiechniętych ludzi. -- Wiesz, że nie cierpię, kiedy to robisz. Już całkiem zatarła ci się granica między życiem a tymi filmami.

-- Natalia... Ale to naprawdę jest dla was. Dla nas. Przecież wiesz. Robimy to razem, jako rodzina, tak jak się umawialiśmy. Widzisz przecież, o ile lepiej nam się żyje, odkąd przestałem się użerać ze szkołą, a ty z upierdliwymi klientami.

-- Teraz, gdy rozliczam nasze faktury, mam więcej roboty, niż miałam przedtem przy dwudziestu klientach...

-- Przecież to było nasze wspólne marzenie. -- Odwrócił się, żeby popatrzeć na kobietę, którą wciąż kochał, ale coraz mniej rozumiał. Trwało to nie więcej niż trzy sekundy, lecz gdy wrócił spojrzeniem na drogę, było już prawie za późno.

Jadąca z naprzeciwka ciężarówka postanowiła odrobinę ściąć jeden z zakrętów drogi wijącej się pośród wzgórz i zawadziła o ich pas ruchu. Trudno ocenić, co ich uratowało: refleks kierowcy, cudowne systemy zachwalane przez pana Kosterę z Kostera Auto czy dodatkowe sześć centymetrów asfaltu, w które zdecydowały się zainwestować władze gminy Szczurowa. Ciężarówka minęła ich o milimetry. Z odgłosem niepokojąco przypominającym te wydawane przez myśliwce Imperium w *Gwiezdnych wojnach*, pomyślał Marek.

-- Blisko było -- rzucił, nie przerywając gry. -- Lepiej patrz na drogę. Jeżeli rozwalimy ten wóz i zginiemy, Kostera rozkopie nasze groby, wyciągnie to, co z nas zostanie, i zamorduje ponownie. On nie wygląda na człowieka, który łatwo wybacza.

Zatrzymali się na poboczu kilkadziesiąt metrów dalej.

-- Marek ma rację. Patrz na drogę! -- Natalia szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w pustą przestrzeń, przed chwilą wypełnioną pędzącą masą ciężarówki.

-- Byłoby mi łatwiej, gdybyś od czasu do czasu zmieniała mnie za kółkiem. -- Pan Wycieczka postanowił zagrać nieczysto i szybko tego pożałował.

-- To podłe, wiesz? -- Natalia zamknęła oczy, ale wciąż widziała ciężarówkę. -- Jak mogłeś tak powiedzieć?

-- Przepraszam.

-- Wiesz doskonale, że nie prowadzę nie dlatego, że mi tak wygodnie.

-- Naprawdę przepraszam.

Ruszyli dalej. Tętno pasażerów powoli wracało do normy.

-- Ale przygoda! -- Pan Wycieczka chciał zabrzmieć dziarsko, lecz głos uwiązł mu w gardle jakoś w połowie drugiego słowa.

-- Dokładnie tak, jak obiecywałeś -- skomentował nastolatek z tylnego siedzenia. -- Tata zawsze dotrzymuje słowa.

-- Ale przecież mamy przygody. Mamy mnóstwo przygód! -- Jaworski czuł, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli. Może to nie był dobry pomysł, żeby bez konsultacji z rodziną zorganizować kolejny wyjazd dwa dni po powrocie z Podkarpacia? -- W Wysowej są świetne widoki. W Krynicy będziemy mieszkać w niesamowitym miejscu. Będą basen, spa, rewelacyjne jedzenie. Odpoczniecie sobie. Zostawimy tę piekielną maszynę na hotelowym parkingu i pochodzimy po górach. Jeśli mama da radę, możemy nawet przejść na piechotę do tej wieży widokowej ze ścieżką w chmurach. Jest olbrzymia, mówię wam! A w Muszynie mają nowy park sensoryczny.

Cisza. Zero entuzjazmu. Przegrał to.

-- Zdecydowaliśmy się na to razem! -- wrzasnął wreszcie, waląc pięścią w kierownicę. (Chyba nie da się w ten sposób uruchomić poduszki powietrznej, prawda?) -- Wiedzieliście, na co się piszecie!

-- Pisaliśmy się na rodzinę. Na więcej czasu z rodziną. -- Natalia cisnęła telefon do schowka w drzwiach i odwróciła się do męża.

-- Ja na więcej czasu z wami na pewno się nie pisałam -- wtrąciła córka.

-- Miały być nowe wyzwania, a nie Dzień Świstaka, w którym każdy poranek zaczyna się od tej samej awantury o pakowanie walizek -- zgodził się z nią Marek.

-- Miałeś skończyć ze szkołą i z dwudziestoma fuchami. -- Natalia odzyskała głos, gdy nastolatki ponownie zatopiły się w ekranach. -- Miałeś wreszcie skupić się na nas. Zamiast tego non stop siedzisz z komputerem albo z kamerką, albo z telefonem, albo Bóg wie z czym jeszcze, co akurat jest potrzebne do nagrania nowego materiału. Jak nie nagrywasz, to montujesz. Każdy rodzinny obiad musimy powtarzać po trzy razy, bo zdjęcia są nieostre albo frytki krzywo leżały. W środę w gruzińskiej restauracji zażądałeś, żeby obniżyli żyrandol i przesadzili gości przy sąsiednim stoliku, bo miałeś za pusto w kadrze.

-- Wszyscy się na to zgodzili! Z własnej nieprzymuszonej woli!

-- I to jest właśnie najbardziej przerażające, nie? -- odezwał się syn z tylnego siedzenia.

Córka tymczasem zdążyła założyć wygłuszające słuchawki, które skutecznie odcięły ją od czwartej tego dnia rodzinnej awantury. Albo piątej, jeżeli liczyć standardowe spięcie o to, kto zapomniał drugiego kompletu kluczy i który komplet właściwie jest drugi.

-- My już nie mamy normalnego życia -- głos Natalii był cichy i spokojny. Pan Wycieczka poczuł, że to gorsze niż awantura. -- Obiecywałeś nam niekończące się wakacje, ale jest praca bez przerwy. Miało być spontaniczne życie pełne przygód, a my od pięciu lat nic nie robimy spontanicznie. Od pięciu lat w naszej rodzinie nie ma miejsca na normalne uczucia. Wszystko jest zaplanowane przez ciebie albo przez na-



szych "starannie dobranych partnerów biznesowych gwarantujących niezapomniane doznania".

-- Czego chcesz? Czego ode mnie chcesz?! -- wybuchnął, licząc na to, że ona też podniesie głos. Wolałby kolejną kłótnię niż to poważne oświadczenie, które właśnie wygłosiła.

-- Chyba chcę wolności. Chcę nie wiedzieć, co przyniesie jutro. Chcę być zaskoczona czym innym niż liczbą wyświetleń nowego odcinka.

-- Proszę bardzo, podwieźmy tego autostopowicza. -- Pan Wycieczka zwolnił, mijając starego hipisa mocno nadgryzionego przez czas.

-- Świetny pomysł. -- Syn zdążył dostrzec kątem oka zarys sylwetki na poboczu. -- To chyba jeden z tych gości z The Rolling Stones. Jeżeli połączymy nasze zasięgi, to wyjdzie mega kolaboracja.

Pan Wycieczka wdusił pedał hamulca, uruchamiając wszystkie możliwe systemy bezpieczeństwa. Egzotyczne trzyliterowe skróty zabłyśły na tablicy rozdzielczej.

-- Nie, serio. Zabierzmy go. Miał na kartce napisane "Beskid Niski". Jedziemy w tamtym kierunku.

-- Wykluczone! -- Natalia krzyczała.

Pan Wycieczka uśmiechnął się pod nosem. Dopiął swego.

-- A co, jeżeli to psychopatyczny morderca, jak ten facet, którego ostatnio złapali w Krakowie? -- Syn postanowił jeszcze podnieść temperaturę.

-- Nie zaprosisz obcego mężczyzny do samochodu z naszą rodziną! Podziałało.

-- Dobrze, już dobrze -- powiedział Pan Wycieczka pojednawczo i powoli dodał gazu. Sylwetka zawiedzionego mężczyzny we wstecznym lusterku zaczęła się zmniejszać.

I wtedy nagle lunęło. Jak gdyby ktoś odkręcił prysznic. Ciężkie krople załomotały w dach suvana. Uruchomił się zaawansowany, pięciostopniowy system wykrywania deszczu. Wycieraczka zaskrzypiała najpierw na przedniej szybie, potem na tylnej. Zrobiło się dziwnie. Pan

Wycieczka patrzył, jak malejąca figurka mężczyzny kuli się nieco, osłania głowę kurtką, a potem znika za kurtyną ulewy.

-- Głupia sprawa -- skomentował chłopak, pauzując na chwilę grę, co zwiastowało słowa najwyższej wagi. -- Wygląda na to, że teraz naprawdę musimy go podwieźć.

-- Zrobiliśmy mu nadzieję... -- przyznała jego matka.

Wymienili z mężem porozumiewawcze spojrzenia i całkiem nieoczekiwanie uśmiechnęli się do siebie, po raz pierwszy od wielu dni.

-- Otwieram rodzinną naradę -- ogłosiła Natalia Jaworska poważnym tonem i odwróciła się do tylnych siedzeń. -- I od razu zarządzam głosowanie.

Syn i ojciec bez słowa podnieśli ręce. Matka uśmiechnęła się znowu i zrobiła to samo. Pan Wycieczka jeszcze raz gwałtownie zahamował i wrzucił wsteczny.

-- Może jednak nie jest psychopatycznym mordercą? -- skomentował chłopak. -- Czasem pierwsze wrażenie okazuje się mylące.

-- Co się dzieje? -- Marta zdjęła słuchawki, które sprawiły, że ominęły ją ostatnie minuty rozmowy. Z głośniczków wyciekał do kabiny stłumiony lament Billie Eilish. -- Znowu przegapiliśmy skręt?

### 3.

Nowy pasażer nazywał się Heniek. Nie Henryk, ale też nie Henio. I -- brońcie bogowie! -- nie pan Henryk, bo panowie to paskudny relikw z czasów, kiedy ciemżono chłopów. Nie tylko wyglądał na starego hipisa, ale faktycznie był starym hipisem, wiernym duchowi buntu od pięćdziesięciu lat. Tego i wielu innych rzeczy o jego długim i pełnym przygód życiu rodzina Jaworskich zdążyła się dowiedzieć w ciągu następnej godziny podróży.

Heniek rozgościł się w drugim rzędzie, przy funkcjonalnych przesuwnych drzwiach umożliwiających zapakowanie rzeczy o naprawdę dużych gabarytach. Miał skołtunioną brodę i długie włosy związane niebieskawą bandaną. Miejsce między nim a Martą zajmował duży plecak ze stelażem, prawdopodobnie pamiętający lato miłości 1968. O bliżkich i dalekich podróżach pana, który nie chciał być tytułowany panem, i jego wiernego bagażu świadczyły naszywki pokrywające szczelnie calusienki plecaka i płynnie przechodzące na wysłużoną dżinsową kurtkę starego hipisa.

Marek gapił się z tyłu na ten przedziwny przedmiot i jego właściciela, zastanawiając się, czy pod tymi wszystkimi naszywkami w ogóle jest jeszcze materiał. Może ten plecak składa się z samych pamiątek? Jest pozszywany ze wspomnień i przygód? Nieźle. Zastanawiał się przez chwilę, czy on sam za pół wieku będzie mógł się pochwalić takim plecakiem, ale szybko sobie uświadomił, że to niemożliwe. Jego trofea były wirtualne. Zdjęcia, filmiki, wpisy w mediach społecznościowych. Czasem zbierał jakieś punkty albo kody QR. Gdy był mniejszy, kolekcjonował też pieczątki w przewodnikach i książeczkach górskich. Nic, co mogłoby się zmaterializować w przyszłości w postaci podobnej do tego dziwnego plecaka, który na siedzeniu przed nim wciąż jeszcze ociekał z deszczu.

-- Fajny plecak -- skomentował, gdy Heniek przerwał na moment długi wywód o zaletach tradycyjnej medycyny chińskiej. -- Widać, że

kawał świata pan zwiedził. Znaczą zwiedziłeś, bez pan -- poprawił się, zganiony spojrzeniem spod krzaczastych siwych brwi.

-- Gdybyś wiedział, jakie to było zwiedzanie! -- Hipis wykręcił się do tyłu, dając chwilę wytchnienia rodzicom chłopaka, którzy wykorzystali okazję, żeby zachichotać i wymienić porozumiewawcze spojrzenia. Może milczący psychopatyczny morderca nie byłby wcale najgorszą opcją? -- Blisko ziemi, blisko ludzi, blisko natury. Prawie zawsze pieszo, bez pośpiechu. Jeżeli samochód, to tylko autostop, żeby mieć okazję do rozmowy. Jeśli chcesz zrozumieć porządek, który rządzi naszym światem, musisz się zdecydować na bezpośrednie spotkania. Żadnych zapośredniczeń. Technologia oślepia -- zrobił długą teatralną pauzę i wymownie popatrzył na smartfona, którego Marek ścisnął w lewym ręku. Ekran nie zdążył jeszcze zblaknąć po ostatnim sprawdzeniu powiadomień. -- Technologia cię oślepia i ogłusza. -- Ktoś wcisnął niewidzialny przycisk "play". -- Sprawia, że nie czujesz tego, co cię otacza. Lekceważysz sygnały. Nawet te najważniejsze, ostrzegawcze alarmy mówiące o niebezpieczeństwie. Nie słyszysz szmeru w zaroślach, nie widzisz cienia przemykającego na krawędzi pola widzenia... A co najgorsze, nie czujesz, jak przyspiesza ci tętno, ignorujesz gęsią skórę na przedramieniu i pot na skroni. Nie wiesz o tym, o czym twoje ciało już wie. W ten sposób prosisz się o kłopoty. Stajesz się łatwym łupem. To prawo natury, mój drogi.

-- Powinien pan prowadzić własny kanał w internecie! -- włączył się Pan Wycieczka. W jego ustach był to najwyższy komplement.

-- Technologia przytępiła nam instynkt -- ciągnął hipis, jak gdyby nie usłyszał komentarza kierowcy. A może wręcz przeciwnie? Może właśnie na niego odpowiadał? -- Instynkt był naszą jedyną bronią w starciu z naprawdę groźnymi siłami. Ekran czynią nas łatwym łupem. Przez nie wpadamy w pułapki.

-- Nie generalizowałbym. -- Pan Wycieczka przełączył się teraz w tryb starego belfra. Zapowiadała się długa, nudna dyskusja. Korepondencyjny mecz szachowy oldbojów, bez szans na szybkiego mata. Marta, przez chwilę zaniepokojona obecnością nowego pasażera zaled-

wie pół metra od siebie, teraz z powrotem założyła słuchawki, uznawszy go za zjawisko dziwaczne, lecz nieszkodliwe. Jaworski odchrząknął, przygotowując się do kontrataku. -- Rewolucja technologiczna dała nam postęp medycyny, lepsze warunki życia, więcej czasu wolnego...

-- To zależy, jak definiujemy wolność. -- Stary hipis się skrzywił.

-- Dała nam też to! -- Natalia postanowiła włączyć się do rozmowy, nim mężczyźni poruszą temat 5G i szczepionek. -- Wspaniały GPS, dzięki któremu wiemy, że dokładnie za trzydzieści siedem minut będziemy w Wysowej, a po drodze nie ma żadnych korków.

To był błąd.

-- Przez to... -- Hipis spojrział przed siebie z taką pogardą, jak gdyby na kokpicie suvana zamiast wspaniałego jedenastocalowego ekranu spoczywała psia kupa, niesprzątnięta przez złośliwego właściciela rafterka. -- Przez to, moja droga, straciłaś resztki orientacji w terenie. Zgubisz się w drodze z kibla na kanapę, jeżeli gadający zegarek nie udzieli ci odpowiednich wskazówek.

Ekran z mapą pociemniał, przełączając się w tryb nocny. Nie dlatego, że GPS usłyszał pogardliwe słowa Heńka -- choć wiadomo, że Google podsłuchuje nasze rozmowy. Po prostu zbliżał się wieczór, a nawalnica wciąż przybierała na sile. Suvan przedzierał się teraz z mozołem przez strugi wody z prędkością nie większą niż czterdzieści kilometrów na godzinę. Nawet automatyczny system walki z deszczem nie dawał rady. Z każdą minutą czas dotarcia do Wysowej wydłużał się zamiast skracać.

-- Widzisz cokolwiek? -- zapytała Natalia z niepokojem.

Pan Wycieczka nie odpowiedział. Wychylony do przodu, śledził pilnie meandry górskiej drogi.

-- Dostępna jest szybsza trasa! -- ogłosił triumfalnie GPS, najwyraźniej niezrażony grubiańskimi uwagami autostopowicza, i czas dotarcia do Wysowej skrócił się o kilka minut.

-- O, proszę bardzo! Technologia właśnie oszczędziła nam siedem minut życia -- ucieszył się Pan Wycieczka i ostrożnie skręcił na rozjeź-

dzie wskazanym przez nawigację.

Droga biegła przez chwilę w dół, potem ostro w górę (suvan faktycznie okazał się bardzo dzielny), a później GPS zalecił kolejny zakręt.

-- Tutaj! Tutaj! -- Cała rodzina włączyła się w prowadzenie. -- Prawie przegapiłeś.

Zjechali z asfaltu na szutrową drogę wiodącą przez gęsty bukowy las.

-- Skrót! -- ucieszył się Pan Wycieczka.

Teraz wokół nich było już zupełnie ciemno. Automatyczny system zareagował włączeniem świateł drogowych, co niezbyt poprawiło sytuację. Rozmowa o technologii, naturze i sensie życia ucichła.

Kolejny zakręt. Tym razem z szutrowej drogi mieli zjechać na nieutwardzony leśny dukt. Pan Wycieczka włączył kierunkowskaz i się zawahał. Wąska dróżka prowadziła w czarny tunel między drzewami i jeżeli dobrze widział, wiała się wzdłuż sporego strumienia wezbranego z powodu ulewy.

-- Na pewno damy radę tędy przejechać? -- zapytała wreszcie Natalia. -- Trochę się boję... -- dodała, mając nadzieję, że stworzy mężowi okazję do wycofania się z honorem.

Efekt okazał się przeciwny do zamierzonego.

-- Będzie idealna okazja do przetestowania suvana! Włączamy wideorejestrator. I jedna kamerka na wewnątrz. Uśmiech, kochani! Nasz suvan ma napęd cztery na cztery i naprawdę wysokie zawieszenie. Przekonamy się, jak się sprawuje w warunkach terenowych.

Jechali krętą dróżką wzdłuż strumienia przecinającego las. Drzewa dookoła były bardzo stare i bardzo mokre. Smugi światła reflektorów stanowiły jedyny blask w promieniu wielu kilometrów. Leśna droga robiła się coraz węższa i coraz bardziej zarośnięta. Dwie wyraźne koleiny ustąpiły miejsca czemuś, co przypominało ścieżkę wydeptaną przez ludzi i zwierzęta, ale odstęp między drzewami wciąż pozwalał na swobodny przejazd samochodu.

-- Jeszcze ze dwa zakręty i powinniśmy znowu wyjechać na asfaltówkę -- powiedział Pan Wycieczka bez przekonania i trochę nie wia-

domo do kogo. -- Może trzy.

Ale po trzech zakrętach natrafili na most.

## 4.

W zasadzie to nawet nie był most. Raczej mostek.

Pan Wycieczka stał na deszczu obok samochodu i próbował ocenić sytuację. Rachityczna drewniana konstrukcja była zawieszona nad zaskakująco głębokim jarem wypełnionym ryczącą złowróźnie masą wody. Reflektory porządnie oświetlały most i nigdzie nie było widać spróchniałych desek ani innych pułapek. Jednak światło padało tak, że strumień w dole pozostawał w całkowitej ciemności, co przydawało grozy przeprowie. Niestety i tak nie mieli wyjścia -- na rozmięklej ścieżynce w całkowitym mroku nie mogli przecież zawrócić.

-- Strumień wydaje się głębszy i szerszy, niż jest w rzeczywistości. A most jest solidny. Nie ma się czego bać -- zawyrokował Pan Wycieczka, wracając do suvana. Otrzepał się jak pies. -- Niewiarygodna ulewa. Minuta na zewnątrz i jestem przemoczony do suchej nitki.

Dźwięk uruchamianego silnika został błyskawicznie zagłuszony przez ulewę. Maszyna z grupką pasażerów rozpoczęła niespieszną przeprawę przez rzekę. Koła najpierw buksowały na wyslizganym drewnie, ale potem suvan poruszał się już bezszelestnie. Wszyscy oprócz kierowcy wpatrywali się w ciemność za bocznymi szybami, na próżno usiłując dostrzec huczącą w dole wodę. Pan Wycieczka z kolei wbijał wzrok w czerń przed sobą, w myślach powtarzając życzenie, by mostek faktycznie okazał się przystosowany do ruchu samochodowego.

Nie stało się nic szczególnego. Nie trzasnęła żadna przegniła deska, konstrukcja się nie zachwiała, koła nie obsunęły się na omszałym drewnie. Samochód z gracją prześlizgnął się po lekkim łuku, zachowując bezpieczny dystans kilku centymetrów od spróchniałych barierek znaczących krawędzie mostku.

Byli po drugiej stronie.

-- A nie mówiłem? Jeszcze dwa zakręty i będziemy znowu na asfalcie. -- Ośmielony Pan Wycieczka dodał nieco gazu. -- Ta maszyna pokona każdą przeszkodę!



I właśnie wtedy rozległo się posępne, miarowe dudnienie gdzieś w okolicach prawego przedniego nadkola. Mniej więcej tam, gdzie Natalia trzymała nogi.

-- Gałąź zaczepiła się nam o... ramę podwozia -- oświadczył Pan Wycieczka. Chciał zabrzmieć jak ekspert z kanału motoryzacyjnego. Zabrzmiał jak bardzo zmęczony turysta.

Dudnienie przybrało na sile i pasażerowie odnieśli wrażenie, że zmienił się też dźwięk silnika. Pracował teraz z większym wysiłkiem.

-- Ta gałąź chyba się jakoś wkręciła w koło -- kontynuował bez przekonania Pan Wycieczka.

-- Ale możemy z tym jechać dalej? -- spytała Natalia.

-- A skąd mam wiedzieć? -- warknął kierowca. -- Nie jestem mechanikiem. Trzeba by wysiąść i zobaczyć...

Ale na zewnątrz niewiele było widać. Koło wyglądało zwyczajnie. Jak koło. Próby świecenia pod auto latarką wbudowaną w telefon też nie ujawniły żadnych anomalii. Ulewa trwała w najlepsze.

Pan Wycieczka po raz drugi w ciągu dziesięciu minut wrócił przemoczony do auta.

-- Nic nie widać. Trzeba gdzieś zadzwonić, spytać kogoś, kto się zna. Albo sprawdzić w internecie.

I wtedy wydarzyło się to, co musiało się wydarzyć.

-- Nie ma zasięgu -- oznajmił rzeczowo syn.

-- Nic. Zero kresek -- potwierdziła córka, która w związku z powagą sytuacji zdjęła nawet słuchawki.

-- No to ostrożnie podjedziemy kawałeczek do najbliższych zabudowań -- zdecydował kierowca. Odpalił silnik i lekko dodał gazu.

Dudnienie nie ustało, a nawet wzbogaciło się o tony zgrzytające i chroboczące. Przy akompaniamencie konającej techniki minęło kilka kolejnych minut. Potem ścieżka nieco się rozszerzyła i znów rozdzieliła na dwie wyraźniejsze koleiny.

-- Widzę światła! To jakiś budynek -- zawołała Natalia.

Trzy minuty zgrzytania i dudnienia później zmęczony suvan dotoczył się przed niewielki domek, czujnie przyczajony na krawędzi lasu.

-- Mam nadzieję, że to nie chatka więdźmy. -- Marek nieufnie lustrował niepozorną bryłę wyłaniającą się z ciemności.

Jak gdyby ktoś go usłyszał. Drzwi domku się uchylili, wypuszczając na zewnątrz smugę blasku, w której zalśniły krople deszczu. W tej smudze ukazała się szara postać w pospiesznie narzuconej pelerynie z kapturem.

-- Kogo przyniosło w taką ulewę? -- głos zdradzał starszego mężczyznę. Przynajmniej nie była to więdźma.

-- Jechaliśmy do Wysowej i chyba trochę zgubiliśmy drogę. -- Pan Wycieczka wysiadł z suvana prosto w kałużę. Rozległo się chlupnięcie i błoto zassało sportowy but. -- W dodatku wygląda na to, że mamy jakiś problem z samochodem.

Mężczyzna w kapturze przekrzywił głowę, jak czynią to niektóre gatunki ptaków, i przez chwilę przyglądał się im w milczeniu.

-- Wchodźcie, wchodźcie -- przemówił wreszcie. Jego głos był dźwięczny i wyraźnie słyszalny mimo kaptura i ulewy łomocącej bez opamiętania o dach auta. -- Zaraz opowiecie, ale nie na deszczu.

-- Wysiadamy! -- zarządził Pan Wycieczka. -- Ogrzejemy się trochę i zadzwonimy po mechanika.

-- Dużo was tam? -- Mężczyzna obrzucił suvana zaciekawionym spojrzeniem.

Pozostałe drzwi otworzyły się jak na komendę i kolejne osoby opuściły pojazd. Każdemu wysiadającemu towarzyszyło pluśnięcie. Mężczyzna w pelerynie ujął Natalię pod ramię i zaczął ją prowadzić w kierunku wciąż uchylonych drzwi.

-- Mamo, nie zapomniałaś o kimś? -- Marek odchrząknął, wskazując na czterolatkę ze ślicznymi jasnymi loczkami. Śpiąc słodko w foteliku zamocowanym w ostatnim rzędzie siedzeń, dziewczynka przegapiła całą kłótnię, monolog autostopowicza, a nawet przygodę na mostku.

-- Obudzi się dopiero na kolację. Cała Marysia! -- Ojciec wyjął śpiące dziecko z fotelika. Córeczka natychmiast wczepiła się w niego jak mały koala.

-- Prawie zrobiłaś Kevina, mamo! -- ironizował nastolatek, wyciągając swój podręczny plecak z samochodu. -- Kevin, zapomnieliśmy o Kevinie!

Jaworscy i autostopowicz po kolei znikali w domku. Wreszcie drzwi się zamknęły, odcinając smugę światła wydobywającego kontury sprzętów leżących na podwórzu. Po chwili zgasły też sterowane automatycznym systemem reflektory suvana, który -- jak przystało na wiernego towarzysza podróży -- mimo odniesionych ran oświetlał swoim pasażerom błotnistą drogę do domu. Podwórze znowu skryło się w mroku. Kilkanaście sekund później przestało padać.

## 5.

Domek na skraju lasu należał do kota oraz pary starych ludzi. Jaworskim trudno było ocenić ich wiek, bo na wsi czas płynie jakoś inaczej. Szczególnie dla cery, pomyślała Natalia, patrząc na suchą jak pergamin skórę na twarzy gospodyni. Kobieta mogła mieć siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt lat, a może i więcej. Na jej policzkach, skroniach i czole tysiące uśmiechów i zdziwień zapisały się w postaci gęstej sieci drobnutkich zmarszczek. A jednak oczy, które przyglądały im się z tego spletanego gąszczu wspomnień, wydawały się wciąż pełne życia. Natalia z trudem oderwała wzrok od staruszki i rozejrzała się po izbie.

Główne miejsce zajmował w niej długi drewniany stół, nad którym zwisało kilka pęków ususzonych ziół. Pod ścianą przycupnął piec z kuchnią opalaną drewnem, jaki dziś można zobaczyć tylko w skansenach albo w filmie o kocie Filemonie. W kącie izby buczała okazałych rozmiarów lodówka, która do skansenu wprawdzie jeszcze się nie nadawała, ale PRL pamiętała na pewno. To wewnątrz było pocztówką z zapomnianego świata. Jak jeden z tych fascynujących artefaktów, które znajduje się czasem na pchlim targu albo na dawno niesprzątanym strychu. Zawieszony gdzieś pomiędzy historią a współczesnością - - jeszcze nie zabytek, ale już nie zwyczajny dom. Pan Wycieczka miał ochotę wyciągnąć telefon i zacząć filmować.

Sześcioro przybyszów stłoczyło się nieśmiało w wejściu. Rodzice z przodu (Jaworski wciąż z młodszą córeczką na rękach), potem dwoje starszych dzieci, a na końcu Heniek, z zachwytem chłonący każdy detal chatki. Naprzeciw nich stało dwoje gospodarzy, którzy chyba nie bardzo wiedzieli, co powiedzieć. Kot czaił się o krok za nimi, gotów w każdej chwili zaatakować lub czmychnąć.

-- Głodna jestem -- powiedziała Marysia i otworzyła oczy. Tym przystarym zaklęciem momentalnie zdjęła urok z dwóch grup istot mierzących się wzrokiem.

-- Dziecko trzeba nakarmić. -- Stara kobieta obdarzyła przybyszów uśmiechem, zapisując kolejne mikroskopijne linie na mapie swych

zmarszczek. -- Co tak stoicie i kapiecie? Rozbierajcie się, siadajcie.

Goście zaczęli odważnie rozglądać się po wnętrzu. Sędziwi gospodarze podeszli, by odebrać od nich mokre okrycia. Czarny kocur, który krył się dotychczas za nogami staruszków, najwyraźniej ocenił turystów jako nieinteresujących lub niejadalnych, bo dał imponującego susa na piec.

Staruszkowie okazali się niezwykle gościnni. Nie chcieli nawet słuchać, gdy przybysze próbowali odmówić poczęstunku. Przemoczone kurtki i bluzy zawisły przy piecu, a Jaworscy z Heńkiem zostali posadzeni za stołem, na którym lądowały kolejne przysmaki. Świeżutki chleb, smalec, pyszny twaróg doprawiony jakimś ziołem, którego smak Pan Wycieczka skądś kojarzył, ale nazwy nie mógł sobie przypomnieć.

-- Przepraszam, ja zrobię temu wszystkiemu zdjęcie, dobrze? -- zapytał wreszcie.

Gospodarze popatrzyli na siebie z zakłopotaniem.

-- Po co zdjęcie? -- zdziwiła się kobieta. -- Ot, zwykła kolacja. Co tam mieliśmy.

-- Fotografujesz, zamiast jeść -- wtrącił się hipis, przeżuwając gigantyczny kęs kielbasy. -- Omija cię przez to połowa przyjemności.

-- Gdybym wiedziała, że goście przyjdą, pierogów bym nalepiła! -- tłumaczyła się gospodyni.

-- Proszę pani, wszystko jest naprawdę pyszne. -- Marta po chwili wahania sięgnęła po kolejną kromkę chleba.

-- Nawet Marta wszystko pożera jak potwór! -- zauważyła mała Marysia, wskazując palcem starszą siostrę. Całą buzię miała umorusaną konfiturami.

-- Widać, że z drogi. Głodni -- uśmiechnął się gospodarz.

-- A mogę się potem pobawić z kotkiem? -- spytała Marysia, patrząc na zwierzątko wygrzewającego się na piecu.

-- Jeżeli tylko on sam ani jego właściciele nie będą mieli nic przeciwko -- zgodziła się matka.

-- Wspaniale! -- Dziewczynka aż podskoczyła. -- Kocham was kocio, mamó i tato!

-- To z jej ulubionej książeczki -- wyjaśnił Pan Wycieczka.

-- Kiedyś Marek ciągle powtarzał ten tekst -- włączyła się jego żona.

-- To była jego ukochana lektura. Teraz Marysia robi dokładnie to samo.

-- Przestało padać -- zauważył Pan Wycieczka ze zdziwieniem. Jeszcze pół godziny wcześniej wyglądało na to, że Bóg zaplanował czterdzieści dni ulewy i kolejny potop. -- Ma pan może jakąś porządną latarkę? Zobaczyłbym, co z tym cholernym samochodem.

-- Pójdę z panem. -- Gospodarz sięgnął po ogromną latarkę, jedną z tych uwielbianych niegdyś przez harcerzy machin, do których wkładało się po sześć baterii, wielkich jak beczki.

-- To ja też -- zaoferował się Heniek, gwałtownie odsuwając krzesło od stołu. -- Może się na coś przydam.

Wyszli na dwór. Chmury zaczęły się rozstępować, a spomiędzy nich wyzierały pojedyncze gwiazdy. Samochód wyglądał normalnie. Był tylko niemiłosiernie ubłocony. Koło było na swoim miejscu, ustawione prosto, nadkole też nie wzbudzało podejrzeń. Mężczyźni krzątali się przez chwilę dookoła, wymieniając bezsensowne uwagi. Gospodarz cierpliwie im przyświecał.

-- Chyba fachowiec będzie musiał rzucić na niego okiem -- stwierdził wreszcie Pan Wycieczka. -- Jest tu może w pobliżu jakiś warsztat?

-- Warsztat? -- zapytał staruszek. -- Tutaj mam warsztat.

Wskazał kościstą dłonią na szopę, przed którą leżało kilka rozebranych maszyn rolniczych niewiadomego zastosowania. Jaworski pobladł.

-- Żartuję, żartuję -- zaśmiał się staruszek i poklepał go po ramieniu z zaskakującą siłą. -- Z rana Żmihorski rzuci okiem na ten wasz wózek. Ma warsztat niedaleko. A na noc zostanieie u nas.

-- U państwa? -- Pan Wycieczka uświadomił sobie, że nie mają innego wyjścia. -- Nie chcielibyśmy robić kłopotu.

-- Żaden kłopot. -- Sędziwy gospodarz pokręcił głową i gestem zaprosił ich z powrotem do środka. -- Łóżko się znajdzie.

## 6.

Kiedy Pan Wycieczka wrócił do izby, jego rodzina odeszła już od stołu. Trójka dzieci bawiła się w najlepsze z kotem gospodarzy. W pierwszym odruchu Jaworski chciał zabrać syna, który miał lekkie uczulenie na sierść, ale wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenia z żoną, zrezygnował z tego. Niech się pobawią.

-- Chętnie zostaniemy na noc. Bardzo dziękujemy. Nie robilibyśmy państwu kłopotu, ale wygląda na to, że naprawdę nie mamy innego wyjścia.

-- Przydałoby się tylko jakoś porozumieć ze światem zewnętrznym... -- przypomniała Natalia.

-- Może telefon? -- zaproponowała nieśmiało starsza pani.

-- Nie ma zasięgu. -- Pan Wycieczka wyjął swój aparat i postukał palcem w ekran.

-- Nie ma? -- zdziwił się gospodarz i wyciągnął z kredensu zabytkową nokię. Przyjrzał się jej badawczo, popukał w ekran. -- Pewno przez nawałnicę. Zaraz włączą.

Marek Jaworski przerwał zabawę z kotem i popatrzył na telefon gospodarza. Był stary, ale to zawsze telefon. Czyli jednak nie przenieśli się w czasie. Tę hipotezę można odrzucić. Spojrzał z powrotem na kota. Też wyglądał na starego. Jedno oko pokrywały błona i coś przypominającego strupy. Futerko tu i ówdzie miał przerzedzone, a na końcu ogona jaśniała niewielka biała pręga. Ilekroć zwierzak wykonał gwałtowny ruch ogonem, ciągnęła się za nim świetlista smuga.

-- Jak ma na imię? -- Chłopak wyciągnął rękę i podrapał zwierzę za uchem.

Kot wydobył z siebie basowy pomruk, przypominający nieco rżenie uszkodzonego suvana.

-- Nie ma imienia. -- Starszy pan wydawał się zakłopotany pytaniem. -- Wołamy go "kot".

-- A wiecie, że w dawnych czasach często tak było? -- włączył się do rozmowy ojciec Marka. -- W niektórych kulturach nadal tak jest.

Imiona w wersji, która wydaje się nam taka oczywista, to bardzo współczesny i zachodni wynalazek. Przywiązanie do imion i potrzeba nazywania każdej rzeczy oddzielnie to efekt indywidualizmu. Dla ludzi z innych kultur ważniejsze jest to, do jakiej rodziny albo jakiego rodu należysz, czyim jesteś synem lub mężem. Albo czym się zajmujesz. W niewielkich społecznościach rolniczych ludzi często określały wykonywane zawody czy specjalizacje, jeżeli jakieś mieli. Ej, kowalu, chodź no tutaj! -- Pan Wycieczka w trybie belferskim wchodził na coraz wyższe obroty i chyba nic nie mogło uratować rodziny przed kolejnym odcinkiem poświęconym kulturowym ciekawostkom.

-- Niektórych istot po prostu lepiej nie nazywać... -- wtrącił cicho stary gospodarz.

-- O, tak, tak! -- Pan Wycieczka nie zwrócił uwagi na znaczący ton mężczyzny. -- Na przykład zwierząt domowych. Albo dzieci. Wiecie, że w niektórych kulturach potomstwu nie nadawano imion aż do ukończenia trzeciego czy piątego roku życia? Dawniej choroby zakaźne zabijały znaczną część dzieci i lepiej było się nie przyzwyczajać. Bywało też tak, że maluchowi nadawano imię tymczasowe. Albo specjalnie nazywano go fałszywym imieniem, żeby zmylić demony czy duchy odpowiedzialne za chorobę. Ślady tych wierzeń znajdziecie w powieściach Ursuli Le Guin. A my? Pojawia się dziecko i natychmiast musimy się do niego zwrócić jakimś imieniem. Często robimy to, jeszcze zanim się urodzi. Dziecko bez imienia, to byłoby strasznie dziwne. Tak samo z domowym kotem...

-- Tato... -- włączyła się Marta, gdy tylko ojciec zrobił dłuższą pauzę na oddech. -- Wiesz, że od dziesięciu minut nikt cię nie słucha? Nagrywania w telefonie też nie włączyłeś. Mówisz sam do siebie.

Pan Wycieczka się roześmiał, a pozostali razem z nim. Spłoszony kot rozejrzał się w poszukiwaniu źródła nagłego rozbawienia, po czym wykonał skok godny swych dzikich przodków i znalazł się z powrotem na piecu.

-- Pan Kot też ma na imię Kot. Tak jak ten -- zauważyła Marysia.

-- To postać z książeczki -- wyjaśniła Natalia, głaszcząc córeczkę.



-- Poczytamy dziś o Panu Kocie na dobranoc? -- dopytywała Marysia.

-- Dziecko przypomina, że już późno. -- Gospodyni poderwała się z drewnianego zydła. -- Przygotuję pokoje na górze. Mała z państwem, starsze dzieciaki w drugim, a dla pana będzie trzeci. -- Spojrzała na starohipisa. -- Malutki, ale to jedna noc...

-- Ja mogę się rozłożyć choćby i pod tym stołem -- zapewnił Heniek. Był tak zachwycony chatką i gospodarzami, że zrezygnował nawet z poprawienia staruszki, która tytułowała go panem.

-- Naprawdę nie chcielibyśmy państwu robić kłopotu... -- Natalia wciąż czuła się skrepowana tą gościnnością.

-- Żaden kłopot. -- Staruszka była już w połowie schodów prowadzących na górę. -- Pokoje gotowe. Akurat nie ma gości.

-- No to mieliśmy szczęście, że trafiliśmy tutaj -- ucieszył się Pan Wycieczka. -- Oczywiście z przyjemnością zapłacimy za gościnę.

-- Oczywiście, oczywiście... -- mamrotała staruszka, krzątając się na piętrze.

-- Skoczę do samochodu po bagaże. -- Pan Wycieczka sięgnął do kieszeni po kluczyki.

-- Pomogę ci. -- Heniek wstał od stołu i razem wyszli przed domek.

Teraz można było lepiej ocenić jego rozmiary. Paliły się światła w pokojach na piętrze i budynek nie wydawał się już tak mały jak poprzednio.

-- Wygląda na to, że starsi państwo prowadzą tu coś w rodzaju agroturystyki -- zagadnął Pan Wycieczka, otwierając bagażnik unieruchomionego suvana. -- Mieliśmy szczęście, że na nich trafiliśmy. Niezła przygoda, co?

-- Przygody to mój żywioł -- odpowiedział Heniek. -- W zasadzie przygody to naturalny żywioł nas wszystkich. Jesteśmy gatunkiem stworzonym do przygód. Do walki o przetrwanie, poszukiwania nowych terenów, rywalizacji o zasoby. Życie bez przygód to dla nas coś nowego i nienaturalnego. Strach, zasadzka, atak -- to jest w naszym DNA. Walczyć albo uciekać. Mamy to głęboko wdrukowane w mózgi.

Dlatego współczesny człowiek szuka sobie zastępczych przygód. Narkotyki, skoki na bungee, czytanie horrorów, zakłady bukmacherskie, giełda... To tylko substytuty, które pomagają zachować względną normalność, podczas gdy głos w głębinach mózgu ryczy, domagając się adrenaliny, żądając walki lub ucieczki.

-- Ciekawa teoria -- zauważył uprzejmie Pan Wycieczka, wypakowując kolejne torby.

-- Sporo tego macie. -- Heniek był przygotowany na pokaz konsumpcyjnego stylu życia, ale na pewno nie na coś takiego. Jaworscy mieli ze sobą co najmniej dwadzieścia bagaży różnej wielkości. Hipis pokręcił głową, po czym wrócił do swojego wyводу: -- To wcale nie teoria. To coś dokładnie przeciwnego do teorii. Coś, co wynika z ciała i jego najgłębszych instynktów.

Pan Wycieczka schwycił ciężki pakunek i zaczął go targać w kierunku domu. To natychmiast skłoniło Heńka do wzięcia dwóch toreb naraz. Zawiesił po jednej na każdym ramieniu i chwiejnym krokiem powlókł się za Jaworskim, kontynuując monolog.

-- W twojej głowie pojawia się głos, który mówi dokładnie to samo. To głos potrzeby przetrwania, która teraz jest uśpiona. Nie ma co robić w bezpiecznym, wygodnym świecie. Spójrz na tę ścianę lasu za nami. Popatrz chwilę w tę ciemność, posłuchaj jej. Twoja wyobraźnia natychmiast zaludni ją potworami. Oczywiście twój rozsądek, ta wierzchnia warstwa mózgu przystosowana już do technologii, zaraz ci wyjaśni, że nie ma się czego bać, bo w ciemnym lesie wcale nie czają się potwory. Dowcip polega na tym, że to wyobraźnia ma rację.

Położyli torby na ganku i wrócili po kolejne. Jaworski zabrał trzy naraz i Heńkowi nie pozostało nic innego, jak tylko wyrównać jego rekord.

-- Rację mają dzieci, które boją się potwora spod łóżka, a nie ich rodzice -- ciągnął stary hipis, coraz bardziej zdyszany. -- Bo świat jest pełen potworów. Ty i ja, mój przyjacielu, mieszkamy na polanie wyrąbanej przy użyciu technologicznej maszynerii w środku ciemnego lasu.

Ale dookoła wciąż rozciąga się puszcza. Chaos, w którym liczy się tylko to, czy umiesz się obronić lub zaatakować w odpowiednim momencie.

Rzucili torby na stertę rosnącą na ganku i po chwili znów stali przy samochodzie, próbując złapać oddech i wyłowić z bagażnika w miarę lekkie pakunki, nim złapie je ten drugi.

-- I ta puszcza... wcześniej czy później... upomni się o nas wszystkich.

Kłębiąca się wokół noc najwyraźniej usłyszała słowa hipisa, bo gdzieś w oddali, za domkiem starszych państwa, rozległ się dziwny chrobot. Pan Wycieczka wyprostował się gwałtownie i uderzył głową o uniesioną klapę. Pod wieczorne niebo wleciało kilka stłumionych słów nieprzeznaczonych dla uszu publiczności poniżej osiemnastego roku życia, po czym obaj mężczyźni znieruchomieli, nasłuchując uważnie.

-- To gdzieś stamtąd -- wyszeptał Pan Wycieczka i sam się zdziwił, że szepce. -- Pewnie jakieś zwierzę gospodarskie -- dodał już normalnym głosem.

Hipis położył palec na ustach. Z oddali dobiegła kolejna fala chrobotania i skrzypienia. To z pewnością nie były krowa ani koń. Hałas przybrał na sile, po czym się urwał. I nagle... Nad lasem, ciemnością, chatką i wszystkimi strachami, o których tak przekonująco opowiadał Heniek, poniósł się donośny dźwięk popularnej pieśni disco polo odtwarzanej z głośnika niskiej jakości.

-- Oszalaaaaałem! -- ogłaszał znany wokalista.

Pan Wycieczka zaczął się śmiać. Zanosił się śmiechem ponad minutę. Odreagowywał bliskie spotkanie z ciężarówką, drogę przez las, mostek, zepsuty samochód i nagłą zmianę planów.

Disco polo. Więc jednak nie byli na zupełnym odludziu. Pokręcił głową z rozbawieniem, zatrzasnął bagażnik i powlókł się z powrotem do domku, dzierżąc w każdej ręce po dwie absurdalnie ciężkie torby. Dla Heńka została tylko jedna. Zwycięstwo Jaworskiego było niepodważalne.

Tymczasem w ciemnościach za domem, pod osłoną swojskiej pio-  
senki, trwała gorączkowa praca. Istoty zamieszkujące mrok poza po-  
lem naszego widzenia doskonale rozumieją, że technologii nie warto  
zwalczać. Lepiej nauczyć się jej języka, przekształcić ją, dostosować do  
swoich potrzeb. Kto powiedział, że las fabrycznych kominów i gąszcz  
słupów wysokiego napięcia jest mniej mroczny niż stara dębowa puszcza?

## 7.

-- Mamo, tato. -- Marysia nie mogła zasnąć mimo lektury trzech książeczek o Panu Kocie. -- Czy zostaniemy tu na całe wakacje?

-- Nie, kochanie. -- Natalia pogłaskała ją po policzku. -- Mamy starannie zaplanowane kolejne dni podróży. Tutaj jesteśmy tylko na jedną noc, przez przypadek, bo nowy samochódzik się zepsuł.

-- Ale tu jest tak fajnie... -- mrucało dziecko sennym głosem. -- Jest kotek i mili państwo. Jedzonko mi bardzo smakuje.

-- Zobaczysz, skarbie, potem też będzie wspaniale -- włączył się do rozmowy Pan Wycieczka. -- Popływamy w wielkim parku wodnym, pojedziemy kolejką. Będzie mnóstwo atrakcji. Ale teraz już śpij.

Jaworski odłożył szczoteczkę do zębów i rozejrzał się po pokoju. Był nieduży i skromnie urządzony, ale czysty i zadbane. Sprawiał miłe wrażenie. Tak. To z pewnością było gospodarstwo agroturystyczne. I akurat, mimo szczytu sezonu, pokoje były wolne. Mieli mnóstwo szczęścia.

Natalia siedziała na łóżku i składała na stertę cienkie zeszyty *Nieustraszonego Pana Kota*.

-- O, proszę! Twoja ulubiona książeczka też tu jest! -- Wskazała mężowi *Lśnienie* Stephena Kinga stojące na półce wśród kilku polskich kryminałów.

-- O, tak! Wymarzona lektura do poduszki dla każdego, kto podróżuje z rodziną! -- skomentował Jaworski.

Natalia się zaśmiała, ale bez przekonania. Nie lubiła tej książki. Jeszcze bardziej nie cierpiała filmu, do którego oglądania mąż zmuszał ją przynajmniej raz do roku.

-- Kładź się spać. Jutro sporo przygód przed nami. -- Zrobiła dla niego miejsce w łóżku. -- Mam nadzieję, że z samochodem to nic poważnego.

-- Najgorsze, że nawet nie ma jak zadzwonić. -- Pan Wycieczka kręcił się po pokoju z telefonem, licząc na to, że może w którymś narożniku pojawi się upragniona kreska zasięgu. -- Sądzę, że nie powinniśmy dawać suwana do naprawy pierwszemu lepszemu mechanikowi.

Lepiej byłoby wezwać holowanie do autoryzowanego serwisu. A najlepiej zadzwonić do Kostery i porozmawiać z nim bezpośrednio.

-- I tak mieliśmy szczęście, że trafiliśmy tutaj. -- Natalia głaskała po plecach zasypiającą dziewczynkę. -- Akurat mieli pokoje i pościel dla nas wszystkich. I praktycznie gotową kolację! Co za zbieg okoliczności!

-- Nieprawdopodobne, co? -- Pan Wycieczka położył się z drugiej strony i też zaczął głaskać córeczkę.

Dłonie małżonków się spotkały i przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Jaworski myślał o tym, jaka jego żona jest ładna. I że Marysia jest chyba do niej podobna. Ma taki sam zadarty nosek, tylko w wersji miniaturowej. I takie same urocze piegi. Chociaż trzeba się było uważnie przyjrzeć, żeby je dostrzec. Pan Wycieczka stwierdził, że obie dziewczyny są śliczne.

Natalia tymczasem zastanawiała się, jak mu powiedzieć, że już go nie kocha, tak by jak najmniej go skrzywdzić. Nie chciała zadawać mu bólu. Chciała po prostu spróbować od nowa, z kimś innym.

-- Kocham was kocio, mamó i tato! -- wyszeptała dziewczynka, już prawie przez sen.

Natalia się wzdrygnęła, zaskoczona własną myślą. Czy naprawdę tego właśnie chce?

## 8.

Marek leżał na łóżku, walcząc ze snem i czekając, aż Marta wróci wreszcie z łazienki. Wiedział, że nie ma sensu zasypiać, bo i tak siostra narobi łomotu, który zbudziłby nawet Wielkich Przedwiecznych.

-- Co ona tam robi tyle czasu? Zawsze spędza w łazience całe godziny. Pewnie stoi przed lustrem i się podziwia.

Wziął do ręki telefon i włączył, a potem wyłączył tryb samolotowy. Może po resecie połączy się z siecią? Chociaż jedna kreska, wystarczy jedna kreska. Zadumał się nad losami swoich kont w kilku online'owych grach, do których nie miał teraz dostępu. Ciekawe, jak sobie radzą jego niepilnowane włości? No nic. Pozostaje liczyć na lojalność sojuszników.

Ten wyjazd to od początku był fatalny pomysł. Po powrocie z Rzeszowa miał obiecane dwa tygodnie siedzenia w domu. Żadnych wakaacji, żadnych wyjazdów, żadnych wycieczek. Stary wytrzymał dwa dni. Dwa dni! A potem wyskoczył z tym niedorzecznym pomysłem objazdowego recenzowania atrakcji w Beskidach.

Marek podłączył komórkę do ładowania i podniósł się z łóżka.

-- No nic. Nie ma telefonu, poeksplorujemy trochę rzeczywistość. Czy gdzieś w tym pokoju znajdują się przedmioty, które pozwolą naszemu bohaterowi uciec z pułapki?

Powoli podszedł do niewielkiej półki umieszczonej przy drzwiach. Znajdowało się na niej kilka drewnianych figurek wielkości ludzkiej pięści. Z daleka wyglądały zwyczajnie, ale kiedy nastolatek przyjrzał się im, obracając je kolejno w dłoniach, uświadomił sobie, że przedstawiają dziwaczne stwory. Pierwszy stał kot z rozwidlonym ogonem i niepokojąco wydłużonymi przednimi łapami. Chłopak stwierdził, że zwierzę albo ma dodatkowe stawy, albo bardzo poważnie złamane kończyny. Obok coś jak pies albo wilk o źle wykonanym, nienaturalnie długim pysku. Trzeciego zwierzęcia Marek nie potrafił zidentyfikować. Wszystkie miały wielgachne, rozdziawione paszcze z dwoma rzędami niezliczonych, ostrych jak igły zębów. Jeszcze dziwniejsze były oczy,

a raczej ich brak. Na górną część pysków naciągnięto jakąś błonę. Przypominało to ślad po rozległym poparzeniu.

Ale najgorsza była ostatnia figurka. Marek wziął ją do ręki z mieszaniną odrazy i fascynacji. Przedstawiała człowieka, a w każdym razie postać z grubsza humanoidalną. Kobiętę czy dziewczynę o bujnych kształtach. Przypominała prastare talizmany, jakie archeolodzy znajdują czasem w różnych częściach świata, tyle że zamiast normalnej ludzkiej głowy miała dziwnie zdeformowaną bryłę. Górną część twarzy pokrywała taka sama błona, jaka szpeciła figurki zwierząt. Ślepa poparzona powierzchnia, pokryta rozwidlającymi się żyłami czy może bliźnami. Olbrzymie usta rozdziawione były absurdalnie szeroko. Jakby była bardzo głodna i zamierzała pożreć cały świat. W środku błyszcząły dwa rzędy ostrych, spiczastych zębów.

Jak Pac-Man, pomyślał Marek. Albo raczej jak naprawdę zła siostra Pac-Mana. Matko, jakie szkaradziejstwo!

Odstawił figurkę i położył się z powrotem do łóżka. Raz jeszcze sprawdził telefon z nadzieją, że usterka sieci została naprawiona. Nic z tego.

Zgasił lampkę stojącą na szafce nocnej i pokój pogrążył się w mroku. Zaraz jednak wzrok chłopaka zaczął się przyzwyczajać do ciemności, a światło księżyca wpadające przez okno wydobyło z czarnej pustki powykręcane kształty figurek. Marek nie dostrzegał ich wyraźnie, ale niestety teraz już wiedział, jak wyglądają. Nie mógł przestać się na nie gapić, a gdzieś w głębi czuł, że one gapią się na niego. Widzą go, chociaż nie mają oczu. Śledzą go jakimś innym, nienazwanym zmysłem -- starszym i bardziej przenikliwym niż wzrok. Zamknął oczy, ale czuł, że figurki nadal tam są. Odwrócił się do nich plecami. Było jeszcze gorzej. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie wstać i nie schować gdzieś szkaradnych rzeźb.

To idiotyczne, pomyślał. Przecież nie jestem dzieckiem. Nie będę się bał makabrycznych durnostojek.

Czuł, jak ogarnia go senność. W miarę oddalania się od racjonalnej jawy jego myśli rozwidlały się, rwały i meandrowały, powtarzając po-



dróż, jaką wcześniej odbyli samochodem. Ciekawe, czy mają imiona. Te stwory. Nie. Na pewno nie. Niektórych istot lepiej nie nazywać. A może jednak? Jakoś przecież o nich mówią. Ktokolwiek je wyrzeźbił, w jakiś sposób o nich myślał. Kto je wyrzeźbił? Skąd się tu wzięły? Kto ustawia takie stwory w pokoju dla gości? Przecież mogłoby tu spać jakieś małe dziecko. Mogłoby się wystraszyć -- samo w ciemności z tymi maskarami.

I nagle się przebudził z osobliwą, lecz całkowicie wyraźną myślą: musimy stąd uciekać. Musimy natychmiast stąd uciekać.

Otworzył szeroko oczy i wpatrywał się w skośny drewniany sufit. Muszą uciekać. To nie był senny majak, lecz w pełni racjonalny, oczywisty wniosek, który wypłynął z czegoś, co uświadomił sobie przed chwilą. Tylko co to było?

W panice próbował sobie przypomnieć, o czym myślał tuż przed zaśnięciem. To miało coś wspólnego z figurkami. Ktoś mógłby się ich przestraszyć. Ale kto? Przymknął oczy, żeby się skoncentrować. Zamiast tego poczuł, że znów ogarnia go senność. Tym razem trafił na drugą stronę już bez przedzierania się przez gąszcz na wpół świadomych myśli. Zasnął głębokim, spokojnym snem i nie obudziła go nawet siostra, ze szlochaniem pakująca do torby kolejne kosmetyki.

**DZIEŃ PIERWSZY**

## 9.

Jaki tu spokój. Ta myśl towarzyszyła Natalii, odkąd otworzyła oczy. Spojrzała na telefon. Było zaledwie kilka minut po szóstej, a mimo to czuła się wyspana. Poprawiła wtyczkę, bo zauważyła, że telefon się nie ładował, po czym zsunęła się z łóżka i cicho wyszła z pokoju, nie budząc męża ani córeczki.

Ból nogi znowu dawał o sobie znać, ale rano zawsze jest najgorzej. Potem przechodzi. Może po prostu zapomina o nim. A może to ból zapomina o niej? Natalia często myślała o nim jak o żywej, złośliwej istocie. Jakimś rodzaju pomniejszego demona czy chochlika. "Uparty ból", "ból wrócił", "złośliwy ból". Reklamy leków przedstawiają ból w formie kolczastego trolla, którego tabletką magicznym sposobem przegania gdzieś daleko, gdzie nikomu nie może zaszkodzić.

Jaka szkoda, że nie na każdy ból działają tabletki. Że wciąż są na świecie złośliwe demony, których nie sposób przepędzić, kiedy zadowolą się w naszym ciele.

-- Już pani wstała? -- Sędziwa gospodyni krzątała się po kuchni.

Natalia wcale by się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że spędziła tu całą noc. W przestrzeni między piecem a kredensem wyglądała tak naturalnie, jak gdyby była po prostu jednym ze sprzętów. Nieodłączną częścią tej kuchni. Jej duszą.

-- Zjadłaby coś pani? -- Staruszka zatrzymała się na chwilę i popatrzyła na Jaworską dużymi oczami w dziwnym, trudnym do określenia kolorze.

Czy oczy starych ludzi robią się z czasem bardziej wodniste?, zastanawiała się Natalia. Czy ich kolor blaknie? A może ta barwa to rezultat choroby? W mieście jej skutki usuwa się dziś bezproblemowo podczas szybkiej laserowej operacji, ale tutaj, w domku pod lasem, nadal mogą stanowić po prostu część losu, jak ulewa albo susza.

-- Poczekam, aż reszta wstanie. -- Natalia nie chciała robić staruszce kłopotu. I tak przecież zwalili się im na głowy nieproszeni i niezapowiedziani.

-- To może kawy?

Natalia skinęła z uśmiechem i gospodyni wróciła do swojej krząta-  
niny. Ucieleśniała spokój panujący w domku pod lasem. Jaworska sie-  
działa na drewnianej ławie w rogu izby i patrzyła na niespieszne, pre-  
czyjne gesty starej kobiety. Były doskonałe, bo powtarzane od lat. Jak  
strumień, który po tysiącach zim i wiosen wypełnionych próbami i błę-  
dami znalazł wreszcie najlepszą drogę od źródła do ujścia. To były ge-  
sty wytarte w rzeczywistości, odcisnięte w niej ciężarem upływających  
dekad. Jak zmarszczki. I jak ta kuchnia. Natalia była przekonana, że  
nigdy jej nie remontowano. Nie miała poczucia, że wystrój jest przesta-  
rzały, bo otaczające ją rzeczy nie należały do tych, które łatwo się sta-  
rzeją. Gospodyni na pewno nie wypełniała sobie pustego czasu klika-  
niem na stronie Ikei i zabawą w przeprojektowywanie mieszkania "tak  
na przyszłość". Nie tylko dlatego, że nie miała wolnego czasu, internetu  
ani pewnie zbyt długiej przyszłości. Po prostu stały pęd do udoskonala-  
nia, wymieniania, poprawiania nie mieścił się w horyzoncie jej wy-  
obraźni.

Kiedy staruszka postawiła na stole kawę, Natalia pomyślała, że to  
magiczny napój. Esencja spokoju, który panował w tym miejscu. Bar-  
dzo go potrzebowała.

Kawa w starej, wysokiej szklance. Z obowiązkowym koszyczkiem,  
bo cienkie szkło tak się nagrzewało, że nie dałoby się złapać naczynia.  
Natalia przyglądała mu się w skupieniu, wyłapując niewielkie krzywi-  
zny i zgrubienia materiału. Te szklanki zawsze były odrobinę niedosko-  
nałe. Jak gdyby stanowiły wciąż jeszcze wytwór bardziej natury niż  
technologii. W takiej samej piła kawę jej ukochana babcia Maria. Ni-  
gdy nie przestawiła się na kubek, nie wspominając nawet o filizance.  
Nie dała się namówić na spróbowanie kawy z ekspresu. Powtarzała, że  
nie przesadza się starych drzew, i uparcie żądała porządnej sypanki.  
Trzy łyżeczki, zalać wrzątkiem. Zamieszać i czekać. Trzymali w domu  
jedną taką starą szklankę specjalnie na kawę dla babci. Natalia przega-  
niała dzieciaki, ilekroć chciały napić się z niej wody. Chociaż właściwie  
miały rację -- takie naczynie znacznie lepiej nadawałoby się do zim-

nych napojów. Tyle że w czasie, gdy babcia uczyła się pić kawę i herbatę, tylko takie szklanki były dostępne. Siła przyzwyczajenia. Natalia zabierała więc kruchy, szklany przedmiot i chowała go na najwyższej półce, poza zasięgiem Marka i Marty, a im dawała nutellówki ze śmiesznymi wzorkami. Jak ją stłuczecie, powtarzała, to babcia nigdy więcej nie napije się u nas kawy! Z czasem w jej głowie ukształtował się przesąd. Była przekonana, że jeśli szklanka się zbije, to babci stanie się coś złego. Wiedziała, że to irracjonalne, ale nic nie mogła na to poradzić. Drżała nawet wtedy, kiedy to babcia piła kawę ze swojej szklanki. A co, jeżeli ją upuści? Jeżeli niezgrabnym ruchem strąci naczynie ze stołu, na terakotę? Wizja ostrych odłamków szkła pośród kawowych fusów długo prześladowała Natalię gdzieś na granicy świadomości. Niepotrzebnie. Przedmiot okazał się bardziej długowieczny niż ukochana osoba. Babcia odeszła ponad dziesięć lat temu, dokładnie w dniu, w którym Marta poszła do zerówki. Od tego czasu przeprowadzali się dwa razy, a szklanka nadal stoi na najwyższej półce. Dzieci dosięgają do niej bez kłopotu, ale nigdy jej nie używają. Pamiętają, że to szklanka babci Marii.

-- Dziękuję -- powiedziała Natalia.

Staruszka się uśmiechnęła i skinęła głową. Czy wiedziała, za co właściwie dziękuje jej ta zagubiona, przestraszona turystka?

## 10.

-- Ładował się całą noc i tylko dwadzieścia trzy procent! -- Marek stukał w ekran, jakby liczył na to, że energia jego palca przeniknie do baterii.

-- U mnie to samo. Oni tu mają jakiś słabszy prąd czy jak? Czy to w ogóle jest fizycznie możliwe? -- wtórowała mu starsza siostra.

-- Najwyraźniej możliwe... -- zamyślił się Pan Wycieczka. -- Wygląda na to, że wszystkie urządzenia ładują się tu wolniej.

-- Tatusiu, czy wodę też mają słabszą? -- dopytywała Marysia. -- Może powinniśmy dłużej myć zęby.

Jaworski przytulił córeczkę.

-- A najgorsze, że dalej nie ma zasięgu.

Może telefony ładowały się tu wolniej, ale ludzie najwyraźniej szybciej odzyskiwali energię, bo o siódmej trzydzieści cała rodzina była już na nogach. Jedynie z pokoju zajmowanego przez autostopowicza dobiegało donośne, miarowe chrapanie. Jaworscy zamierzali wyjechać jak najszybciej, ale gospodarze przekonali ich, że po pierwsze, mechanikowi lepiej nie zawracać głowy przed dziewiątą, a po drugie, nikt rozsądny nie wyrusza w drogę bez porządnego śniadania. Po trzecie wreszcie, podczas gdy śniadanie będzie przygotowywane, najlepiej wybrać się na spacer po okolicy. Argumenty brzmiały bardzo rozsądnie, dlatego Jaworscy zgromadzili się na podwórku przed domem.

-- Za dnia wygląda na większy -- zauważył Marek.

-- Za to nasz biedny suvan wygląda, jakby bardzo potrzebował myjni -- dodała Marta.

-- Zobaczcie, tuż za domem naszych gospodarzy jest kolejny budynek. I jeszcze następny! -- zawołała Natalia.

-- Faktycznie, wczoraj słyszałem muzykę dochodzącą z tamtej strony.

-- W nocy zdawało się, że trafiliśmy na zupełnie odludzie. Tymczasem to jakaś miejscowość.

Wspinając się na niewielkie wzgórze, minęli kolejne dwa domki, ale dopiero widok rozciągający się ze szczytu pagórka był dla nich kompletnym zaskoczeniem. Znajdowali się na przedmieściach sporej miejscowości zajmującej malowniczo położoną górską dolinę. Oprócz domów widzieli sklepy, kościół i kilka budynków wyglądających na hotele. Nad miastem górowały ruiny starej baszty położonej po drugiej stronie kotliny. U stóp wzgórza, na którym stali, przebiegała normalna asfaltowa droga.

-- A więc były lepsze sposoby dostania się tutaj niż szaleńczy slalom między drzewami!

-- To może jednak dotarliśmy do Wysowej? -- zapytała skonfundowana Natalia.

-- Google twierdzi, że to miejsce nazywa się Uśniejów. -- Marek pokazał im mapę na telefonie.

-- Złapałeś zasięg? -- Wszyscy pozostali członkowie rodziny sięgnęli po swoje telefony jak rewolwerowcy w starym westernie.

-- Tak dobrze to nie ma -- zaśmiał się chłopak. -- Sprawdzam mapę w trybie offline.

-- Uśniejów? -- zdziwił się ojciec. -- Jakim cudem nigdy nie słyszałem o tym miejscu? Jak to możliwe, że nie trafiłem na nie, planując objazd po okolicy?

Pan Wycieczka z niedowierzaniem patrzył na rozciągającą się u ich stóp miejscowość, która właśnie budziła się do życia. Wyglądała na spory kurort.

-- Uśniejów, Uśniejów... -- powtarzała Marta. -- Ta nazwa brzmi znajomo.

Z jej pamięci, jak mglisty kształt, wyłaniało się odległe wspomnienie.

Marek też powtarzał półgłosem nazwę miejscowości. Za każdym razem, gdy ją wypowiadał, brzmiała coraz bardziej swojsko.

-- A może gdzieś już o tym mieście słyszałem? -- zamyślił się Pan Wycieczka.

-- Zaraz, a czy Karol nie był przypadkiem w Uśniejowie? -- zapytała nagle Natalia, jak gdyby wybudzona z letargu.

-- Wujek Karol, no jasne! -- zawtórowała jej Marta. -- Przecież on nam opowiadał o tym miejscu. Był tu na wakacjach dwa lata temu... Albo trzy?

-- Jak mogłem o tym zapomnieć, planując podróż?

-- Nic straconego. Uśniejów sam nam o sobie przypomniał.



## 11.

-- Boże, to jest pyszne! -- wybełkotała Marta z pełnymi ustami.

-- Mówilem ci! -- Marek nakładał sobie kolejną dokładkę dziwnej potrawy.

-- Ale budyń na słono? Ze skwarkami? Nigdy wcześniej nie słyszałam o czymś podobnym.

-- Proszę pani, jak to się nazywa? -- Natalia zagadnęła gospodynię kręcącą się przy kuchni.

-- Mastyło. Cieszę się, że smakuje. -- Staruszka uśmiechnęła się promiennie. -- To jeszcze kompotu przyniosę.

Trzeba powiedzieć, że wszystko, co serwowała starsza pani, smakowało fantastycznie. A że w ciągu ostatnich pięciu lat rodzina Jaworskich próbowała setek regionalnych specjałów z całej Polski, to niełatwo było im zaimponować.

Właśnie z powodu tych lokalnych smakołyków śniadanie mocno się przedłużało i trwało już dobre pół godziny, gdy wreszcie na górze zakrzypiały schody i w izbie pojawił się autostopowicz Heniek.

-- Dzień dobry, czy dobrze pan spał? -- zapytała uprzejmie gospodyni.

-- Najwyraźniej -- mruknął z rozbawieniem Marek.

-- Wyjaśniliśmy zagadkę naszego położenia! -- zawołał do niego wesoło Pan Wycieczka. -- To spore miasteczko i na pewno bez trudu znajdziemy tu i mechanika, i działający telefon.

-- Miasteczko? -- Heniek rozbudził się momentalnie i zatrzymał w pół kroku. -- Jak to miasteczko?

-- Jakimś cudem dojechaliśmy przez las do Uśniejowa.

-- Dokąd?

-- Do Uśniejowa.

-- Nie ma takiego miasta.

Gwar przy stole zamarł. Wszyscy ze zdziwieniem patrzyli na autostopowicza. Całkowita pewność brzmiała w jego głosie na chwilę ka-

zała im zwątpić we wspomnienie o wujku Karolu i w nowo zdobytą wiedzę na temat własnego położenia.

-- Znam te okolice. Tutaj nie ma żadnego miasta -- powtórzył hipis.

Jakby ogłaszał coś oczywistego i niepodlegającego dyskusji. "Tutaj nie ma żadnego miasta". "Pod stołem nie znajduje się nosorożec".

Niezręczne milczenie trwało jeszcze z dziesięć długich sekund. Potem Marek, wciąż przeżuwiający ostatni kęs pysznego budyniu ze skwarkami, wyjął z kieszeni telefon, otworzył aplikację z mapą i położył smartfona na środku stołu. Wielki napis "Uśniejów" wpleciony w sieć dróg błyskawicznie przywrócił Jaworskim poczucie bezpieczeństwa.

-- Wygląda na to, że wydział promocji tutejszego ratusza jest mocno niedoinwestowany. -- Pan Wycieczka spróbował rozładować atmosferę.

Ale Heniek się nie śmiał. Zaszczycił telefon Marka zaledwie przelotnym spojrzeniem, po czym powtórzył:

-- Nie wiem, co tam się wyświetla, ale wiem na pewno, że w tej okolicy nie ma żadnego miasta. Chyba że wczoraj w nocy jakimś cudem zrobiliśmy przez ten las kilkadziesiąt kilometrów więcej, niż się nam wydawało. Wędrowałem po tych terenach wiele razy. Znam tu każdy pagórek. Nigdy nie słyszałem nazwy "Uśniejów". -- W miarę jak wypowiadał kolejne zdania, zwalniał, a głos drżał mu coraz bardziej, jak gdyby tracił wiarę w to, co mówi. Po chwili jednak odzyskał wigor. -- Ale przecież stary już jestem, mogę się mylić -- stwierdził z szelmowskim uśmiechem. -- Po prostu pójdę na górę po mapę i sprawdzimy. Tym waszym cudom technologii nie wierzę, ale papier to papier.

-- Stara, dobra mapa... -- mamrotał jeszcze na schodach, podczas gdy rodzina Jaworskich patrzyła po sobie nieco skonfundowana. Wreszcie Marek wzruszył ramionami i nałożył sobie na talerz kolejną porcję suszonej kiełbasy.

Zdażył ją zjeść i poczęstować się następną, zanim Heniek zbiegł wreszcie na dół. Usiadł obok Pana Wycieczki. Brutalnym gestem przesunął potrawy leżące po jego stronie stołu i zaczął rozkładać mapę.

-- Zaraz, zaraz... -- powtarzał pod nosem. -- Jechaliśmy jakoś tędy.

Palec starego hipisa powoli powtarzał drogę, którą przebyli poprzedniego wieczoru. Marta zwróciła uwagę, że mężczyzna ma za paznokciami sporo brudu. Okropieństwo.

-- Więc to musiałyby być gdzieś...

I właśnie wtedy morze krwi zalało Beskidy.

Nadciągnęło wezbraną falą od strony Gorlic, stopniowo zatapiając Szymbark, Jezioro Klimkowskie i Uście Gorlickie. Aż wreszcie dotarło do miejsca, w którym znajdował się lub wcale się nie znajdował Uśniejów. Lasy, drogi i miejscowości kolejno znikwały, bezpowrotnie roztopiając się w powodzi czerwieni.

-- Co ja narobiłam! -- Sędziwa gospodyni załamywała ręce nad kubkiem rozlanego kompotu.

-- Nie gadaj! Łap ścierkę! -- krzyknął jej mąż.

Pan Wycieczka odskoczył od stołu, w ostatniej chwili unikając oblania lepką cieczą, ale Heniek wykazał się mniejszym refleksem. Może liczył na to, że dostrzeże jeszcze puste miejsce na mapie, nim ostatecznie pochłonie ją kompotowy żywioł? Na koszuli w kolorze starego worka, którą założył dziś do śniadania, wykwitła wielka krwawa plama. Dopiero wtedy Heniek wstał, ale minę miał taką, jakby wciąż jeszcze nie dotarło do niego, co się właściwie wydarzyło. Uniósł na wysokość oczu ręce, z których wielkimi kroplami skapywała czerwona ciecz.

-- Kompot... Przepraszam... Kompot... -- powtarzała w kółko gospodyni.

-- Może mapę da się wysuszyć? -- Do akcji ratunkowej włączył się gospodarz. -- Rozwiesimy ją przy piecu.

Heniek zamrugał, jak gdyby obudził się ze snu, i się roześmiał.

-- Piękny koniec pięknego przedmiotu -- skwitował los mapy. -- Nie ma co się nadmiernie przywiązywać do rzeczy. Swoje już wysłużyła. Żałuję tylko, że kompot nie pochłoniął tamtej diabelskiej maszyny -- dodał po chwili ze złośliwym uśmiechem, wskazując na telefon leżący na drugim końcu stołu. -- Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Na smartfonie Beskidy nadal cieszyły oko, nietknięte przez truskawkową apokalipsę. Widać było na ekranie pajęczą siatkę dróg i zie-

lone plamy lasu. A na samym środku ekranu wciąż uspokajająco trwał wielki czarny napis "Uśnijów".

## 12.

Mechanik Żmihorski okazał się sympatycznym brodatym osiłkiem około czterdziestki. Jego warsztat rzeczywiście znajdował się blisko domu, w którym zatrzymali się Jaworscy. I całe szczęście, bo tego ranka trzeba było pokonać tę trasę cztery razy. Najpierw Pan Wycieczka z gospodarzem poszli po Żmihorskiego. To raz. Potem wrócili z mechanikiem przed domek starszych państwa. To dwa. Żmihorski pokręcił się chwilę wokół suvana i stwierdził, że na miejscu nic nie wymyśli. Trochę strach jechać, jak nie wiadomo, co się zepsuło, więc Żmihorski pobiegł po lawetę i odstawił suvana do swojego warsztatu. W tym czasie Pan Wycieczka dotarł na miejsce pieszo. Trzecie przejście.

-- Tak na pierwszy rzut oka nic tu nie widzę... -- Żmihorski poświecił latarką na podwozie. -- Jak tylko mi się zwolni podnośnik, to go postawię i zobaczę, co jest grane.

Pan Wycieczka zastanawiał się, jak mu uprzejmie powiedzieć, że w zasadzie to wolałby, żeby niczego nie ruszał, ale problem rozwiązał się sam.

-- Z takim wozem to pewnie wolałby pan do autoryzowanego serwisu... -- zagadnął mechanik. -- Ale z drugiej strony może to jakaś gałąź się wkręciła, albo kuna. Może nic nie trzeba ruszać i naprawię to od ręki? Wróci pan do mnie za godzinę, będziemy wiedzieli.

-- A czy mógłbym od pana zadzwonić? -- Pan Wycieczka uznał, że tak czy owak warto się skontaktować z Kosterą.

-- Oj, niestety, ma pan pecha -- zmartwił się Żmihorski. -- Zeszłej nocy nawałnica uszkodziła nadajnik. Mamy maszt GSM w samym środku miasta i normalnie zasięg jest jak złoto. Nawet 5G śmiga. Ale chyba piorun w niego uderzył czy coś, bo w całej dolinie nie ma zasięgu.

-- To może stacjonarny? -- Jaworski próbował dalej.

-- Stacjonarny? -- zdziwił się mechanik. -- A co to, średniowiecze? Panie, kto dziś ma stacjonarny telefon? Po co to komu? Tylko fotowol-

taika do mnie wydzwaniła. Mówię panu, że tak zwyczajnie to zasięg jest u nas jak marzenie. Ale proszę się nie martwić, te telefony włączą pewno szybciej, niż ja sobie poradzę z samochodem.

Pan Wycieczka wcale nie miał pewności, czy powinien się z tego cieszyć. Pełen obaw powlókł się z powrotem do gościnnego domku, pokonując znajomą już drogę po raz czwarty.

### 13.

Śmiech słyhać było już na podwórku.

Kiedy Pan Wycieczka wrócił, w kuchni staruszków trwało właśnie wspólne gotowanie. Wyglądało to jak pokaz jednego z tych cudownych urządzeń kuchennych, tyle że w wersji retro. Gospodyni wyciągała kolejno dziwnie wyglądające przedmioty, a siedzący dookoła członkowie rodziny starali się odgadnąć, do czego służą. Natalia stała przy starym kredensie charakterystycznie przechylona, tak by ciężar ciała spoczywał na zdrowej nodze, i śmiała się do rozpuku. W zabawie nie brała udziału tylko Marta, ale ona zawsze trzymała się tak daleko od kuchni, jak to tylko możliwe.

-- Widzę, że świetnie się bawicie... -- Pan Wycieczka był podłamany wizytą w warsztacie. -- Dobrze się składa, bo wygląda na to, że jeszcze parę godzin tu zostaniemy.

-- Zdarzało się nam utknąć w gorszych miejscach. -- Marek oglądał staroświecką ubijaczkę do jajek. -- A ten dom jest trochę jak żywe muzeum... Oczywiście w pozytywnym sensie -- dodał po chwili.

-- Takie tam rupiecie... -- zawstydzila się gospodyni.

-- Jeśli lubicie takie rzeczy, to musicie zobaczyć nasz skansen -- włączył się jej mąż. -- To pięć minut spacerem.

W oczach Pana Wycieczki zabłyśły małe diodki. Może ten dzień wcale nie będzie stracony? Gdyby przygotować naprawdę dobry materiał z tego skansenu, można by go jeszcze dziś po południu wrzucić na kanał jako niespodziankę dla widzów.

-- Skoro i tak czekamy na samochód... -- zaczął Jaworski.

-- Jestem za... -- Marek podniósł rękę, uznając, że zaczęło się głosowanie. -- I tak nie ma internetu i nie ma co robić.

-- Co to jest skansen? -- zapytała Marysia, wymawiając nowe słowo bardzo wolno i starannie, z nadzieją, że w ten sposób ujawni ono tajemnicę swego znaczenia.

-- Byliśmy w skansenie w Sanoku, pamiętasz, kochanie? To była ta zaczarowana wioska, przeniesiona w czasie -- wyjaśniła jej mama. --

Można tam zobaczyć, jak ludzie żyli i wykonywali różne codzienne prace w dawnych czasach, kiedy nie było jeszcze pralek, lodówek, samochodów...

-- Czyli tak jak tutaj? -- kontynuowała dziewczynka. -- A czy tam też będzie kotek?

-- I kotek, i inne zwierzątka -- zachwalała starsza pani.

-- W takim razie ja też chcę iść.

Wszyscy spojrzeli na Martę siedzącą na krześle w rogu izby. Opierała brodę na kolanach, które obejmowała ramionami, i wbijała nieobecny wzrok w pusty ekran telefonu.

-- Nie. -- Potrząsnęła głową, nie zaszczycając rodziny nawet przelotnym spojrzeniem. -- Nie chcę iść do żadnego skansenu. Co pewnie nie jest dla was żadnym zaskoczeniem. Przypominam, że w ogóle nie chciałam jechać na ten idiotyczny objazd. Po powrocie z Rzeszowa mieliśmy mieć dwa tygodnie dla siebie. To ostatnie dwa tygodnie wakacji, wszyscy są już w domach, nad Wisłą dzieje się teraz historia. Wszystko mnie omija. Pierwszego września równie dobrze mogę nie wracać do szkoły.

-- Skarbie... -- Natalia podeszła do córki i położyła jej rękę na ramieniu.

-- A teraz jeszcze utknęliśmy w tej czarnej dziurze bez zasięgu! -- Marta zrzuciła dłoń matki gwałtownym ruchem.

Jaworski zacisnął zęby i poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Gdzie popełnił błąd? Czy jego dzieci stały się małymi rozpieszczonymi potworami? Przecież nie zaplanował awarii samochodu, nie wdrapał się na maszt GSM z siekierą, żeby odciąć zasięg w całym mieście. Patrzył, jak Marta odtrąca przyjazny gest matki i odwraca się do niej plecami. Chciał podnieść dziewczynę z krzesła i nią potrząsnąć. Wciąż jeszcze miał dostatecznie dużo siły. Zamiast tego wziął głęboki oddech i powiedział tonem tak spokojnym, że sam był zaskoczony:

-- Marta... Rozumiem, że jesteś zła i rozczarowana, bo nie możesz porozumieć się z przyjaciółmi i boisz się, że omija cię coś ważnego. Niestety, nie mamy w tym momencie żadnej możliwości, żeby zmienić



tę sytuację. Ale to są góry, tutaj zasięg jest nieprzewidywalny. Co powiesz na to: my pójdziemy do skansenu, a ty rozejrzysz się po okolicy w poszukiwaniu sieci. Możesz wdrapać się na tamto wzgórze.

-- Albo poszukać jakiejś kawiarenki internetowej czy czegoś w tym stylu! -- Natalia była wdzięczna mężowi. Rzuciła mu spojrzenie pełne uznania i przez chwilę była pewna, że nadal go kocha. -- One jeszcze istnieją?

-- Nie sądzę -- włączył się Marek. -- Chyba że w skansenie.

Marta walnęła go pięścią w plecy, aż zadudniło. Ale się uśmiechała. Pan Wycieczka odetchnął z ulgą.

Przedwcześnie.

## 14.

-- Dzień dobry, dzień dobry! -- Pani sprzedająca bilety w skansenie mogłaby swoim entuzjazmem obdzielić kilka grup zwiedzających.

Pan Wycieczka pomyślał, że powinna prowadzić kanał na YouTube. Ostatnio wszędzie widział potencjalną konkurencję.

-- Witam rodzinę. To będą, widzę, dwa normalne, jeden szkolny. A dziewczynka, ile ma lat?

-- Zaraz skończę cztery -- odpowiedziała Marysia, wspinając się na palce, żeby zajrzeć do okienka. -- Ale jestem rezolutna jak sześciolatka. Mogłabym chodzić do zerówki.

-- No rzeczywiście... -- zgodziła się Pani z Okienka. -- A dziadek ma już skończone sześćdziesiąt?

Heniek nie był zachwycony, że wzięto go za dziadka. Nie ucieszył się też, że wygląda na osobę po sześćdziesiątce. Z radością jednak przyjął niżkę dla seniora. Jeszcze bardziej się ucieszył, gdy okazało się, że Pani z Okienka nabiła wszystko na jeden paragon i Pan Wycieczka musi zapłacić także za niego.

-- Dziadek Heniek -- zamruczał. -- Może to nie brzmi tak źle?

-- Tutaj jest folder z mapką, na której zaznaczono chaty i budynki gospodarskie -- tłumaczyła kobieta. -- Zaczynacie stąd. Jesteśmy w miejscu oznaczonym czerwoną kropką.

-- Wolno robić zdjęcia?

-- Jasne! Fotografujcie, ile dusza zapragnie.

-- No to zaczynamy. -- Pan Wycieczka schwycił mapkę, wyglądającą jak dokładna kopia wszystkich innych mapek, które w ciągu ostatnich lat widział w kilkudziesięciu większych i mniejszych skansenach na terenie całej Polski. -- Jedyńka... Szukamy jedynki.

Numer pierwszy wskazywał chatkę z belek krytą strzechą. W środku panował półmrok. Pachniało drewnem i wilgocią. Jeżeli upływ czasu ma zapach, to właśnie taki.

Stanęli w sieni, przed drewnianą bramką, i z umiarkowanym zaciekawieniem zajrzeli do izby.

-- Piec w zasadzie nie różni się od tego, w którym palą nasi gospodarze -- zauważył Pan Wycieczka.

-- Nie ma kotka -- poprawiła go Marysia.

-- Za to też jest mnóstwo dziwnych sprzętów. -- Pan Wycieczka przymierzył się do zrobienia zdjęcia.

-- Zobacz, Marysiu! -- Natalia przyklęknęła, wskazując córeczce wnętrze izby. -- Takie bujane łóżeczko dla dzidziusia nazywa się kołyska. Jak miałaś się urodzić, też mieliśmy plan, żeby taką kupić. Bardzo mi się podobały. Marka czasami nie można było uśpić przez kilka godzin, więc z tobą chcieliśmy spróbować czegoś nowego.

-- No i nie da się tutaj zrobić sensownego zdjęcia... -- Pan Wycieczka próbował się wychylić przez drewnianą bramkę oddzielającą izbę od części dostępnej dla zwiedzających.

-- Na pomoc! -- wrzasnął nagle Marek i złapał się za serce.

Odwrócili się w jego kierunku, ale tylko nowo mianowany dziadek Heniek zdradził jakiegokolwiek objawy zaniepokojenia.

-- Umieram! -- jęczał chłopak. -- Umieram z nudów. A to dopiero pierwsza chata. Przypomniałem sobie, dlaczego tak nie znoszę skansenów. Może ja też pójde poszukać zasięgu? Albo chociaż arszeniku, żeby skrócić sobie męczarnie.

-- Nie cwaniakuj i lepiej mi pomóż. -- Pan Wycieczka postanowił spróbować innej strategii. -- Ja ustawię się tutaj, a ty zrób mi zdjęcie tak, żeby było widać wnętrze tamtej izby...

-- Dlaczego po prostu nie wejdzie pan do środka? -- zapytała Pani z Okienka, która nagle zmaterializowała się tuż za nimi.

-- Do środka?

-- Tutaj. -- Kobieta otworzyła drewnianą bramkę i zaprosiła ich do pomieszczenia. -- Musieliśmy wstawić te bramki, bo w skansenie jest mnóstwo zwierząt. Nie chcielibyśmy, żeby jakieś zagubione prosiątko wskoczyło nam do kołyski, prawda? -- zwróciła się do Marysi, która zachichotała, wyobrażając sobie ten widok.

Nieśmiało weszli do izby. Nieco przypominała tę, w której jedli dziś śniadanie, ale to było jednak muzeum -- miejsce otoczone specyficzną

aurą.

-- Mełliście już kiedyś sami zboże? -- spytała Pani z Okienka, wskazując na żarna stojące pod oknem.

Jaworscy pokręcili głowami. Takiego doświadczenia nie miał w cv nawet Heniek.

-- To świetnie! Spróbujecie dziś czegoś nowego. Ale może zaczniemy od początku. Jesteśmy już w zasadzie po żniwach, ale coś tam jeszcze się uchowało w narożniku poletka. Na spróbowanie wystarczy.

I wręczyła każdemu po sierp.

-- Co się tak patrzycie? Przecież samo oglądanie tych starych grátów byłoby śmiertelnie nudne. W naszym skansenie obowiązuje prosta zasada: trzeba spróbować, żeby zrozumieć.

Pan Wycieczka zamknął rozdziawione usta dopiero na widok wielkiej tłustej muchy, która nadlatywała w jego stronę.

-- Tylko uważajcie! Te sierpy są zaskakująco ostre. Nie chcielibyśmy, żeby komuś przytrafiło się coś złego, prawda?

## 15.

-- To jest naprawdę spore miasteczko. -- Ta myśl towarzyszyła Marcie, odkąd na wzniesieniu górującym nad domem oddzieliła się od reszty rodziny zmierzającej do skansenu. -- A to oznacza, że tutaj gdzieś musi być jakiś internet.

Szła powoli niewielką ulicą, niosąc przed sobą telefon jak licznik Geigera.

-- Jedna kreska, wystarczy jedna kreska.

Podniosła wzrok znad ekranu. "Pokoje do wynajęcia". "Wolne pokoje". Wygląda na to, że nocleg pod gołym niebem nie groził im nawet w sytuacji, gdyby starsi państwo akurat nie mieli miejsca. Pustawo tu jak na miejscowość turystyczną. Jak w jednej z tych gier komputerowych, których twórcy obiecywali w pełni realistyczne miasto, ale ich ambicje zostały ograniczone przez budżet i wydajność procesora.

Skręciła w lewo, mijając lokalną agencję nieruchomości. Za rozsądną cenę można tu było nabyć "przestronny dwupokojowy apartament z malowniczym widokiem na góry". Wyglądał fajnie. Przeszła jeszcze parę kroków i ponownie rozejrzała się dookoła. Naprzeciw niej znajdował się niewielki samoobsługowy sklep spożywczy. Nie Żabka, Odido czy ABC, tylko po prostu anonimowy spożywczak, nad którego drzwiami nieco złuszczone żółte litery składały się w słowo "Sklep". Gińący gatunek.

Weszła do środka. Ekspedientka na chwilę uniosła wzrok, skinęła głową, po czym wróciła do lektury czegoś na wpół schowanego pod ladą. Może przegląda listę kupujących na zeszyt i zastanawia się, którego dłużnika zastrzelić jako pierwszego? A może czyta którąś z popularnych polskich powieści? Albo po prostu też gapi się w puste okno WhatsAppa, czekając, aż przywrócą zasięg. Miała ze dwadzieścia lat i Marta pomyślała, że powinna do niej zagadać. Możliwe, że będzie wiedziała, jak zdobyć trochę internetu. Niestety, konieczność odezwania się do obcej osoby była dla młodej Jaworskiej ceną zaporową. Zamiast tego dziewczyna ruszyła więc w głąb sklepu, zrozpaczona wła-

snym introwertyzmem. Teraz wypadaloby cos kupic, zeby nie wyjsc na wariatke.

Krecila sie przy polce z przekaskami, gdy do sklepu weszlo trzech chlopakow mniej wiecej w jej wieku. Wzieli z lodowki po tanim bezalkoholowym jednej z duzych marek i podeszli do kasy. Dziewczynę siedzącą za ladą znali z imienia, więc bez wątpienia byli tutejsi. Do nich też mogłaby zagadać w sprawie internetu. Ale tego nie zrobila. Zamiast tego stala i gapila sie bezmyslnie na polki z napojami gazowanymi.

Wreszcie uznala, ze sytuacja robi sie naprawde dziwna, schwycila pierwsza z brzegu kolorowa puszke i podeszla do kasy.

-- Tylko to?

Marta skinela glową. Czekala w napieciu na pytanie o karte, aplikacje, zbierane punkty albo o chęc zakupienia dwudziestu trzech czekolad w niepowtarzalnej promocji. Ale ekspedientka powiedziala tylko: "cztery dwadzieścia", nie patrzac nawet na klientkę. Fajne sa te male lokalne sklepy. Warto je ocalic, pomyslala mloda Jaworska.

W drzwiach wyjsciowych otworzyla puszke, z ktorej wydobyly sie ciche syknienie i landrynkowy zapach. Wziela łyk lepkiej cieczy. Bedzie tego zalowala. A w ogole to jako rodzina mieli umowe sponsorska z konkurencyjna marka. Tata nie bylby zachwycony.

-- Ej, laska, a piwa bys sie nie napila? -- Okazalo sie, ze trzech muszkieterow nie odeszlo daleko. Stali pod sklepem i popijali swoje bezalkoholowe.

-- Dzieki, na sluzbie jestem -- odparowala bez zastanowienia Marta.

-- O, dowcipna.

-- Zgasila cie jak peta!

-- Jaka to sluzba cie tu sprowadza?

-- Wlasciwie to wyruszylam w poszukiwaniu internetu. -- Jaworska stwierdzila, ze skoro juz z nimi rozmawia, rownie dobrze moze zapytac o zasięg.

-- To zycze szczescia. Podziel sie, jak znajdziesz.

-- W calym Usniejowie nie ma netu od wczorajszego wieczoru. Jakaś grubsza awaria.

-- Uroki górskich dolin. Nikomu się nie opłacało pociągnąć tu światłowodu.

-- Dzięki za info. -- Marta pomachała im kolorową puszką. -- To ja lecę.

-- Zostań. Dokąd się spieszysz? -- Jeden z chłopaków zagroził jej drogę.

Był dzień. W zasięgu głosu znajdowała się ekspedientka. A mimo to Marta poczuła, że jej serce gwałtownie przyspiesza. Niestety, doskonale знаła to uczucie. Zrobiła krok w lewo, ale chłopak przesunął się razem z nią, rozkładając ręce jak obrońca na meczu koszykówki.

-- Naprawdę muszę lecieć.

-- Zostań, pogadaj z nami. -- Drugi zaszedł ją od tyłu i położył jej rękę na ramieniu.

-- Fajna jesteś, taka szczupła. -- Włączył się trzeci. -- U nas to same grube.

Tego już było za wiele. Marta błyskawicznym ruchem złapała mały palec ciężkiej łapy, która spoczywała na jej ramieniu, i z całej siły szarpnęła go w dół, wykonując jednocześnie półobrót. Rozległ się wrzask wyrażający chyba bardziej zaskoczenie niż ból. Marta nie była zainteresowana proporcjami. Odepchnęła chłopaka stojącego jej na drodze i pobiegła najszybciej, jak potrafiła, ku najbliższemu skrzyżowaniu.

-- Wariatka... -- usłyszała za sobą.

A chwilę potem:

-- Jeszcze się spotkamy. To małe miasteczko.

## 16.

Jaworscy byli bardzo zmęczeni i bardzo szczęśliwi. Ciężko dysząc, patrzyli, jak do pieca wskakuje ich zupełnie własny chleb. Po drodze nie obyło się wprawdzie bez kilku drobnych oszustw. Ziarna z kłosów, które zżęli sierpami na pobliskim poletku i wymłócili cepem, zostawili do suszenia, a Pani z Okienka podzieliła się z nimi zapasami już wcześniej przygotowanymi do zmielenia na mąkę. Mimo to mogli się pochwalić, że przez wszystkie etapy procesu powstawania chleba przeszli uczciwie, krok po kroku.

-- Rety, ile się kiedyś trzeba było narobić, żeby coś zjeść! -- Marek klapnął na ławeczkę przed chatą. Taka ławeczka, jak się dziś dowiedziało, nazywa się przyzba. -- Jak oni w ogóle zachowywali dodatni bilans kaloryczny?

-- Trafiłeś w sedno, młody. -- Heniek z uznaniem pokiwał głową. -- Przeżycie było kiedyś prawdziwym wyzwaniem. I tak powinno być. Do tego zostaliśmy zaprojektowani.

-- A dziś nasze zmysły ulegają stepieniu, bo mamy smartfony i sedesy ze spłuczką -- zadudnił Marek posepnym głosem. -- Już wspominałeś... Gdybym dostawał dziesięć groszy za każdym razem, kiedy stary ludzie marudzą na technologię, dawno wykupiłbym pakiet większościowy jakiejś korporacji i jako obiekt narzekań żyłbym sobie w willi z basenem. Całą drogę do banku by mi to ciążyło!

-- Marek się wyzłośliwia -- włączył się do rozmowy Pan Wycieczka - - ale dla mnie wniosek płynący z naszej dzisiejszej pracy jest odwrotny. Powinniśmy docenić, jak dobrze nam się żyje w dwudziestym pierwszym wieku. Przeszłość była paskudnym miejscem.

-- Ale za to jakim smakowitym... -- dodała Natalia, wciągając zapach dolatujący z pieca.

-- Fakt. A najlepsze jest to, że mamy to nagrane! -- cieszył się Jaworski. -- Ależ z tego będzie materiał. I pomyśleć, że trafiliśmy tu przez przypadek.

-- Kiedy zjemy nasz chlebek? -- dopytywała się Marysia.



-- Właściwe pytanie brzmi: z czym zamierzacie go zjeść. -- Pani z Okienka znów zmaterializowała się tuż za nimi.

-- O! Duch starej wsi powrócił.

-- Gotowi na kolejne wyzwania? -- Pracowniczka skansenu ani na chwilę nie traciła entuzjazmu. -- Przecież nie każecie dziecku jeść suchego chleba!

-- Niech zgadnę. -- Pan Wycieczka poderwał się do działania. -- Teraz będziemy mogli sprawdzić, jak działa maselnica?

-- Zgadza się. Ale wszystko po kolei. Gotowi?

-- Już stąd czuję oborę -- odgadł Marek. -- Domyślam się, jakie będzie nasze kolejne zadanie. Od razu zapowiadam, że za żadne skarby nie dotknę krowich cycków.

Wyruszyli za przewodniczką ku zabudowaniom gospodarskim usytuowanym na skraju skansenu. Szli jedno za drugim -- oprócz Marysi idącej obok mamy, która mocno ścisnęła ją za rękę. W końcu tyle tu niebezpiecznych przedmiotów. Nawet nie zauważyli, kiedy Heniek oddzielił się od nich i skręcił ku niewielkiej drewnianej chatce, którą wcześniej ominęli.

## 17.

Nie gonili Marty. Nawet nie ruszyli się z miejsca. Patrzyli tylko za nią i pewnie myśleli sobie, że jest wariatką. Prawdopodobnie nie mieli złych zamiarów. Dziewczyna zatrzymała się dopiero dwie przecznice dalej. Serce nadal waliło jej jak oszałałe. Rozejrzała się wokół i dostrzegła wielki napis tuż nad swoją głową.

Biblioteka... Jeżeli gdziekolwiek w tym mieście mają stałe łącze, to właśnie tutaj.

Weszła do środka. Za biurkiem przeznaczonym dla personelu nie było nikogo. Za to przed biurkiem stał niski chłopak w okularach i bluzie z kapturem. W rękach trzymał otwartą książkę. Trzy kolejne, przygotowane do wypożyczenia lub oddania, leżały na krawędzi blatu. Był tak zaczytany, że nawet nie zauważył Marty, choć dyszała jak parowóz, a przynajmniej tak jej się wydawało. Zza foliowej okładki z biblioteczną naklejką dostrzegła charakterystyczną grafikę i nazwisko Sally Rooney. Z uznaniem pokiwała głową. Właśnie wtedy Okularnik przerzucił stronę. Oderwawszy się na chwilę od lektury, kątem oka dostrzegł stojącą obok dziewczynę i aż podskoczył.

No pięknie, zabrzmiał głos w głowie Marty, teraz pomyśli, że stałam tu i się na niego gapiłam.

-- Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć.

-- Nie chciałem się przestraszyć -- odpowiedział szybko chłopak. -- Po prostu nikogo się tu nie spodziewałem.

-- Niemożliwe! To nie jest najpopularniejsze miejsce w mieście?

Uśmiechnął się. Miał miły uśmiech, budzący zaufanie.

Głośno (trochę zbyt głośno) wypowiedział swoje imię i zrobił gest, jakby chciał Marcie podać rękę, ale po ułamku sekundy się rozmyślił i pomachał jej niezdarnie. Odmachała, ale się nie przedstawiła.

-- Jesteś tu na wakacjach? -- zapytał.

-- Tak jakby.

-- Musisz naprawdę lubić czytać, skoro w mieście tak pełnym atrakcji wybrałaś właśnie bibliotekę. -- Mówił to, kurczowo ściskając swoją

książkę, i Marta zastanawiała się, czy żartuje, czy rzeczywiście chciałby usłyszeć, że ona też kocha książki.

-- W zasadzie weszłam tu spytać o internet -- przyznała, licząc, że nie wyjdzie na bezduszną mugolkę.

-- Ach...

-- Ale czytać lubię -- dodała nieco zbyt pospiesznie. -- Świetna książka. Jedna z moich ulubionych.

Wskazała na okładkę powieści trzymanej przez chłopaka.

-- Żadnych spoilerów! Dopiero zaczynam!

Marta wykonała dłonią gest zasuwania ust na suwak.

-- A jeśli chodzi o internet, to muszę cię zmartwić. Fatygowałeś się tu na próżno. Biblioteka zaufała 5G, jak my wszyscy. I teraz zostaliśmy na lodzie. Mam nadzieję, że zaraz usuną usterkę.

-- No nic, dzięki. -- Marta zawahała się chwilę, po czym pomachała mu ręką. -- Miłej lektury.

-- Hej, a może... poszłabyś ze mną na kawę? Pijasz kawę? -- Chłopak odłożył książkę i zrobił krok w jej kierunku.

Wyglądał sympatycznie, ale coś w tym ruchu za bardzo przypominało Marcie trzech osiłków sprzed sklepu.

-- Nie, dzięki. -- Dała krok do tyłu. -- Mam jeszcze sporo do zrobienia.

-- Co masz do roboty? -- Chłopak nie dawał za wygraną. -- Mówię ci, że internetu nigdzie nie ma.

-- Rodzina na mnie czeka. -- Marta cofała się do wyjścia, a chłopak szedł za nią. Wcale nie była pewna, czy nadal wydaje jej się sympatyczny.

-- Nic im się nie stanie, jak trochę poczekają. Chodź na kawę. Ostatecznie może być herbata.

Marta cofnęła się o kolejny krok, a Okularnik rzucił książkę na biurko i schwycił ją za przedramię.

-- Puść mnie natychmiast! Co ty sobie myślisz?!

-- Pogadajmy... Chcę tylko pogadać.

-- Jeżeli nie puścisz mnie w tej chwili...

Ale Okularnik nie dowiedział się, co by go czekało, gdyby nie puścił ręki Marty, bo do biblioteki wparowała ruda dziewczyna.

-- Co ty najlepszego wyprawiasz? -- Nie zatrzymując się ani na moment, podeszła do biurka i z całej siły zdzieliła Okularnika jedną z odłożonych przez niego książek.

-- Ja tylko chciałem się zapoznać... -- Chłopak próbował się osłonić przed kolejnymi razami.

-- Idź się zapoznaj z drzwiami wyjściowymi.

Nieoczekiwana wybawczyni zdzieliła go jeszcze raz, nadając mu stosowny rozpęd w kierunku wyjścia, po czym zwróciła się do Marty:

-- Wszystko w porządku? Nie przejmuj się nim. To palant, ale niegroźny.

## 18.

Heniek wszedł do chatki myśliwskiej, którą Jaworscy z premedytacją ominęli.

-- To nie jest kontent dla naszego targetu -- stwierdził półżartem Pan Wycieczka.

Teraz rodzina poszła ubijać masło, więc hipis mógł w spokoju przyrządzić się imponującej kolekcji noży i narzędzi do oprawiania zwierząt należącej do zbiorów tutejszego skansenu. Podziwiał kształty ostrzy wiszących na ścianach i kunsztowne wykonanie rękojeści.

Ze ściany spoglądał na niego łeb jelenia o wspaniałym porożu. Heniek uśmiechnął się do niego smutno.

-- Przykro mi, przyjacielu, ale takie jest życie. Zabijanie jest częścią natury. Naszej natury. A natura jest okrutna. -- Stary hipis wpatrywał się w szklane oczy zwierzęcia, jakby hipnozą zamierzał przywrócić je do życia. A może było odwrotnie? Może to duch wspaniałego jelenia hipnotyzował i przyzywał człowieka do mglistej krainy, którą teraz zamieszkiwał? -- Odsunęliśmy od siebie samą czynność mordowania, ale przecież zwierzęta nadal są zabijane. Po prostu płacimy komuś, żeby to robił za nas. Czy to czyni nas lepszymi, bardziej etycznymi? A może jest odwrotnie? Może konieczność spojrzenia w oczy istocie, którą się zaraz zabije, to jedyne, co powstrzymało nas przed przemysłowym barbarzyństwem? Najgorsze zbrodnie popełniano właśnie na odległość. Technologia pozwala zabijać bez patrzenia w oczy ofierze. W ten sposób ostatecznie odbiera nam człowieczeństwo...

Heniek w zamyśleniu zdjął ze ściany jeden z noży. Był wspaniały. Mężczyzna dostrzegł w nim odbicie własnych oczu i zdziwił się ich wyrazem. Pospiesznie odłożył przedmiot na miejsce.

-- Piękny, prawda? -- Pani z Okienka jak zawsze zjawiała się bezszelstnie. -- Jak pan wie, zasadą naszego skansenu jest nauka przez praktykę. Chciałby pan wypróbować to wspaniałe ostrze?

## 19.

Schodki są w każdym mieście. A jak nie schodki, to murki. Sam fakt obecności murku nie był więc wyjątkowy. Ale ten murek był spektakularny! Stanowił pamiątkę po ogrodzeniu, które niegdyś dzieliło dwa państwa. Przebiegał granią i szczytem wzgórza. Dziś niewiele z niego zostało i nawet jagniątko z łatwością by go przeskoczyło, ale siedziało się na nim wygodnie, a widok zapierał dech w piersiach. Cała dolina, w której umościł się Uśniejów, leżała teraz u ich stóp.

-- Faktycznie, piękne miejsce. -- Marta rozglądała się z uznaniem.

-- Mówiłam ci. -- Nastolatka z biblioteki przeszła po murku kilka kroków, rozkładając ręce jak linoskoczek.

-- Ale internetu nie ma.

Zaśmiały się obydwie. Nowa znajoma przedstawiła się dźwięcznym imieniem, ale zaraz dodała, że i tak wszyscy mówią na nią Ruda. Zero zaskoczenia. Miała loki w kolorze sierści wiewiórki i piegi. Jak mama, pomyślała Marta. Ruda była dość tęga i niezbyt wysoka. Marta z zaskocznością dostrzegła, że najwyraźniej czuje się doskonale w swoim ciele. Niektórzy po prostu mają to coś.

-- Co się tak na mnie patrzysz? -- zagadnęła Ruda zadziornie, przeskakując na niewielki, wyższy fragment murku. -- Liczysz, że spadnę i będzie przedstawienie?

-- Ładnie tu.

-- Mówiłam ci, że to najlepszy murek w mieście.

-- Mam na myśli, że w ogóle tutaj, w Uśniejowie.

-- To zależy, co kto lubi. -- W głosie Rudej zabrzmiał poważny ton. -  
- Niewiele się tutaj dzieje. Zwariowałabym w dwa dni, gdyby nie było Netflix'a. Czyli w zasadzie zostało mi tylko półtora dnia względnego zdrowia psychicznego. Tutaj wszystko kręci się wokół turystów. Nie ma pół roku, tylko sezon zimowy, sezon letni i wypełnione oczekiwaniem przerwy między sezonami. W wakacje nikt z nas nie wyjeżdża.

-- Po co mielibyście wyjeżdżać? Tu jest tak ładnie!

-- Nie wyjeżdżamy, bo pracujemy. Każdy z nas gdzieś dorabia. Ja obsługuję stoliki w Grapie.

-- Grappie?

-- Prawie. Przez jedno "p". Świetne miejsce. Jeżeli jesteś gościem, a nie kelnerką. Chociaż do pracy też nie jest takie złe. Nie mogę narzekać. Miałaś szczęście, że dziś akurat nie miałam zmiany...

-- Kto by mnie wtedy uratował?

-- No właśnie. Ten okularnik, z którego szponów cię wybawiłam, pracuje jako ratownik w aquaparku. A trzech goście, którzy zaczepili cię przed sklepem, to prawdziwi rycerze.

-- Ładni mi rycerze...

-- Nie! Serio... Robią jako statyści na zamku.

Marta się roześmiała. Nie wiedziała, co trudniej sobie wyobrazić: anemicznego Okularnika biegnącego do wody przy muzycze ze *Słonecznego patrolu* czy tamtych trzech młotków w kolorowych średnio-wiecznych pludrach.

-- Tak więc przez większość dnia pracujemy -- podsumowała Ruda.  
-- Ale za to co wieczór bawimy się, jakby jutra miało nie być. I prawdę mówiąc, co noc trochę na to liczymy. Byłoby super, gdyby jakaś apokalipsa zmiotła tę dziurę z powierzchni ziemi. Musisz dołączyć. Wpadniesz?

-- Ja... Bardzo bym chciała...

-- Wbijaj koniecznie. Twój nowy fan z biblioteki też tam będzie. Ale nic się nie martw: jakby co, obronię cię po raz drugi. Wezmę ze sobą encyklopedię, żeby tym razem porządnie mu przyłożyć.

-- Nie mogę. -- Marta wstała. -- Za dwie godziny już mnie tu nie będzie. Zaraz po obiedzie ojciec odbiera samochód od mechanika i wyjeżdżamy.

Sama nie wiedziała, dlaczego zrobiło się jej przykro. Jeszcze godzinę temu marzyła tylko o opuszczeniu tej paskudnej dziury i dotarciu do miejsca, z którego można się skontaktować z rzeczywistością. A teraz nagle poczuła, że chyba chciałaby tu zostać. I to na dłużej.

## 20.

-- Kochani, kochani, coś niesamowitego! Nie sądziłem, że kiedykolwiek wypowiem te słowa, ale kocham ten skansen! Mam tutaj taki chlebek, nie wiem, czy widać dobrze? Niby zwykły chlebek z masłem, ale tak naprawdę niezwykły! To jest chleb, który rodzina Jaworskich zrobiła zupełnie sama. Od podstaw. Żęliśmy zboże, młóciliśmy je cempem, testowaliśmy różne wiejadła i sita, mełliśmy ziarna -- tak się mówi, serio! Kawał roboty, jednym słowem. O przygotowywaniu ciasta i pieczeniu nie będę wam opowiadał, bo to może nawet kiedyś robiliście. Ale następnym razem, jak ktoś mi powie, że sam przygotowuje w domu chleb, tylko się zaśmieję. I powiem wam, że zrobienie chleba z masłem to nie bułka z masłem. Nie, no dobra, to był suchar. To się potem wytnie.

Podsumowując, to była jedna z najfajniejszych atrakcji turystycznych, jakie kiedykolwiek odwiedziliśmy. W ogóle. Podczas pięciu lat naszych wspólnych wycieczek! Ten pomysł z robieniem wszystkiego samemu był po prostu genialny i nie mogę zrozumieć, dlaczego każdy skansen tak nie wygląda!

-- Jeżeli tak wam się podobało w skansenie, zobaczymy, co powiecie na zamek. -- Pani z Okienka cierpliwie czekała, aż Jaworski skończy nagrywać materiał.

-- Zamek? -- zainteresował się Pan Wycieczka.

-- Jeżeli przyjechaliście do Uśniejowa, to na pewno macie w planach zamek, prawda? -- dopytywała Pani z Okienka. -- To perła i duma naszego miasta. I mają tam podobne motto, jak my tutaj. "Przeżyj to na własnej skórze".

-- Słyszeliście? -- zawołał Jaworski do reszty rodziny, która zdążyła się już rozproszyć po głównym placu skansenu, gdzie urządzono rewelacyjny plac zabaw. Marek pomachał ojcu z maszyny, która wyglądała jak gigantyczny kołowrotek dla chomików. Ciężko ją było rozkręcić w jedną osobę, ale uparł się, że da radę. Marysia z mamą karmiły



kaczki. -- W tym mieście jest mnóstwo atrakcji. Jakim cudem nie uwzględniłem go w programie wycieczki?

## 21.

Po zejściu ze wzgórza z murkiem Marta pożegnała się z Rudą, która musiała już lecieć do pracy.

-- No nic. -- Dziewczyna popatrzyła jej głęboko w oczy. -- Mam twój numer, zgadamy się przez WhatsAppa, jak tylko będzie zasięg. Swoją drogą, nigdy bym się nie spodziewała, że poznam kogoś nowego akurat w dniu, w którym wyłączą internet.

Marta uśmiechnęła się smutno i powlokła w stronę domu, w którym się zatrzymali. Kiedy się odwróciła, żeby jeszcze raz pomachać, Rudej już nie było.

W drodze powrotnej odtwarzała trasę, którą przeszła rano, tyle że od końca. Minęła bibliotekę. Przez przeszklone drzwi obrzuciła szybkim spojrzeniem puste wnętrze. Okularnika nie było. Pewnie zaczął już dyżur jako ratownik. Kolejne dwie przecznice i znalazła się pod sklepem. Trzech natarczywych zalotników też gdzieś wywiało.

W sumie szkoda, że wyjeżdżamy, pomyślała Marta. Chętnie bym ich zobaczyła w wersji średniowiecznej.

Wspinając się na pagórek nad domem starszych państwa, cały czas myślała o rozmowie z Rudą. Ciekawe, jak się żyje w takiej turystycznej miejscowości? Czy odnalazłaby się tutaj? Miała wielką ochotę wybrać się na tę wieczorną imprezę, ale wiedziała, że to niemożliwe. Ojca niełatwo namówić na zmianę planów. Odbierze samochód i zaraz po obiedzie wyjadą.

Przez chwilę wizualizowała sobie w wyobraźni scenariusz podstępного sabotażu. Mogłaby przeciąć kable od akumulatora. Albo zlecić tę brudną robotę trzem nowo poznanym najemnikom. Wyobraziła sobie, jak chłopaki spod sklepu, w kapturach i z wielkimi mieczami, skradają się pod warsztat, po czym osaczają suvana, jakby polowali na smoka. Na myśl o nich nie czuła już strachu. Uspokoila ją informacja, że Ruda ich wszystkich zna, że to tylko znudzone dzieciaki z okolicy.

I właśnie wtedy kompletnie znienacka przeszła ją fala niepokoju. Coś było nie tak. Coś tu się nie zgadzało. Prawie to miała... W ukła-

dance, którą składała w głowie, brakowało jeszcze jednego, ostatniego puzzla.

Marta zatrzymała się na wzgórzu. Za sobą miała Uśniejów z malowniczymi ruinami baszty, przed sobą -- trzy ostatnie domy, w tym ten należący do sympatycznych starszych państwa. No nic. Na pewno zaraz sobie przypomni. To pewnie i tak coś nieistotnego. Na podwórku przed chatką nadal nie było suwana. Reszta rodziny pewnie nie zdążyła jeszcze wrócić ze skansenu. Co można robić tyle czasu w zakurzonych starych chatkach?

## 22.

Obiad był przepyszny.

-- Chciałbym mieć trzy żołądki, żeby dołożyć sobie jeszcze porcję wszystkiego! -- Pan Wycieczka nie mógł się zdecydować: jeść czy robić zdjęcia.

-- Ja jeszcze rosnę, więc mogę śmiało zjeść więcej -- wtórował mu syn.

Marcie też smakowało. Miała straszną ochotę zabawić w Uśniejowie dłużej. Zajadała więc w milczeniu, słuchając kolejnych fal zachwyków nad tutejszym skansenem, i myślała, co by się stało, gdyby po prostu oświadczyła, że zamierza tu zostać, a w dodatku wieczorem wybiera się na imprezę.

-- Żałuj, że cię nie było! -- powtórzyła jej matka po raz czwarty czy piąty w trakcie tego posiłku. -- Mądrze pomyślane miejsce. Mnóstwo się można nauczyć. Tata ma wszystko nagrane. Może potem zobaczysz?

Marta bez przekonania skinęła głową. Raczej nie zobaczy. Wolałaby przez pół godziny wpatrywać się w ścianę. Ba, wolałaby w tę ścianę walić głową niż oglądać filmiki taty.

-- To miejsce naprawdę pozwala przemyśleć swoje priorytety -- zgodził się z Jaworskimi Heniek. -- Powinni tam organizować obowiązkowe wycieczki szkolne. Po czymś takim zupełnie inaczej patrzy się na historię.

-- Chciałabym tu jeszcze zostać. -- Marta była zaskoczona, że wyowiada tę myśl na głos. Wcale nie było tak strasznie, więc dodała od razu: -- Na spacerze poznałam parę osób z okolicy. Wieczorem wszyscy będą na... na takim plenerowym koncercie.

Nie miała odwagi użyć słowa "impreza". To zresztą nie miało specjalnego znaczenia. I tak znała odpowiedź.

-- Wykluczone. -- Mama odłożyła widelec i popatrzyła na nią groźnie. -- Przecież wiesz, że zaraz po obiedzie tata odbiera samochód od mechanika i wyjeżdżamy.

-- Wiesz, kochanie -- zwrócił się do żony Pan Wycieczka. -- A może to nie jest taki zły pomysł? Marta tak rzadko zawiera nowe znajomości... To super, że wkręciła się tutaj w jakieś towarzystwo. Do Wysowej zdążymy pojechać jutro.

To miejsce jest zakłęte, pomyślał Marek. Jakaś demoniczna istota rzuciła urok na ojca. Albo gorzej. Kiedy nie patrzyliśmy, podmieniono go na klona z kosmosu.

Po chwili zagadka się wyjaśniła. Pan Wycieczka nadal był Panem Wycieczką. Nikt go nie zauroczył ani nie sklonował.

-- My moglibyśmy w tym czasie odwiedzić ruiny -- kontynuował Jaworski. -- Jeżeli są chociaż w połowie tak dobre jak skansen, to będziemy z tego mieli rewelacyjny materiał. Takie rzeczy świetnie się klikają.

-- Jak to? -- Natalia była zaskoczona. Spodziewała się, że mąż będzie ich poganiał przy obiedzie, żeby nadrobić stracone atrakcje w Wysowej, a na propozycję córki zareaguje wściekłością.

-- Moglibyśmy tu zostać jeszcze jedną noc. Jeżeli oczywiście nasi gospodarze mają wolne pokoje.

-- Ależ koniecznie, koniecznie! -- Starsza pani powoli zbierała talerze, robiąc na stole miejsce na placek drożdżowy z jagodami. -- Jesteście tu gośćmi. Zostańcie.

## 23.

Marta stała w łazience. Przed sedesem czekał już starannie ułożony dywanik z papieru toaletowego. Dziewczyna uklęknęła, ale po kilku sekundach się poderwała. Uświadomiła sobie, że jednak nie chce wymiotować. Była szczęśliwa i podekscytowana. Ale było coś jeszcze. Spotkanie z Rudą w niezwykle sposób wzmocniło jej pewność siebie. Marta z podziwem wspominała, jak nowa znajoma dowaliła temu okularnikowi książką. Szkoda, że nie było jej przed sklepem. Tamtym trzem też pewnie by pokazała. I co to w ogóle za chamska odzywka: "Fajna jesteś, u nas same grube". Nie pozwoli, żeby takie teksty rządziły jej życiem. Podniosła przygotowany papier i wrzuciła go do muszli. I wtedy niespodziewanie ostatni brakujący puzzel wskoczył na swoje miejsce. Już wiedziała, co było nie tak.

Na murku Ruda powiedziała, że trzech goście, którzy zaczepili ją przed sklepem, dorabiają sobie na zamku. Ale skąd, u diabła, wiedziała, że ktoś zaczepił ją przed sklepem? Przecież spotkały się dopiero w bibliotece, a Marta doskonale pamiętała, że nie opowiedziała jej o wcześniejszym zdarzeniu.

Poczuła, że znów zbiera się jej na wymioty.

## 24.

Wyszczerbiona baszta górowała nad miastem, więc trafić do ruin nie było trudno. Niespodzianka polegała na tym, że spacer okazał się sporo dłuższy, niż Jaworscy się spodziewali.

-- Rano ten zamek wydawał się jakoś bliżej... -- Zasapany Pan Wycieczka coraz bardziej żałował, że zabrał ze sobą ciężki sprzęt. Jeden ze statywów dał do dźwigania Markowi, drugi uprzejmie wziął na siebie wciąż towarzyszący im Heniek, ale lampa, baterie i kilka innych drobiazgów i tak porządnie obciążały plecak ojca rodziny.

-- Jeszcze tylko kawałeczek, tato. Na pewno dasz radę -- dopingowała go Marysia, dzielnie drepcząca u boku mamy.

Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, potrzebowali dobrych kilku minut, by odsapnąć. W końcu Pan Wycieczka zwałókł się z ławeczki i poczłapał po bilety.

-- Witam rodzinę! -- zawołała na jego widok znajoma Pani z Okienka.

-- Co pani tutaj robi?

-- Bilety sprzedaję...

-- Myślałem, że pracuje pani w skansenie.

-- Tam też. Ale to filie jednej instytucji. -- Pani z Okienka sięgnęła do szuflady po bilety. -- Kręcicie te wszystkie filmy, to dam wam darmowe, na legitymację prasową.

-- Ale ja nie mam legitymacji...

-- To dam wam darmowe bez legitymacji.

Gdyby każdy miał tyle entuzjazmu dla swojej pracy!, pomyślał Pan Wycieczka.

Tymczasem rodzina czekała na niego przed bramą stylizowaną na most zwodzony, ale bez prawdziwej fosy. Jakby osoby odpowiedzialne za rekonstrukcję do ostatniej chwili nie mogły się zdecydować, czy nawiązują do historii, czy raczej do literatury fantasy. Marek z umiarkowanym zainteresowaniem przyglądał się tablicy informacyjnej zestawiającej w losowym porządku daty, kwoty i logotypy.

-- O, Jutuber! -- usłyszał nagle tuż koło ucha. Odwrócił się i zobaczył tęgiego chłopaka mniej więcej w swoim wieku. -- Prywatnie tu jesteś czy służbowo?

Młody Jaworski wpatrywał się w niego, próbując sobie przypomnieć, co to za gość, aż wreszcie coś zaskoczyło. To był chłopak od niego ze szkoły, z równoległej klasy. No proszę. A zatem Uśniejów jednak istnieje na wycieczkowej mapie Polski.

-- Witam! -- Marek przyłożył dwa palce do skroni, imitując gest salutowania. -- Na służbie jestem. Odpocznę sobie w szkole. A ty?

-- Wiesz, zwykle rodzinne wakacje. -- W głosie kolegi pobrzmiwała nutka żalu, że jego wakacje są po prostu wakacjami. A może Markowi tylko się wydawało? -- Przyjeżdżamy tu z rodziną co roku, odkąd byłem w zerówce czy coś takiego.

-- Co tu warto zobaczyć? -- rzucił młody Jaworski od niechcienia i natychmiast uświadomił sobie, że brzmi zupełnie jak ojciec. Ten sam ton głosu, ten sam akcent na "warto". Wykonał nawet taki sam gest: przebiegł dłonią po horyzoncie, obejmując w posiadanie wakacyjne królestwo. Przecież ciągle się podśmiewał z Króla Wycieczek. "Spójrz, Simba. Cała ta ziemia opromieniona słońcem to nasze królestwo!", przedrzeźniał go. A teraz nieświadomie powtarza te same gesty i słowa. DNA czy presja wychowania? Czy jest dla niego inna droga niż dziedziczenie youtube'owego tronu? Czy jest skazany na los Księcia *Wycieczek*?

-- Co tu warto zobaczyć? -- powtórzył jego pytanie kolega ze szkoły i zamyślił się, jakby dano mu do rozwiązania jakieś skomplikowane równanie albo zadano podchwytliwą zagadkę. -- Czy ja wiem...? Brontozaur robi wrażenie, Infinity Loop jest niezłe, naprawdę adrenalina skacze. Tylko w parku zdrojowym uważaj, bo...

Ale Marek się nie dowiedział, dlaczego ma uważać w parku zdrojowym ani czym jest Infinity Loop, bo aktualny pan i władca królestwa wycieczek wrócił z kasy z plikiem biletów oznaczonych wielkim zielonym napisem "GRATIS".



-- Kochani, zaczynamy. Przed nami... -- Jaworski rzucił okiem na ulotkę, którą trzymał w ręku -- ...ruiny grodu warownego z trzynastego wieku. Chociaż baszta wygląda na sporo późniejszą...

Marek rozłożył ręce w geście wyrażającym bezradność, po czym ponownie zasalutował koledze.

-- Do zobaczenia na szlaku! -- rzucił na odchodne. Jakby wyruszali co najmniej w Himalaje.

Zamiast tego weszli na teren obiektu, który wyglądał jak wiele podobnych miejsc rozsianych po całej Polsce. Parę oryginalnych kamieni, kilka chałupniczych rekonstrukcji, sporo pola pozostawionego wyobraźni. Na środku stoisko z drewnianymi mieczami, w baszcie i kilku zachowanych komnatach niewielkie wystawy prezentujące pojedyncze sztuki broni i suknie z epoki (zwykle zresztą z zupełnie innej epoki).

-- Ciekawe, czym nas zaskoczą... -- zastanawiał się Pan Wycieczka.

-- Może tym razem zaskoczeniem będzie brak zaskoczenia? -- Marek nie chciał psuć zabawy, ale odnosił wrażenie, że balonik oczekiwania jest trochę za mocno napompowany.

-- To ciekawe, że przyszedliśmy tutaj, bo skansen był super -- zastanawiała się na głos Natalia. -- Dwa obiekty zamiast konkurować, napędzają sobie nawzajem klientów.

Miała rację. To jeden z najbardziej fascynujących sekretów turystyki! Jest sobie wioska pośrodku niczego. Pewnego dnia ktoś postanawia zbudować w szczerym polu park dinozaurów. Ma trochę gości, ale w sumie niewiele się dzieje. Potem ktoś z sąsiadów pozazdrości mu pomysłu i otworzy obok zwierzyniec ze strusiami albo alpakami. W normalnej sytuacji dwie placówki zaczęłyby konkurować, odbierając sobie klientów. Rozpoczęłaby się darwinowska walka o prymat, przetrwałby najsilniejszy. Ale ta branża rządzi się innymi prawami. Przy trzech albo czterech obiektach przekroczona zostaje masa krytyczna i z połączenia oddzielnych atrakcji powstaje nowa jakość, jaką jest miejscowość turystyczna, czyli to, czego właśnie doświadczyli Jaworscy. Konkurencja zmienia się w symbiozę. Dwa i dwa daje pięć. Pojawia się wartość dodana. Wszystkim zaczyna przybywać. Ludzie, którzy nie fatygowałiby

się na drugi koniec Polski tylko po to, żeby zobaczyć kilka plastikowych dinozaurów, przyjeżdżają, bo mają więcej powodów. Zostają dłużej. Nocują w hotelu, jedzą w restauracji, korzystają z usług lokalnego przewoźnika. Infrastruktura się rozwija, pojawiają się kolejne atrakcje.

Dlatego każda miejscowość turystyczna jest jak żywy organizm. Poszczególne atrakcje nie funkcjonują osobno, lecz wpływają na siebie, wzmacniając się lub osłabiając. Łączy je i splata niewidzialna więź. Fascynujące są te hybrydowe byty, ich sekretna biologia i niezwykły metabolizm.

"Cała ta ziemia opromieniona słońcem to nasze królestwo!", pomyślał znowu Marek, z rozbawieniem obserwując gesty ojca. A potem, nie wiadomo dlaczego, przypomniał sobie dalszy fragment dialogu z *Króla Lwa*: "Wszystko, co opromienia słońce? A to takie ciemne miejsce?". "To już nie należy do nas. I nie wolno ci tam chodzić".

## 25.

Marta nie poszła z rodziną do ruin. Sama czuła się jak ruina. Po wyjściu z łazienki bez celu kręciła się po pokoju, wpatrując się w pokraccze drewniane figurki, które ktoś ustawił w ich sypialni. Pomyślała, że wyglądają jak pokemony. Pewnie można by im nadać śmieszne japońskie imiona i trochę by od tego złagodniały. Ale teraz wyglądały upiornie. Były topornie wykonane i groteskowe, a jednocześnie miały w sobie coś niepokojąco realistycznego. To tego typu zabawki, które na noc zamykasz w szafce, bo się boisz, że ożyją.

Zeszła po schodach. Sama nie wiedziała, kiedy to się stało. Nie podjęła świadomej decyzji. Po prostu w pewnym momencie była już na dole. Siedziała w kuchni i czekała na starszą panią, która akurat gdzieś zniknęła. Rozglądając się po izbie, wyławiała wzrokiem kolejne przedmioty wyrzeźbione z drewna i nabierała pewności, że nie zostały kupione na lokalnym festiwalu rzemiosła. Czy to możliwe, że sędziwy gospodarz wykonał wszystkie te rzeczy, włącznie z dziwacznymi figurkami z ich pokoju? Jeżeli tak, musi koniecznie spytać, co właściwie przedstawiają. Może staną się mniej upiorne, kiedy pozna ich sekret? Ale zamiast tego zapytała o coś zupełnie innego.

-- Nie poszłaś zwiedzać? -- zdziwiła się gospodyni, wchodząc do izby.

-- Postanowiłam wykorzystać okazję i odpocząć od zwiedzania.

-- To co będziesz robić? Może głodna jesteś?

-- Nie, dziękuję. Właściwie wybierałam się w jedno miejsce. Wie pani może, jak trafić do restauracji o nazwie Grapa? Internet nie działa i nie można nic sprawdzić...

## 26.

Bezpłatny audioprzewodnik do pobrania po zeskanowaniu kodu QR to świetne rozwiązanie. Nowoczesne, oszczędne i wygodne. Chyba że akurat w całym mieście nie ma internetu.

-- No to tu mamy basztę... -- Pan Wycieczka wskazał na budynek, który wszyscy i tak widzieli. -- Może zwiedzanie zaczniemy od niej.

Weszli do środka. Na parterze wieży z niewiadomego powodu znajdowało się łożo z baldachimem.

-- Ładne. Ale raczej nie z epoki -- skwitował Pan Wycieczka.

-- To przede wszystkim dobry punkt startowy. -- Natalia aż podskoczyła, gdy tuż za nią rozbrzmiał nagle głos Pani z Okienka. -- Bo punktem wyjścia dla naszej opowieści będzie miłość. I nie tylko o uczuciu mowa, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Kobieta rzuciła znaczące spojrzenie dorosłym. Marek poczuł się pominięty.

-- Nie możecie dziś skorzystać z naszej aplikacji -- ciągnęła przewodniczka -- więc pozwólcie, że trochę was oprowadzę i powiem wam kilka słów o tym miejscu i jego historii. Każdy zamek w Polsce ma swoją białą damę. My dla odmiany mamy Czerwoną Kasztelanową. Jest dużo lepsza, mówię wam. Żartujemy często, że gdyby ludzie z HBO szukali pomysłu na nową *Grę o tron*, spokojnie mogliby zekranizować dzieje tego miejsca. Jeśli macie znajomych w tym biznesie, to koniecznie dajcie im znać!

Znajdujemy się w ruinach warownego grodu, którego krótkie i dramatyczne dzieje związane są z najazdem tatarskim. Trzynasty wiek. W Polsce trwa, przypominam, okres rozbicia dzielnicowego. Chaos, niestabilne rządy. Ze wschodu docierają coraz dziwniejsze wiadomości o nadciągającej hordzie straszliwych wojowników, których okrucieństwo przekracza wszystko, co Europejczycy dotychczas znali. W trudnej sytuacji pewien książę postanawia ufundować w tej strategicznie położonej dolinie fortyfikacje, które pozwoliłyby na skuteczniejszą obronę granic. Ich budową, a potem obsadzeniem i utrzymaniem

niem zajmuje się kasztelan Bolko, wedle innej wersji Belko. To może być zwykła literówka. Pojawia się w dwóch źródłach, ale może stanowić rezultat skopiowania błędu. Chociaż nie jest zupełnie wykluczone, że to jakaś forma powstała nie od imienia Bolesław, lecz od węgierskiego Bela. Tak więc nie mamy nawet pewności, jakim językiem mówił nasz kasztelan. Wiemy natomiast, bo jest to potwierdzone w kilku źródłach, że bardzo kochał swoją żonę Adelajdę. Zapewne też Węgierkę. Była piękna i, co istotne, ruda. Choć co do koloru włosów nie mamy całkowitej pewności. Pewien filolog klasyczny tłumaczył mi, że łacińskie słowo *rufus* mogło także oznaczać kolor złoty, jedno z końskich umaszczeń, a nawet kolor wody w Tybrze.

Miłość Bolka i jego rudej lub złotej Adelajdy zajmuje w zachowanych źródłach tak dużo miejsca, że śmiejemy się tu z koleżankami pracującymi na grodzie, że to tacy nasi średniowieczni Sobieski i Marysieńka albo Napoleon i Józefina. Dzieci słuchają, więc nie będę się zagłębiać w szczegóły -- na chwilę zniżyła głos do szeptu -- ale w lokalnym folklorze zachowały się aż do dziewiętnastego wieku przekazy o ziołowym afrodyzjaku, który zapewniał parze długie godziny miłosnych uniesień. Chociaż w tym wypadku także nie mamy pewności, czy nie dotyczą jakiejś zupełnie innej historii, bo na tych terenach mieliśmy potem migracje różnych grup etnicznych. Można powiedzieć, że po przejściu Mongołów zostało tu sporo pustego miejsca do zasiedlenia.

Ale wróćmy do naszego kasztelana. Bolko gród wybudował, wyposażył i obsadził ludźmi. Mieszkał tu sobie z żoną i patrolował okolicę, codziennie wyglądając nadciągającej apokalipsy. Aż pewnego dnia nadeszła. Jeden ze zwiadowców doniósł o zbliżającej się armii, która przelewała się przez góry jak szarańcza albo chmara mrówek. Drugi zwiadowca przekazał wiadomości o wojsku, które nadciągało jak czarne morze. Trzeci zwiadowca w ogóle nie wrócił. Bolko miał go jeszcze zobaczyć.

Nasz dzielny kasztelan mobilizował swoich ludzi, zbierał zapasy, szykował strzały i przygotowywał wszystko do przetrwania oblężenia.

Sam musiał pozostać na posterunku, lecz ukochaną żonę postanowił wyprawić aż do Krakowa, gdzie miała bezpiecznie czekać na jego powrót. Tyle że Adelajda nawet nie chciała słyszeć o rozłące. Pozostała w zamku u boku swego męża i stała się ostatecznie przyczyną jego zguby.

Kilka dni po powrocie posłańców Bolko wraz z drużyną zaufanych rycerzy wyjechał na zwiad i nocą podkradł się w pobliże armii wroga. Leżąc w zaroślach, obserwował niewyobrażalną liczbę obcych wojowników, ich wyposażenie i nadludzką dyscyplinę. W obozowisku dostrzegł też trzeciego zwiadowcę, a raczej to, co z niego zostało: głowę nadzianą na włócznię.

Po powrocie do grodu Bolko nie mógł zasnąć. Leżał u boku ukochanej kobiety, wiedząc, że za dwa, trzy dni ta czarna masa przeleje się przez mury i pozbawi życia każdego, kogo spotka na drodze. Rozpaczliwie szukał sposobu na ocalenie Adelajdy, aż wreszcie zdecydował się na dramatyczny krok.

O brzasku wyjechał na białym koniu na spotkanie forpoczty wroga. Samotnie, bez zbroi i miecza. Z pustymi rękoma. Podjechał pod strażę mongolskiego obozu i kazał się prowadzić do dowódcy. Złożył mu atrakcyjną propozycję: obiecał poddać gród bez walki w zamian za ocalenie jednej osoby.

-- Zgodzili się? -- Natalia słuchała z wypiekami na twarzy. Jej córeczka wydawała się równie zainteresowana, dlatego Natalia miała nadzieję, że nie wszystko rozumie.

-- Podły zdrajca! -- oburzył się Marek.

-- Romantyk... -- zaprzeczył Pan Wycieczka.

-- Wokulski. Romantyk czy pozytywista? -- zripostował syn.

W tym momencie komórka przewodniczki zadzwoniła. Marek poczuł się jak wędrowiec, który po tygodniu przeprawy przez pustynię nagle dostrzega źródło bijące ze skały.

-- Zasięg! -- krzyknęli Jaworscy jednocześnie, w ułamku sekundy zapominając o zakochanym kasztelanie Bolku i jego korupcyjnej propozycji.

## 27.

Duży budynek wzniesiono z jasnych bali. Dach pokryto wprawdzie nie gontem, ale antracytową blachodachówką, lecz kształt okien i drzwi oraz zdobienia na belkach nie pozostawiały wątpliwości co do góralskich inspiracji architekta.

Nigdy tu nie byłam, ale już to kiedyś widziałam, pomyślała Marta.

Restauracja Grapa była typowa. Wszystko w Uśniejowie było typowe. Dobre, ładne, starannie wykonane, ale typowe. Tak by to wyglądało, gdyby algorytm napisany przez szalonego geniusza z Doliny Krzemowej odtworzył po milionie prób i błędów idealną turystyczną miejscowość na podstawie danych z setek faktycznie istniejących miasteczek. Albo gdyby ten algorytm naśladował nie tyle rzeczywiste miejscowości, ile wyobrażenia turystów o tym, co widzieli i czego się spodziewają na swojej drodze.

Na tarasie siedziała rodzina wcinająca z apetytem lokalne specjały. Jedzenie musiało być tu wyśmienite, bo nawet czworo dzieci zachowywało pełną skupienia ciszę. Marta zawahała się i przystanęła w połowie schodków prowadzących do środka. Co właściwie zamierzała powiedzieć Rudej? O co chciała ją spytać? Cofnęła się o stopień i już miała zawrócić, gdy przez okno dostrzegła nową znajomą zbierającą zamówienia przy jednym ze stolików. Ruda też ją zauważyła i posłała jej promienny uśmiech, gestem zapraszając do środka. Marta pociągnęła ciężkie drewniane drzwi rzeźbione w góralskie wzorki.

-- Marta! Stęskniłaś się czy zgłodniałaś?

-- Ja... -- Dziewczyna spuściła wzrok. -- Słuchaj, macie tu jakieś przerwy czy coś takiego?

-- Pewnie. Siądź tutaj i poczekaj na mnie dosłownie pięć minut. Poczytaj sobie tymczasem. -- Rzuciła jej menu. -- Może zgłodniejesz? Wyglądasz, jakbyś potrzebowała solidnego posiłku.

Marta przycupnęła na krawędzi krzesła przy jednym z nielicznych wolnych stolików. Najwyraźniej Grapa należała do szczęśliwych miejsc cieszących się łaską turystów. Nastolatka rzuciła okiem na menu. Be-

żowe kartki zapisane dużymi brązowymi literami. Nazwy potraw gwarowe albo raczej stylizowane na gwarę. Ceny umiarkowane, a porcje pewnie duże. Znów to dziwne *déjà vu*. Nigdy tu nie była, a przecież znała to miejsce.

-- Dobra, chodźmy na papierosa! -- Ruda stanęła koło niej, rozwiązując fartuch.

-- Nie palę.

-- Ja też nie. Ale każdy pretekst dobry, żeby się urwać na dziesięć minut. -- Ruda poprowadziła Martę przez kuchnię i zaplecze na niewielkie podwórko z tyłu karczmy.

-- Skąd wiedziałaś o gościach spod sklepu? -- spytała Marta, gdy tylko się zatrzymały. Chciała już mieć to za sobą.

Ruda milczała, ale wcale nie wyglądało na to, że nie rozumie pytania.

-- Skąd wiedziałaś o koleśkach, którzy zaczepili mnie pod sklepem? -- powtórzyła młoda Jaworska. -- Nie wspomniałam ci o nich, a potem na murku powiedziałaś, że dorabiają na zamku. To jakiś wasz wspólny wielopiętrowy żart? Śledziłaś mnie? Jesteś stalkerką?

Ruda zaczęła płakać. Tak po prostu, bez żadnej zapowiedzi. Martę kompletnie ta reakcja zaskoczyła.

-- Tak, szłam za tobą od sklepu -- przyznała Ruda. -- Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Po prostu zwróciłaś moją uwagę. Byłam ciekawa, kim jesteś i co robisz sama w takiej nieturystycznej części miasta. Przykro mi. Powinnam ci od razu powiedzieć, ale co byś sobie o mnie pomyślała?

Marcie zrobiło się głupio. Zrobiła krok w stronę dziewczyny.

-- Nie jestem jakąś psychopatyczną wariatką... Zwykle nie śledzę ludzi. -- Ruda zanosila się szlochem.

-- Nie, no przestań. -- Marta ją objęła. -- Przecież to kompletnie nieistotne. Byłam po prostu ciekawa. A przede wszystkim to chciałam spytać, gdzie jest to epickie imprezowe miejsce, o którym wspominałaś.



-- Zamierzasz dołączyć? -- Ruda raz jeszcze pociągnęła nosem i przestała płakać.

-- Nie ominęłabym takiej okazji za żadne skarby.

-- Spotykamy się w ruinach. Impreza będzie na dziedzińcu zamku. Mamy możliwość wejścia po zamknięciu. Powiedzmy, że pewien życzliwy rycerz nas wpuści.

Marta musiała zrobić zaskoczoną minę, bo Ruda dodała: -- Chyba się nie boisz?

## 28.

Pani z Okienka musiała się poczuć jak bohaterka horroru.

-- Zasięg... Zaaaaasięg -- powtarzała grupka zombie, wyciągając ku niej ręce, podczas gdy ona prowadziła w torebce rozpaczliwe poszukiwania telefonu.

-- Proszę państwa, proszę państwa... -- uspokajała Jaworskich. -- Nie chcę państwa rozczarować, ale jest po prostu szesnasta czterdzieści pięć. To nie telefon, tylko alarm, który ustawiłam sobie jako przypomnienie. -- Odwróciła w kierunku turystów ekran swojej komórki, na którym faktycznie widniała ikona alarmu i niepokojący biały napis "DOBIJ GO!".

-- Dobij go? -- Marek zwerbalizował pytanie, które wszyscy mieli ochotę zadać.

-- To nasze wewnętrzne oznaczenie. Ustawiłam sobie alarm, żeby przygotować wszystko do pokazu -- wyjaśniła pracowniczka muzeum.

-- Czyli nie dowiemy się, jak Mongołowie zareagowali na atrakcyjną propozycję romantycznego Bolka? -- zatrzymał ją Pan Wycieczka.

-- Ależ dowiecie się, dowiecie -- uspokoiła go Pani z Okienka. -- Wytrzymajcie dosłownie pół godzinki. To będzie taki, jak to mówią w branży filmowej, cliffhanger. A w przerwie opowieści z pewnością nie będziecie się nudzić. Za dokładnie piętnaście minut... już nawet czternaście... na dziedzińcu będą się działy ciekawe rzeczy. Przez ten czas możecie sobie spokojnie wejść na wieżę i rzucić okiem na panoramę. Widok zapiera dech w piersiach. Będziecie zaskoczeni!

Po czym raźno potruchtała w kierunku swojego biura.

-- Ma mnóstwo entuzjazmu dla swojej pracy. -- Pan Wycieczka z uznaniem pokręcił głową.

-- Tak, tak. Powinna prowadzić kanał na YouTube. -- Marek ukradł mu puentę.

-- Idziecie czy nie? -- rzucił Heniek, wspinając się na kręte schodki. -- Cokolwiek kryje się pod hasłem "Dobij go!", nie chcemy tego przegapić, prawda?

Marysia pomknęła za nim i Natalia musiała podbiec parę kroków, bo obawiała się, że dziewczynka nie poradzi sobie na stromych kręconych schodach. Niesłusznie. Wspiwała się po nich na czworaka z gracją małego zwierzątka i gdyby matka jej nie zatrzymywała, zapewne bez trudu wyprzedziłaby zaprawionego we wspinaczce hipisa. Pozostali członkowie rodziny radzili sobie znacznie gorzej.

-- Widać tam już koniec? -- Jaworskiemu znowu brakowało oddechu.

-- Jeszcze nie! -- odkrzyknął z góry Heniek. -- To bydlę jest wyższe, niż się z zewnątrz wydaje.

-- Tata, jak tak dalej pójdzie, będziesz musiał zmienić ksywę na Pan Zadyszka -- rzucił Marek.

-- Może poszczególne stopnie są niższe niż normalnie? -- zastanawiał się Jaworski. -- Dlatego wspinaczka bardziej męczy, a wieża wydaje się wyższa?

-- A może po prostu nie masz formy?

-- Widać światło! -- rzucił Heniek. Zniknął w otworze niewielkiej klapy, a uszu Jaworskich dobiegł okrzyk zdziwienia wzbogacony o kilka soczystych przekleństw.

-- A jutro Marysia powtórzy to przy stole -- westchnęła Natalia.

-- Oż ty... -- Markowi aż zakreśliło się w głowie. -- Ta baszta faktycznie jest wyższa, niż się wydawało z zewnątrz. Ale panorama!

Ze szczytu rozpościerał się wspaniały widok na cały Uśniejów. Przed upadkiem chroniły ich solidne kute barierki, ale Natalia odruchowo objęła córeczkę ramieniem. Dopiero gdy poczuła, że jest bezpieczna, odważyła się spojrzeć w dół. Miasto było znacznie większe, niż się spodziewała. Rozpoznała skansen i leżący na samym skraju lasu domek starszych państwa. Miejscowość otaczały przepiękne góry porośnięte starym mieszanym borem, leciutko już o tej porze roku wpadającym w złoto. Niechybny znak, że kończą się wakacje i nadchodzi jesień. Pan Wycieczka zaczął się kręcić z telefonem, wykonując panoramiczne zdjęcie. Wszyscy wiedzieli, że lepiej mu wtedy nie wchodzić

w obiektyw. Natalia gestem skierowała córeczkę z powrotem na schody.

-- Chodźmy. -- Sprawdziła godzinę na komórce. -- Żebyśmy zdążyli zejść, zanim się zacznie... cokolwiek ma się zacząć o siedemnastej.

Droga w dół okazała się łatwiejsza. Zawsze warto mieć grawitację po swojej stronie.

Kiedy wyszli przed basztę, białe cyfry na ekranie wskazywały szesnastą pięćdziesiąt sześć. Natalia rzuciła okiem na wieżę. Z dołu faktycznie wydawała się niższa. To pewnie coś takiego jak w przypadku greckich kolumn. Zachodzi jakieś złudzenie optyczne... Trzeba je było robić szersze u góry, żeby z dołu wyglądały na proste. Czy coś w tym stylu.

Ostatni członkowie rodziny właśnie opuszczali basztę, gdy wybiła siedemnasta i rozległ się dźwięk trąbki. Fanfara przywitała parę, która dostojnym krokiem wkroczyła na krużganek na piętrze naprzeciw bramy, zajmując coś w rodzaju łoża honorowej. Pomimo rudej peruki Natalia z łatwością rozpoznała Panią z Okienka w roli średniowiecznej damy.

-- Bolko i Adelajda we własnych romantycznych osobach -- skomentował Pan Wycieczka, zanim jeszcze herold przedstawił gospodarzy wydarzenia.

-- A teraz przed państwem dwóch znakomitych wojowników w rycerskim pojedynku na śmierć i życie.

-- Pokaz rycerski... Tego nikt się nie spodziewał -- ziewnął rozczarowany Marek.

-- To rycerze pojedynkowali się na śmierć i życie? -- zapytała Natalia.

Zanim jednak Pan Wycieczka zdążył wrócić do dawnej roli nauczyciela historii i rozpocząć czterdziestopięciominutowy wykład na temat zawłości kodeksu rycerskiego, dwaj młodzi ludzie rozpoczęli walkę, która wyglądała...

-- Wiarygodnie... -- zdziwił się Heniek. -- Wygląda zaskakująco wiarygodnie.

Zamiast lekkich markowanych ciosów, które pamiętali ze wszystkich dotychczasowych pokazów rycerskich, oglądali właśnie coś, co niepokojąco przypominało walkę na śmierć i życie. Dwóch młodzików okładało się tak, że na tarczach pojawiały się widoczne wgniecenia. Ciężkie miecze fruwały w powietrzu i ze straszliwym szczękiem spadały na metalowe pancerze.

-- Boję się, mamó. -- Marysia mocno przytuliła się do nogi Natalii.

-- Nie bój się, kochanie -- uspokajała ją matka. -- To wszystko jest tylko na niby.

Ale wcale nie była o tym przekonana. W pewnym momencie jeden z rycerzy otrzymał straszliwy cios w kolano i Natalia była pewna, że nim chłopak zwałił się na klęczki, jego noga wygięła się w sposób, w który ludzkie kończyny z pewnością nie powinny się wyginać.

-- To tylko taka zabawa... -- powtórzyła Natalia, tym razem chyba bardziej do siebie.

Jeden z młodzików klęczał teraz na ziemi, z trudem łapiąc oddech, drugi pochylał się nad nim i opierając miecz o ziemię, wpatrywał się w taras. Oczy widzów także zwróciły się ku górze. Facet wcielający się w kasztelana Bolka stał bez ruchu jak kukła, za to Pani z Okienka wznosiła się na wyżyny kunsztu aktorskiego, odgrywając Adelajdę. Wyglądało na to, że ruda kasztelanowa lubiła przemoc, bo Pani z Okienka uśmiechała się szeroko, a na jej twarzy malował się wyraz okrucieństwa.

-- Dobij go -- powiedziała.

Jej głos był lodowato spokojny, ale na tyle donośny, że widzowie bez trudu go usłyszeli.

-- Nie, proszę... -- wycharczał klęczący na ziemi. Natalii wydawało się, że jego noga krwawi.

Zwycięzca uniósł broń wysoko nad głowę. Raz jeszcze upewnił się spojrzeniem, że tego właśnie oczekuje od niego Kasztelanowa, po czym zaczął okładać przeciwnika mieczem.

To nie był jeden potężny cios kończący walkę, jakie zwykle widuje się w filmach. Po pierwszym uderzeniu ofiara z klęczek osunęła się na

brzuch, a potem nie wykonała już żadnego ruchu. Potężne ciosy spadały na jej głowę, kark, plecy. Jaworskiej przypomniało się, jak tego ranka młóciła cepem zboże. A potem coś jeszcze, coś straszniejszego. Chrzęst metalu mieszał się z odgłosem, który -- Natalia mogłaby przysiąc -- był trzaskiem gruchotanych kości. Była blisko i widziała wszystko doskonale. Chciała odwrócić wzrok i zatkać uszy, ale z jakiegoś powodu nie potrafiła. Stała jak sparaliżowana, aż coś, co wyglądało jak krwawy ochłap, oderwało się od ciała rycerza i spadło tuż koło jej stóp. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że krzyczy.

## 29.

Chciał ich ochronić. Przytulić, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Chciał wypowiedzieć te magiczne słowa z pełnym przekonaniem, wierząc, że ma wszystko pod kontrolą. Że ma dość siły, by obronić ich przed nieprzyjaznym światem. Zwłaszcza ją. Zwłaszcza Natalię. Paradoksalnie to ona wydawała się mu teraz najbardziej krucha.

Te myśli towarzyszyły Jaworskiemu przed każdym kolejnym skokiem. To była jego mantra, jego modlitwa, jego wyznanie wiary. Przymykał oczy i widział siebie mówiącego żonie i dzieciom: Będzie dobrze. I -- co najważniejsze -- wierzącego w te słowa.

Pamiętał, że określenia "skok" użył po raz pierwszy po tym, jak odszedł ze szkoły. Zamknął za sobą drzwi sekretariatu -- po raz ostatni, na zawsze, definitywnie -- i kroczył korytarzem, który przemierzał wcześniej tysiące razy. Tym razem znajome miejsce wyglądało zupełnie inaczej. Trwały wakacje, więc budynek był pusty i zaskakująco jasny. W popołudniowym świetle drgały bez celu drobinki kurzu. Jestem wolny, uświadomił sobie, ale wykonałem skok w nieznanne.

Nie wiedział, czy po drugiej stronie przepaści jest w ogóle jakiś brzeg. A jeżeli tak -- czy zdoła się go chwycić, czy raczej osunie się w pustkę, pociągając za sobą tych, których kocha najbardziej. Czy ten pomysł z YouTube'em to nie szaleństwo? Z czego teraz zapłacą rachunki?

Okazało się, że dał radę. I że kraina po drugiej stronie przepaści jest urokliwa. Ale nowe życie miało swoją cenę. Znaleźli się w świecie, w którym obowiązywały zasady znane z *Alicji po drugiej stronie lustra* -- żeby pozostać w miejscu, trzeba było biec coraz szybciej. Wymyślać nowe treści, podpisywać umowy, inwestować w coraz nowocześniejszy sprzęt. Innymi słowy: wykonywać kolejne skoki. Co roku, co pół roku, co kilka miesięcy... Kolejna duża inwestycja, kolejne wyzwanie, znów trzeba oderwać się od ziemi i pożegnać stabilność, żeby wyruszyć w nieznanne. Za każdym razem prześladowała go myśl, że teraz się nie uda, że runie w przepaść bez żadnej liny asekuracyjnej.

Ostatni skok był olbrzymi. Wściekali się na niego za ten wyjazd w Beskidy zaraz po powrocie z Podkarpacia, ale prawda jest taka, że nie miał innego wyjścia. Jeżeli z Kosterą i Eltronem nie wyjdzie, mogą stracić wszystko.

Dlaczego tego nie widzą? Jak im wytłumaczyć, że przecież robi to dla nich? Po to, żeby móc ich ochronić, przytulić. Po to, żeby z pełnym przekonaniem powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. I żeby naprawdę było dobrze.



### 30.

-- Wszystko będzie dobrze... To tylko skórzany pasek, zobacz! To tylko kawałek skózanego paska, który oderwał się od naramiennika... -- Jaworski mocno tulił szlochającą żonę.

Tłum gapiów wokół nich powoli rzedł. Zaniepokojona Pani z Okienka, wciąż jeszcze w rudej peruce, głaskała Natalię po rękę.

-- Tak mi przykro. Staramy się, żeby te pokazy były możliwie realistyczne -- tłumaczyła. -- Potrzeba sporej dawki akcji i przemocy, żeby dotrzeć do publiczności wychowanej na nowoczesnych serialach... Ale mogę panią zapewnić, że to zupełnie bezpieczne. Sekret leży w tym, co rycerze noszą pod zbroją. No i oczywiście w ich przeszkoleniu. To nie są pierwsi lepsi chłopcy z ulicy, tylko wytrenowani w swoim fachu kaskaderzy. Jeden z nich wcielał się nawet w martwego giermka na planie *Korony królów*.

-- Już w porządku, już w porządku... -- Jaworski nadal mocno ścisnął Natalię. -- Żona jest wyjątkowo wrażliwa, jeśli chodzi o takie rzeczy.

-- Zwykle staramy się ostrzegać wrażliwe osoby przed pokazem. -- Pani z Okienka było naprawdę przykro. Wyglądało na to, że bardzo się przejęła reakcją Natalii. -- Stosowne ostrzeżenie umieściliśmy też w naszej aplikacji. Ale przez ten brak internetu wszystko nam się dziś posypało.

-- Już dobrze. -- Natalia wzięła głęboki oddech, raz jeszcze zamykając oczy i próbując usunąć z wyobraźni wspomnienie. -- Już zbieram się do kupy.

Mąż podał jej butelkę wody.

-- Już mi lepiej. -- Jaworska otarła ostatnie łzy. -- Może teraz mogłaby nam pani opowiedzieć, jak skończyła się sprawa Bolka i pięknej kasztelanowej?

Pani z Okienka się stropiła.

-- Ojej... Ale to jest dość brutalna historia. Może lepiej...

-- Nie, nie. W porządku. -- Natalia odzyskała swój normalny głos. -- Opowieści tak na mnie nie działają. Mogę czytać Lovecrafta albo portale internetowe i nic mi się nie dzieje.

-- W takim razie... Tak jak mówiłam, kasztelan Bolko udał się do Mongołów z propozycją poddania grodu w zamian za gwarancję życia dla ukochanej.

-- Zgodzili się?

-- Niestety nie. Mongołowie gardzili tchórzami. I najwyraźniej nie rozumieli potęgi miłości. Gdy tylko Bolko przedstawił swą ofertę, dowódca Mongołów kazał go wyprowadzić przed namiot i... -- Pani z Okienka się zawahała. Natalia skinęła, żeby kontynuowała. -- I ścięli mu głowę. Taki był koniec kasztelana Bolka. Ale nie jego żony. Ta obudziła się rano i co zobaczyła? Wojska mongolskie coraz bliżej, a po mężu ani śladu. Biedna, była przekonana, że ukochany zostawił ją i uciekł, gdzie pieprz rośnie, nie zabierając nawet miecza ani zbroi. Kto inny na jej miejscu pewnie wziąłby nogi za pas, ale nie Adelajda. Kasztelanowa była znana z waleczności, którą zresztą źródła z epoki utożsamiały u kobiet z okrucieństwem, bo przecież dobrze wychowana dama powinna stronić od jakiegokolwiek konfrontacji i mdleć na widok przemocy... Przepraszam.

Natalia machnęła ręką.

-- Tak więc nasza kasztelanowa wstała z pustego łóżka, lecz zamiast salwować się ucieczką do Krakowa, postanowiła zwiększyć obsadę grodu i dać łupnia Mongołom. Jeszcze tego samego dnia wyruszyła z rycerzami męża do najbliższej wsi, czyli do miejsca, w którym dziś znajduje się centrum Uśniejowa. Ówczesna nazwa miejscowości nie zachowała się w źródłach. Władczyni ogłosiła chłopom, że od teraz zostają awansowani na wojowników i mają się włączyć w obronę fortyfikacji. Na to rezolutni kmiecie odrzekli jej, że po pierwsze, nie zamierzają przyjmować poleceń od niewiasty, a po drugie, od walki są szlachetnie urodzeni rycerze, a oni wolą się zająć pracą w polu.

Adelajda nie była tą odpowiedzią usatysfakcjonowana. Stwierdziła, że chłopci najwyraźniej nie rozumieją, co Mongołowie z nimi zrobią,

gdy tylko wkroczą do doliny. A jeżeli nie rozumieją, to ona, prosta niewiasta, chętnie im to wyjaśni, krótko i rzeczowo. Po czym kazała swoim rycerzom wymordować wszystkich we wsi: mężczyzn, kobiety i dzieci. Nie oszczędziła nikogo. Pierwsza wieś spłynęła krwią, ale trzy kolejne przysłały oddziały gotowe do walki, nim Adelajda i jej ludzie zbliżyli się do zabudowań. Właśnie ta masakra zapewniła naszej bohaterce przydomek Czerwonej Kasztelanowej. Oczywiście nie mamy pewności, ile w tej historii prawdy, a ile późniejszego zmyślenia. Na legendę dla zamku nadaje się jednak idealnie, prawda?

-- Co było dalej? -- spytała Natalia. -- Czy udało jej się powstrzymać Mongołów?

-- W ciągu dwóch dni Adelajda powiększyła obsadę grodu trzykrotnie. Rozdzieliła łuki i włócznie. Uzupełniła zapasy jedzenia, rozgrzała w kotłach smołę i czekała na najeźdźców. Mongołowie wciąż nie nadchodzili, za to Adelajda coraz częściej słyszała za plecami wzburzone szepty swoich ludzi. Nazywano ją krwawą wiedźmą. Traktowano z mieszaniną strachu i nienawiści. Czerwona Kasztelanowa każdego wieczoru zasypiała z myślą, że obudzi się z nożem w piersi.

Zamiast tego któregoś ranka jej sen przerwały tętent kopyt i straszliwy rwetes towarzyszący nadciągającej armii. Adelajda zerwała się z łoża i w nocnej szacie pobiegła na blanki. Gród się wyludnił. Była jedyną osobą na murach. Nocą, gdy spała, opuścili ją wszyscy z wyjątkiem jednej służącej. Odeszła stara gwardia wierna jej mężowi, zniknęli gdzieś nowo zwerbowani chłopci. Nie wiadomo, czy ze strachu przed Mongołami, czy z obrzydzenia jej brutalnym postępkiem. Adelajda stała na murach, o tam, w tamtym miejscu, i patrzyła w dół na zbliżającą się horde. Gdyby to była historia o jakiejś innej średnio-wiecznej damie, pewnie skończyłaby się tym, że nasza bohaterka w powłóczystej białej szacie rzuciłaby się z murów, by uniknąć pohańbienia. Ale to jest opowieść o Czerwonej Kasztelanowej.

Brama grodu otworzyła się bardzo, bardzo powoli, po czym na mongolskie wojska zaszarżował jeden jedyńy samotny rycerz. Nie dotarł nawet do połowy dystansu dzielącego go od wroga, gdy celnie wy-

mierzona strzała przeszła jego bark i strąciła go z konia. Zaskoczenie Mongołów musiało być wielkie, gdy się okazało, że rycerzem jest kobieta. Drobną kobietą w zbyt wielkiej męzowskiej zbroi i z mieczem, którego nie była nawet w stanie unieść do ciosu.

Mongołowie docenili odwagę Czerwonej Kasztelanowej. Ścięli jej głowę, co w tamtej kulturze było podobno honorem przysługującym wyłącznie mężczyznom i wojownikom. Jedną z wersji legendy dopowiada, że gdy jej głowa już się toczyła po ziemi, Adelajda dostrzegła oczy swego męża wpatrujące się w nią z jednej z wzniesionych włóczni i zrozumiała wszystko. Dzięki temu kochankowie mogli się spotkać w zaświatach. Ale lubię też wersję, w której Czerwona Kasztelanowa przed śmiercią przeklina tę dolinę. To właśnie z powodu jej przekleństwa do Uśniejowa nigdy nie dotrze ani żadna wroga armia, ani porządna droga, ani -- przez co cierpimy dzisiaj -- światłowod.

### 31.

Nie trzeba chyba wspominać, że kolacja była wyśmienita. Wszystko, co gotowała stara gospodyni, zachwycało Jaworskich i Heńka.

-- To miasto jest niesamowite! -- Pan Wycieczka cieszył się jak dziecko. -- Powiem wam, że przez te wszystkie wyjazdy rodzinna turystyka trochę mi spowszedniała. Dopiero tutaj przypomniałem sobie, dlaczego tak ją pokochaliśmy!

-- Rzeczywiście, skansen i zamek robią wrażenie... -- Natalia wciąż miała mieszane uczucia po pokazie rycerskim. Z jednej strony było jej głupio z powodu ataku paniki. Pracowała nad tym ze swoją terapeutką i nic podobnego nie zdarzyło się jej już od wielu miesięcy. Z drugiej zaś odnosiła wrażenie, że ten pojedynek naprawdę był dziwny. Bardziej realistyczny, niżby na to pozwalały nawet zaawansowane sztuczki kaskaderskie.

-- Marta, musisz zacząć wychodzić z nami! -- zwrócił się do córki Pan Wycieczka.

Marta z niepokojem zerkała na telefon. Robiło się późno.

-- Tak, tak... ale na razie chciałabym wyjść sama.

-- Wyjść? -- Pan Wycieczka przerwał na chwilę nakładanie twarogu.

-- Spotkać się ze znajomymi -- przypomniała mu dziewczyna. -- Naprawdę nie pamiętasz?

-- Ach... ten... koncert?

-- Taka impreza plenerowa w zasadzie. -- Marta stwierdziła, że zawsze lepiej być bliżej prawdy niż dalej od niej.

-- Tylko nie wracaj za późno.

-- Jasne, jasne. Wrócę przed północą, zanim mi się dynia zmieni w karocę czy coś w tym stylu.

-- To na pewno bezpieczne? -- włączyła się matka.

-- A co w dzisiejszych czasach jest bezpieczne? -- Marta wzruszyła ramionami, wstając od stołu. -- Zadzwoń do was, jakby się cokolwiek działo.

I zniknęła na górze, nim do reszty rodziny dotarło, że to był żart. W całym mieście nie było zasięgu.

-- Ona nikogo tu przecież nie zna... -- Natalia nie dawała za wygraną.

-- To może... -- Pan Wycieczka popatrzył na syna.

-- Mam przecucie, że właśnie rozważacie rozwiązanie, które unieszczęśliwi wszystkich. -- Marek natychmiast zrozumiał, co się święci. -- Mnie nie ciągnie na uśniejowski wieczorek taneczny, a Marta na pewno nie odczuwa potrzeby kręcenia się po mieście z bodyguardem ukośnik przyzwoitką.

-- Sprzedany! -- Pan Wycieczka trzy razy uderzył drewnianą łyżką do nakładania twarogu.

-- Żądam rodzinnej narady... Żądam głosowania...

-- Przykro mi. To kwestia bezpieczeństwa i jako taka zostaje wyłączona z procedury głosowania. Idziesz z siostrą.

## 32.

Państwo Jaworscy leżeli w łóżku wsłuchani w miarowy oddech Marysi, która wykończona dniem pełnym wrażeń padła dziś po jednej książeczce, ogłosiwszy oczywiście uprzednio, że kocha mamę i tatę kocio.

-- Śpisz? -- szepnął Pan Wycieczka.

-- Nie...

-- To był szalony dzień, co? Pełny spontan.

-- Tak. Podoba mi się tutaj. A w każdym razie podoba mi się to, że dzieciom się tak podoba -- stwierdziła Natalia. -- Chociaż jest w tym miasteczku coś dziwnego. I to nie jest twój wąsik, Panie Wycieczko.

-- Hej, ten wąsik był dziwny pięć lat temu, nim zostałem internetowym celebrytą. Teraz jest ikoniczny. Przypominam ci, że jest to wąsik, który wystąpił w reklamie Tymbarku. -- Jaworski poruszał wąsikiem, imitując tik Wołodyjowskiego.

-- Obciachowe. Okropnie obciachowe. -- Natalia zaśmiała się z żenowaniem.

-- Hej, a może spędzimy tu jeszcze jeden dzień i nagramy więcej materiału?

-- A co z twoimi planami?

-- Z naszymi planami... -- Pan Wycieczka nie był w nastroju do kłótni. -- No, nie wiem. Jak uważasz. Mówię tylko, że jeżeli nam się tu podoba, możemy po prostu zostać dzień dłużej.

-- A co z fanami, postami, sponsorami?

-- Jeżeli naprawią ten cholerny maszt, po prostu umieścimy odpowiedni wpis i zadzwonimy, gdzie trzeba. Jeśli nie, podjadę do najbliższej miejscowości, w której jest zasięg. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, skomunikowanie się ze światem nie stanowi problemu. Nie zgubiliśmy się w Andach, to Beskidy.

-- No właśnie... -- Natalia się podniosła i podparła łokciem. -- Nie masz wrażenia, że naprawdę jesteśmy tu jakoś odcięci? Bardziej, niż

się na pierwszy rzut oka wydaje? Sama nie wiem. Może to przez ten realistyczny skansen i makabryczne średniowieczne historie na zamku.

-- Ale w skansenie ci się podobało? -- upewnił się Jaworski.

-- Fajnie było, to prawda. Jak ci ludzie sobie kiedyś radzili? Potrzebowali pół dnia, żeby upiec bochenek chleba. I jeszcze wszyscy razem, na kupie, w jednej izbie.

-- No fakt... Życie intymne mieli raczej ubogie, skoro spali cały czas z dziećmi w jednym łóżku.

-- Bardziej ci się podobała alkowa Czerwonej Kasztelanowej, co? -- Natalia rzuciła mu spojrzenie, które uznał za zalotne. Czy to możliwe?

-- Przyznaj, że ta historia o cudownym afrodyzjaku była... inspirująca -- odpowiedział.

-- Może, może...

-- W razie czego mogę przenieść Marysię. Wiesz, że jak już uśnie, to wystrzał armatni jej nie obudzi. A u dzieciaków są przecież dwa wygodne, wolne łóżka... Myślisz, że ucieszyliby się z takiego słodkiego podrzutka?



### 33.

-- Kochani, kochani, coś wspaniałego! Idziemy nocą przez wyludnione zadupie. -- Marek doskonale imitował ton i rytm głosu ojca. Napawało go to przerażeniem. -- Nikt nie jest zadowolony. Ja nie chcę tu być, ty nie chcesz, żebym tu był. Sytuacja z gatunku tych smutnych jak Powiśle nad ranem.

-- Przestań się wydurniać... -- Marta zwolniła kroku i pozwoliła, żeby ją dogonił. -- Przecież doskonale wiem, że to nie był twój pomysł. Nie mam do ciebie pretensji. Po prostu nie narób mi siary.

-- Siostsićko, musię siusiu, siusiuuuuuu -- wyseplecił chłopak, naśladując Marysię, ale jakoś żadne z nich się nie zaśmiało. -- Słuchaj... Skoro już tak razem idziemy. -- Marek kompletnie zmienił ton, teraz nie było w nim nawet cienia wesołości. -- Trudno mi to wytłumaczyć, ale czy nie masz wrażenia, że...

-- To miasto jest dziwne? -- dokończyła za niego.

-- Tak. Nie wiem, czy to najlepsze słowo, ale chwilowo lepszego nie mam. Coś tu jest nie tak. Mam to ciągle na końcu języka, ale nie potrafię tego sformułować. To tak jak... Masz czasem takie plamki przed oczami, kiedy jesteś zmęczona albo za długo patrzyłaś w słońce? Próbujesz na nie popatrzeć, ale przesuwają się razem z twoją gałką oczną. I zawsze są na krawędzi pola widzenia. Widzisz je, ale nie możesz im się przyjrzeć.

-- Wiem, o czym mówisz. -- Marta zatrzymała się na środku pustej ulicy. -- Miałam dziś to samo uczucie. Ale wiesz co? Okazało się, że to było coś zupełnie banalnego. Zwykle nieporozumienie.

-- Tak, to zwykle są małe rzeczy -- zgodził się jej brat. -- Ale w pewnym momencie robi się ich tak dużo, że coraz trudniej udawać, że wszystko jest w porządku...

-- Odkąd się urodziłeś, cała nasza rodzina musi udawać, że wszystko jest w porządku.

-- Marta...

-- Nie marudź. Spróbuj się wtopić w tłum i udawać człowieka. Jesteśmy na miejscu.

-- Żartujesz... -- Marek popatrzył na górującą nad ruinami basztę. -- Ta twoja impreza odbywa się tutaj?

Marta wzruszyła ramionami.

-- Bal u Czerwonej Kasztelanowej... Wspaniale. Alicja w Krainie Koszmarów.

-- A kogo to moje piękne oczy widzą? Cna niewiasta! -- Furtkę otworzył im zwycięzca pamiętnego pojedynku.

-- Wy się znacie? -- Marek popatrzył na siostrę.

-- Uznajmy, że nie. -- Marta podała rękę chłopakowi. -- Marta jestem.

-- Niezła walka. -- Marek wymierzył w niego dwa palce jak pistolet. -- Od początku stawiałem na ciebie. Mam nadzieję, że z tym drugim też wszystko w porządku.

Rycerz nie odpowiedział. Z jakiegoś powodu Marek nie potrafił uznać, że starszy chłopak po prostu go nie usłyszał albo zignorował. Czyżby jego milczenie było odpowiedzią?

## 34.

Natalia leżała, mierząc się ze wzbierającą falą myśli. Jej mąż spał obok, cicho pochrapując. Po raz pierwszy od dawna było między nimi tak dobrze. Był pogodny, był szczery, był dobry dla niej i dla dzieci. Ale czy był tym, kogo chciała i potrzebowała?

Przez jakiś czas rozważała te same scenariusze, które frapowały ją od wielu miesięcy. Zostać? Odejść? Wybrać coś pomiędzy? Czy jest coś pomiędzy? Co jest winna sobie? Co jest winna dzieciom? Czy musi się czuć nieustannie winna?

Nie wiedziała, jak długo tak leży, licząc na to, że sen uwolni ją wreszcie od gorączkowej gonitwy myśli, gdy znów usłyszała ten hałas. Metal trący o metal i coś jeszcze, coś znacznie gorszego. Chrobot dobywający się spod warstw metalu. Odrażający dźwięk, od którego po kręgosłupie przechodzą ciarki. Dźwięk masakrowanego ciała tracącego ludzką formę. Uświadomiła sobie, że zasypia i że za chwilę osunie się w koszmar, ale nie potrafiła nic na to poradzić. Była jak sparaliżowana.

Znów siedziała w samochodzie. I znów jak spod ziemi wyrósł przed nią rowerzysta w pomarańczowym kasku. Gdyby zobaczyła go ułamek sekundy wcześniej, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale to nie był jeden z tych kojących snów przedstawiających alternatywną wersję rzeczywistości. Jak zawsze dostrzegła go wystarczająco wcześnie, by wykonać gwałtowny ruch kierownicą, lecz zbyt późno, by ten rozpaczliwy gest mógł ich uratować.

Jego głowa znajduje się nagle bardzo, bardzo blisko jej głowy. Pęka hartowana szyba. Metal zgrzyta o metal, chroboce o kość, gnie się karoseria, pęka rama roweru. Człowiek i maszyna stają się jednym.

Znów krzyczała, tym razem tylko we śnie.

## 35.

W sumie wszyscy okazali się fajni. Chłopcy spod sklepu nie byli takimi burakami, na jakich wyszli przy pierwszym spotkaniu. Marta postanowiła dać im szansę i nie żałowała. Jeden z nich wybierał się na historię na UJ-ocie, a pracę w ruinach traktował bardzo poważnie. Szybko nawiązał nić porozumienia z Markiem i teraz gadali na schodach baszty o historii średniowiecznej, krytyce źródeł i możliwej dozie prawdy zawartej w legendzie o Czerwonej Kasztelanowej.

Okularnik też nie był takim creepem, jakim wydawał się w bibliotece. Usłyszała od niego głośne i wyraźne "przepraszam". Tego wieczoru miała również okazję dowiedzieć się o jego bolesnym rozstaniu z dziewczyną, która wyjechała z Uśniejowa.

-- O, czyli jednak można stąd uciec! -- zażartowała Marta, mając na myśli sytuację swojej rodziny. Niechcący poruszyła czułe struny.

-- Łatwo ci mówić. Stąd naprawdę trudno się wyrwać. -- Chłopakowi nie było do śmiechu.

-- Czasem mi się wydaje, że to miasto to czarna dziura, z której nawet światło nie może się wydostać -- wtórowała mu brunetka w wielkich okularach. -- Nie wyobrażasz sobie, jakie tu jest pole grawitacyjne.

Marta czuła jednak, że mogłaby się w tym miejscu odnaleźć. Paradoksalnie po dniu pobytu tutaj miała więcej znajomych niż w swoim liceum. Wszyscy byli w porządku. Ale najfajniejsza była Ruda. Ruda była zjawiskowa. Na imprezę przyszła nieco spóźniona, w stylówie umiejętnie łączącej nurty punk, emo i goth. Tak przynajmniej opisałiby ją zapewne na Pudelku. Miała wejście jak gwiazda! Widać było, że wszyscy ją tu szanują i podziwiają. A Ruda od razu skierowała się do niej, do Marty.

-- Udało ci się wpaść! Super! -- zawołała. -- I przyprowadziłaś ze sobą chłopaka!

-- Bez żartów! To mój brat. -- Marta była zdziwiona tym, jak bardzo ucieszyła się na widok znajomej. Czy mogła użyć słowa "przyjaciółki"? Przecież znały się dopiero kilka godzin...

-- Próbowalaś już zamkowych drinków? -- Ruda zaprowadziła ją do lochu, w którym urządzono prowizoryczny barek.

-- Zwykle nie piję alkoholu... -- Marta się zawahała.

-- To dziś będzie niezwykle. -- Ruda naląła jej do plastikowego kubka nieapetycznie wyglądającej cieczy. -- Twoje zdrowie. Za przygodę!

-- Za przygodę!

Napój miał dziwny, słodkawo-ziołowy smak. Ruda pociągnęła Martę na parkiet znajdujący się w miejscu, gdzie kilka godzin wcześniej odbywał się pojedynek rycerzy.

-- Kto to właściwie organizuje? -- Jaworska próbowała przekrzyczeć muzykę, jednocześnie nieudolnie kołysząc się w jej rytm. Pomyślała, że pewnie wygląda beznadziejnie, gibiąc się z tym swoim brakiem gracji. Na szczęście tuż obok miotał się Okularnik, który wyglądał tak, jakby nawiedziły go demony z taniego horroru. A jednak najwyraźniej dobrze się bawił i niewiele obchodziło go to, co pomyślą o nim inni. Marta stwierdziła, że też by tak chciała, i dopiła eliksir.

-- Nikt tego nie organizuje. -- Zamiast krzyczeć, Ruda postanowiła zbliżyć usta do jej ucha. -- Najlepszych imprez nigdy nikt nie organizuje. One są jak stwory z kosmosu. Potrzebują ludzkich żywicieli, żeby się rozmnażać i rozrastać. Duch zabawy opanowuje tę czy inną osobę i każe jej zrobić to albo tamto, ale czy to znaczy, że ta osoba zorganizowała imprezę? Nic bardziej mylnego, moja droga! To muzyka organizuje nas, a nie odwrotnie. Oczyść swój umysł. Niech przemówi do ciebie bas!

Muzyka stawała się coraz głośniejsza. Albo to zmysły Marty coraz bardziej się wyostrzały. Sama nie wiedziała, czy rytmiczną pulsację basu wciąż tylko słyszy, czy już czuje całym ciałem. Jak na partyzancką imprezę, mieli tu imponujące nagłośnienie...

## 36.

Nagłośnienia nie było za to w barze, w którym wieczór spędzał Heniek. Nie było tam także telewizora, który mógłby zatruć atmosferę bezsensownym meczem albo, co gorsza, siac nienawiść na kanale informacyjnym. Polityka i sport -- zaraz po technologii -- to dwaj najbardziej znienawidzeni jeźdźcy apokalipsy na długiej liście starego hipisa.

Właściwie to chyba nie był już hipisem. Często się nad tym zastanawiał. Nie ma hipisowskiej biblii, nie ma papieża ani strażników doktryny, więc trudno orzec, gdzie przebiega granica, za którą człowiek już nie należy do wspólnoty. Dla Heńka w ruchu hipisowskim najważniejsze były bunt i wezwanie do powrotu do natury. Instytucje społeczne uznawał za zepsute i fałszywe. Prawda leżała gdzie indziej, poza nimi. W świecie nieskażonym polityką i technologią. Ani sportem.

Najpierw był powrót do korzeni. Dopiero później narodziła się ta cała filozofia miłości. Kochajmy się, zjednoczmy się, pokój... Pokój i miłość. Tej części doktryny Heniek nigdy nie kupował. A teraz nie kupował jej bardziej niż zwykle. Miłość to pojęcie polityczne. To wytwór technologii. To sport (tfu!). Miłość to kolejny sprytny sposób, który ludzie wymyślili, żeby oddzielić się murem od natury. Żeby ufortyfikować tę swoją polankę wyrąbaną w środku lasu. W naturze nie ma miłości. Są sojusze i związana z nimi wierność. Jest prokreacja. Jest wzajemny respekt. Ale miłości nie ma. W naturze obowiązuje tylko jedno prawo. Prawo silniejszego.

Przynajmniej ten bar był w porządku. Bez telewizji i bez miłości. Po prostu byli tu ludzie. Ludzie, którzy rozmawiali, kłócili się, godzili, wspólnie się cieszyli i smucili. Niepodzieleni przez technologię, nieowładnięci polityką, nieotumanieni sportem.

Zamówił jeszcze jedno piwo i pięćdziesiątkę. Mógłby tu zostać. Może nawet zamieszkać? Było w tym mieście coś fascynującego. A może to koniec jego tułaczki? Czy to właśnie nie jest miejsce, którego zawsze szukał?

## 37.

Marek zdjął buty i położył się na łóżku. Niepotrzebnie spróbował tego dziwnego napoju. Ohyda. Popatrzył na sufit. Sufit się kręcił. Chciał go ustabilizować siłą woli. To był zły pomysł. Usiadł. To był jeszcze gorszy pomysł.

Teraz te upiorne drewniane paskudztwa wpatrywały się w niego pustymi, wypalonymi oczami. Jak nic będzie miał dziś koszmary. Po co ktoś wyrzeźbił coś takiego?

I nagle znowu to uczucie, które próbował wcześniej opisać Marcie. Coś było nie tak. Coś się nie zgadzało. Odczuwał ulgę, że Marta podzielała jego opinię. Ale w jednym nie miała racji. To nie były szczegóły. Tutaj nie zgadzało się coś naprawdę dużego. Teraz zaczęło mu się wydawać, że przegapia to właśnie dlatego, że jest takie wielkie. Poczul się jak Pan Maluśkiewicz na grzbiecie wieloryba. Chyba wreszcie był na właściwym tropie!

Położył się z powrotem. Sufit już się uspokoił. Marek zamknął oczy i postanowił zasnąć. Słyszał, jak na drugim łóżku miarowo oddycha jego śpiąca siostra.

Młodsza siostra.

## 38.

Marta, Ruda i Marek wyszli z imprezy razem. W okolicy biblioteki Marta pomachała bratu. Marek zasalutował, po czym nieco chwiejnym krokiem oddalił się w stronę chatki starszych państwa.

-- Da sobie radę? -- upewniła się Ruda.

-- Nic mu nie będzie. To twardziel -- zapewniła ją Marta. -- Typ detektywa. Zbierze wskazówki i trafi do domu.

-- Skoro tak mówisz... A my co? Krótki przystanek na murku? Zobaczysz, nie pożałujesz. Niebo wygląda stamtąd obłędnie.

Ruda nie przesadzała, niebo nad Uśniejowem było niesamowite. Marta w życiu nie widziała czegoś podobnego.

-- Więcej gwiazd niż na gali Oscarów! -- Rzuciła Rudej spojrzenie pełne uznania, po czym z powrotem wbiła wzrok w niebo. Nawet się nie zdziwiła, kiedy dłoń koleżanki znalazła się w jej dłoni. Ścisnęła ją mocno i przysunęła się bliżej. Ruda objęła ją ramieniem. Marta poczuła się bezpieczna.

To dobrze...



# DZIEŃ DRUGI

## 39.

Łup, łup, łup. Łup, łup, łup.

Początkowo głuche miarowe uderzenia dochodziły z wnętrza jego snu. Marek znajdował się w potrzasku. Chyba zamknięty w jakiejś zbroi. Gdzieś z zewnątrz, z otaczającej go miękkiej ciemności, spadały na niego kolejne ciosy. Łup, łup, łup... Nie czuł bólu ani strachu. Raczej błogość. Każde następne uderzenie zakuwało go coraz mocniej w ten pancerz, a on był w nim bezpieczny. I coraz mniejszy. Jakby utknął w zgniatarce. Aż wreszcie, wciąż przez sen, uświadomił sobie, że te ciosy wcale nie padają z zewnątrz. Że to on sam łomocze, próbując się wydostać ze śmiertelnej pułapki. Łup, łup, łup... Tłukł pięściami w zasklepiający się kokon. Najpierw pojawił się ból, potem Marek uświadomił sobie, że nie ma już jak wziąć zamachu. Zaczął się szarpać i poczuł, że traci oddech.

Otworzył oczy. Wyciągnął ręce przed siebie i patrzył, jak się trzęsą. Już wiedział, co było nie tak... Sekundę temu wiedział. To było...

Łup, łup, łup... A więc ten dźwięk... On rozlegał się naprawdę. Rytmiczne dudnienie. Maszyna? Tutaj? Rozbudzony, usiadł i spuścił nogi na podłogę. Na sąsiednim łóżku spały przytulone do siebie siostry. Ciekawe, o której Marta wróciła? Wyglądały na szczęśliwe. Uśmiechały się przez sen. Jakim cudem nie słyszą tego dźwięku?

Wyrzwał przez okno, ale nic nie zobaczył. Widocznie źródło hałasu znajdowało się po drugiej stronie domu.

Łup, łup, łup. Naciągnął spodnie i bluzę z kapturem, po czym zaczął szukać sneakersów, które najwyraźniej były obdarzone magiczną mocą i schowały się pod łóżkiem. Jest nowa misja. Trzeba zobaczyć, co to tak wali, nim obudzi dziewczyny. Pospiesznie przemył twarz, splukując z siebie resztki dziwnego snu. Popatrzył w lustro i uznał, że w oczach zostało mu jeszcze trochę niepokoju. Próbował się go pozbyć, mrugając mocno kilka razy, a kiedy to nie pomogło, po prostu wyszedł.

Po skrzypiących drewnianych schodach zwlókł się do pustej jadalni.

-- Dzień dobry wszystkim! -- powiedział, sam nie do końca wiedząc po co. Nacisnął klamkę drewnianych drzwi, starych i trzeszczących jak wszystko w tym domu, i przekroczył próg. Poranek był rzeński. Nawet bardzo. Marek już zapomniał, jak zimne potrafią być ranki pod koniec sierpnia. Dawno nie był na zewnątrz o tej porze.

Okrzyknął dom i jego oczom ukazało się prozaiczne rozwiązanie dźwiękowej zagadki. Łup, łup, łup... Starszy pan rąbał drewno na opał wielgachną siekierą. Marek uklonił mu się uprzejmie.

-- Nie śpimy już? -- Staruszek najwyraźniej był nieświadomy, jaki hałas generuje jego aktywność.

-- Tak jakoś wcześniej dzisiaj wstałem... -- Nastolatek pomyślał, że nie ma co robić dziadkowi przykrości.

-- Będzie słoneczny dzień! -- Mężczyzna przestał na chwilę łupać, oparł się na siekierze i popatrzył w niebo.

Marek chciał spytać, skąd wie, skoro nie ma internetu, ale szybko się domyślił, że w odpowiedzi usłyszy coś w stylu: "bo słońce wschodzi na różowo" albo "bo komary głośno bzyczą". Swoją drogą, słońce faktycznie wschodziło na różowo, a jego promienie otulały podwórko delikatną poświatą w kolorze malinowej mamby.

Chłopak zadrżał z zimna i odruchowo objął się ramionami.

-- Rzeško...

-- Rzeško -- potwierdził starszy pan i popatrzył na niego z uśmiechem. -- Jak się poruszasz, to się rozgrzejesz.

Wyciągnął w jego kierunku stylisko siekiery. Czemu nie?, pomyślał Marek. W sumie nigdy nie próbował rąbać drewna. Nie wydawało się to bardzo trudne, ale domyślał się, że to jedna z tych czynności, które są łatwe tylko wtedy, kiedy się patrzy, jak ktoś inny je wykonuje. Złapał siekierę. Też była nieprzyjemnie zimna. Od samego trzymania w ręku na pewno się nie ogrzeje. Uniósł narzędzie wysoko nad głowę, po czym rąbnął obok pieńka, prawie wbijając sobie siekierę w nogę. Czyli niestety poszło dokładnie tak, jak się spodziewał. Chciał oddać narzędzie właścicielowi, ale gospodarz pokręcił głową. Poprawił mu chwyt na stylisku, a potem cierpliwie wyjaśnił, gdzie celować i dlaczego. Łup, łup,

łup -- zadudniło na podwórku. Siekiera była zaskakująco ciężka. Dziadek musi mieć kondycję jak Rambo, z uznaniem pomyślał Marek. Po trzech minutach przestało mu być zimno. Po następnych trzech -- wreszcie złapał rytm.

Rąbał kolejne szczapy z rosnącą wprawą. Siekiera, zamiast ciążyć mu coraz bardziej, stawała się lżejsza. Czuł, jak poranna rosa moczy jego kostki, a jednocześnie -- jak pierwsze krople potu zaczynają spływać mu po plecach. Poranek był przepiękny. Kąt padania światła, kolor, cienie rzucane przez znajdujące się na podwórku przedmioty -- wszystko to było bardziej oniryczne i magiczne niż majak, z którego się przed chwilą przebudził. Jak gdyby tamto było jawą, a to -- przyjemnym snem, jakie czasem przychodzą do nas, kiedy nie trzeba się zrywać rano i można się powylegiwać nieco dłużej.

Słońce wygramoliło się już zza horyzontu, który tutaj, w górach, był przecież sporo wyżej niż na płaskim jak stół Mazowszu. Marek się zastanawiał, która może być godzina. Dopiero teraz uświadomił sobie, że wstając, nie spojrzał na telefon. Nie pamiętał nawet, czy wczoraj podłączył go do ładowania. Dziwne...

-- Nieźle. -- Gospodarz uśmiechnął się do niego. -- Jak na pierwszy raz.

Pochwała napełniła Marka dumą. Domyślał się, że starszy pan po prostu chciał mu sprawić przyjemność, ale mimo wszystko przyjemnie było usłyszeć, że ma do tego dryg. Trochę drewna ostatecznie udało się mu narąbać. Pracował wytrwale, póki gospodarz nie stwierdził wreszcie, że wystarczy.

-- Zasłużyłeś na śniadanie.

Odłożyli siekiere na miejsce i poszli do domu.

## 40.

Stary i młody usiedli naprzeciwko siebie przy stole. Gospodyni ukroiła im po pajdzie chleba z masłem i podała każdemu gliniany kubek zsiadłego mleka. Marek pomyślał, że to banalny obrazek. Ale i tak był szczęśliwy. Ta pajda chleba była jedną z najsmaczniejszych rzeczy, jakie w życiu jadł. Zsiadłe mleko też smakowało wyśmienicie. Nawet na tle pyszności codziennie serwowanych przez starszych państwa ten posiłek był wyjątkowy.

-- Tylko po pracy człowiek robi się naprawdę głodny -- wyjaśnił gospodarz. -- Tylko wtedy jedzenie naprawdę smakuje.

Marek pomyślał, że wykorzysta okazję i spyta o dziwne figurki stojące w ich pokoju. Starszy pan się uśmiechnął. Wyglądało na to, że to on jest ich twórcą.

-- Nasza dolina... to odludne miejsce. Trudno się tu dostać. Dlatego zachowaliśmy pamięć o rzeczach, o których gdzie indziej już zapomniano. W dodatku od zawsze przecinały się tu szlaki. Wojny i zarazy też zrobiły swoje. Jedni odchodzili albo wymierali, przybywali inni. Zostawały po nich opowieści. Mamy tu żyzną glebę dla historii. A że czasu też było tu zawsze więcej niż gdzie indziej, bo zima długa i surowa, a lato krótkie, to opowieści kwitły, rozwijały się. Siadało się przy ogniu albo i po ciemku, łuskało groch, darło pierze i opowiadało historie...

-- Drzeć pierze to znaczy kłócić się?

-- Nie. To znaczy drzeć pierze. -- Starszy pan popatrzył na niego z przyganą. -- W każdym razie te figurki... To istoty z bardzo, bardzo zamierzchłych opowieści.

-- Mają jakieś imiona?

-- Niektórych nie pamiętamy, inne nigdy nie miały imion. Jedne były życzliwe, na drugie lepiej uważać.

-- Ten, co wygląda jak taki dziwny kot, ma jakieś imię?

-- To chochlik. Nie jest groźny, ale lepiej go nie drażnić. Do butów może nasikać. -- Starszy pan się zaśmiał, a Marek pomyślał o porannych poszukiwaniach sneakersów.

-- A ta... jakby dziewczyna z taką wielką paszczą...

-- Nie znamy jej imienia. -- Do rozmowy nieoczekiwanie włączyła się starsza pani. -- Ale wiemy, kim jest. Istnieje ładna opowieść o niej.

-- Młody jest. -- Mąż machnął na nią ręką. -- Nie ma czasu słuchać twoich opowieści...

Nagle Marek poczuł niewytłumaczalną pokusę, aby powiedzieć, że faktycznie nie ma czasu, bo bardzo się spieszy. Pobiegłby na górę i do spał jeszcze dwie godziny. A potem wstałby wypoczęty i wszystko by się dobrze skończyło.

-- Pewnie, że chcę posłuchać -- usłyszał własny głos. -- Uwielbiam takie historie.

## 41.

Historia starszej pani była dziwna. Trochę jak baśń, bo żyło w niej trzech braci, a trochę jak horror, bo bracia byli osaczeni przez potężną, niewidzialną siłę. Marek wielokrotnie wracał potem do tej opowieści. Odtwarzał ją w myślach i powtarzał kolejnym członkom rodziny, coraz bardziej przekonany, że właśnie w niej leży klucz do zrozumienia tego, co działo się przez następne dwa dni. A być może także klucz otwierający im wyjście z sytuacji. Jeżeli było jakieś wyjście.

Opowieść zaczęła się od opisu trzech braci wędrujących przez las. Szli na tyle szybko, by zdążyć do miasta na targ, na tyle jednak wolno, by nie skomplikować sobie podróży dodatkowymi niespodziankami. Strumienie przekraczali tylko na płycznach, starali się wybierać szersze drogi zamiast wąskich ścieżek i nigdy, przenigdy nie wędrowali nocą.

Najstarszy z braci dźwigał na grzbiecie ciężki worek serów. Zamierzał je sprzedać, a za zarobione pieniądze kupić drugą owcę. Mając parę zwierząt, będzie mógł wyprodukować więcej sera, zarobić kolejne pieniądze i kupić następne owce. Taki był plan najstarszego z braci.

Średni prowadził za uzdę osiołka objuczonego zbożem. Było to stare zwierzę, bardzo wychudzone i bardzo uparte. Niewiele miał przed sobą życia, ale te pozostałe miesiące osiołek naprawdę sobie cenił. Średni z braci zamierzał sprzedać zboże i osiołka, a potem zaciągnąć się do wojska, żeby zobaczyć trochę świata.

Był jeszcze brat najmłodszy. Ten postanowił spróbować szczęścia i na sprzedaż zabrał kilka drewnianych figurek, których struganiem zajmował się w chwilach wolnych od prac gospodarskich. Nie miał żadnych planów związanych z zarobionymi pieniędzmi. W zasadzie to nawet nie miał szczególnej nadziei, że w ogóle cokolwiek sprzeda. Ale przynajmniej szło mu się lekko, bo nie musiał ani dźwigać pakunków, ani użerać się z upartym bydłem.

Pierwszego dnia podróży zaczął siąpić deszcz. Najstarszy brat naciągnął na głowę kaptur z owczej wełny, średni brat założył czapkę

z osłej skórki, a najmłodszy tylko zmierzwił sobie wilgotne włosy i szedł dalej, pogwizdując.

Drugiego dnia deszcz się wzmógł. Najstarszy brat osłonił się dzwiganym workiem, średni -- wyjął płaszcz, który przezornie załadował na osiołka. Najmłodszy brat wystawił język, zbierał na niego coraz większe krople i cieszył się, że nie grozi mu pragnienie.

Trzeciego dnia deszcz zmienił się w prawdziwą ulewę i wszyscy trzej bracia byli przemoczeni do suchej nitki, niezależnie od tego, czym się który osłaniał.

Wciąż nękani przez nawałnicę, dotarli w końcu do osuwiska. Droga się urywała, zmyta przez błoto spadające z góry i przywalona przewróconymi drzewami.

-- Nic tu po nas -- powiedział najstarszy z braci.

-- Pora zawrócić -- zawtórował mu średni.

-- Jakiś czas temu widziałem niewielką ścieżkę odchodzącą od drogi -- przypomniał sobie najmłodszy z braci. -- Może tamtędy uda nam się dotrzeć do miasta?

-- Robi się późno, a my nigdy nie wędrujemy nocą -- odpowiedział mu na to najstarszy brat.

-- To wąska ścieżka, a my nie schodzimy z głównych dróg -- dodał średni.

Najmłodszy z braci nie dawał jednak za wygraną. Przekonywał, że przecież nie robi tego dla siebie.

-- Moje figurki nie są z cukru, od deszczu się nie rozpuszczą. Jeżeli jednak jutro nie dotrzemy do miasta, twoje sery się zepsują. A co z ziarnem niesionym przez osiołka? Jeżeli nazajutrz nie będziemy w mieście, spleśnieje. Spróbujmy pójść kawałek tamtą ścieżką, zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi. Zawrócić zawsze zdążymy.

I tak trzej bracia oraz osiołek zesli z głównej drogi. Ścieżka wiła się przez las, wzdłuż strumienia wezbranego po trzech dniach ulewy. Szli tak jakiś czas, aż dotarli do miejsca, gdzie strumień nieoczekiwanie skręcał, przecinając ścieżkę.



-- Nie przejdziemy -- zmartwił się najstarszy z braci. -- Jest zbyt głęboko.

-- Musimy zawrócić -- zgodził się z nim średni. -- Ciemno już i nie widać dna.

Młody natomiast stanął nad strumieniem i zaczął się usilnie wpatrywać w coś, co dostrzegł po drugiej stronie.

-- Wydaje mi się, że za tamtymi drzewami widzę światła. -- Wskazał palcem w mrok. -- Tam jest jakaś wioska. Musimy jeszcze tylko przejść przez ten strumyk i będziemy mieli gdzie się zatrzymać na noc. Wyszniemy, odpoczniemy i zasięgnemy języka. Może do miasta już nie daleko?

Starsi bracia dali się namówić. Choć sami nie widzieli żadnych świateł, bardzo chcieli uwierzyć młodszemu. Kusila ich obietnica wygodnego łóżka, ciepłej strawy i dachu nad głową.

Najstarszy brat postanowił, że przeskoczy strumień. Średni zamierzał przejść po kamieniach. Najmłodszy wiedział, że i tak wpadnie do wody, więc od razu zdecydował się przepłynąć rzeczkę. Takie plany powzięli trzej zagubieni bracia.

Osiółek natomiast się zaparł i za żadne skarby nie chciał zamoczyć kopyt. Nie pomogły prośby ani groźby -- zwierzę nawet nie zbliżyło się do strumienia. Wreszcie trzej bracia schwycili postronek, na którym było uwiązane, i wspólnymi siłami próbowali zaciągnąć osiołka do wody. Napięli się, nateżyli, szarpnęli -- i wtedy postronek pękł. Osioł wykorzystał tę chwilę, by na zawsze zniknąć w lesie wraz z workami zboża, a trzej bracia poturlali się wprost do strumienia. Z pluskiem zniknęli w wezbranej toni. Najpierw brat najstarszy, w kapturze z owczej wełny. Potem brat średni, w czapce z oślej skóry. Na końcu brat najmłodszy, który głowę miał wprawdzie gołą, ale za to najlepiej pływał.

Bracia stanęli w drzwiach chatki przemoczeni, pozbawieni dobytku, ale żywi. Zastukali kołatką w kształcie głowy dziecioła i po chwili otworzyła im stara kobieta.

-- Wejdźcie do środka, wejdźcie... -- zaprosiła ich. -- Cali jesteście mokrzy. Rozbierzcie się i ogrzejcie przy ogniu. Poślę córkę, żeby przyniosła wam suche ubrania, a sama przygotuję coś do jedzenia.

Zrobili, jak im kazała. Zasiedli przy ogniu, przykryli się wołową skórą i czekali. Nie minęło pięć minut, gdy usłyszeli kroki na drewnianej podłodze, a ich oczom ukazała się przepiękna dziewczyna. Miała złoty warkocz, długi aż do pasa, rumiane policzki i duże oczy w niezwykłym kolorze. Najmłodszy z braci od razu rozpoznał tę barwę. Był to taki sam kolor, jaki miała wzburzona woda w strumieniu, w którym omal nie stracili życia. Pomyślał, że w tych oczach naprawdę można utonąć. Każdemu z braci dziewczyna wręczyła zawiniątko.

Najstarszy otworzył swoje i bardzo się zdziwił, w środku była bowiem droga szata, która mogłaby z powodzeniem należeć do jakiegoś wielkiego pana, może nawet księcia. W zamyśleniu przyglądał się misternym haftom i gładził materiał niezwyklej delikatności, zastanawiając się, co to wszystko może znaczyć.

Średni z braci rozwinął tobolek i ujrzał w nim dziwny strój, pochodzący niewątpliwie z dalekiego kraju. Takie szaty mogły należeć do któregoś z wojowników przemierzających bezkresne stepy rozciągające się za górami. Ale skąd się wzięły w chatce pośrodku lasu?

Najmłodszy z braci rozpakował zawiniątko i odkrył w nim własne ubranie, czyste i suche. Bardzo się ucieszył, bo lubił swoją starą koszulę.

Trzej bracia przebrali się w otrzymane szaty, a gospodyni wraz z córką zaprosiły ich do stołu, który jakimś cudem był już suto zastawiony.

Najstarszy z braci dostrzegł na nim drogie przysmaki godne królewskiego podniebienia. Nie krygował się długo, lecz nałożył sobie na talerz górę przepiórek, kuropatw, dziczyzny i wielu innych potraw, których nazw nawet nie pamiętał.

Średni z braci z zaskoczeniem zauważył na stole egzotyczne owoce - po raz pierwszy w życiu skosztował pomarańczy, cytryn i wielu innych owoców, których nazw nawet nie znał.

Najmłodszy z braci schwycił grubą pajdę razowego chleba i zajadał ją ze smakiem, bo nic więcej nie było mu potrzeba do szczęścia.

Kiedy już zjedli, gospodyni zaprowadziła ich do pokojów, w których mieli wypocząć. Nic o tych pokojach nie wiemy, ale możemy się domyślać, że każdy z braci znalazł w nich dokładnie to, czego szukał. Zmęczeni podróżą, przespali całą noc.

Najmłodszy z braci zbudził się jeszcze przed świtem. Cicho zakradł się do izby i ujrzał piękną córkę gospodyni warzącą wonne zioła w olbrzymim saganie. Zaczaił się w cieniu i patrzył. A dziewczyna gotowała i śpiewała taką pieśń:

Pierwszego dnia iść chciałeś rano,  
Ale cię gromy przestraszyły,  
Dlaczego odejść chciałeś, miły,  
Na zawsze mnie zostawić samą?  
Na zawsze mnie zostawić samą?

Nazajutrz iść w południe miałeś,  
Płaczą się, płaczą leśne drogi,  
Znow cię zanosły w moje progi,  
Dlaczego mnie opuścić chciałeś?  
Dlaczego mnie opuścić chciałeś?

Czujesz wokoło moc tajemną.  
Już trzeci dzień, już odejść pora,  
Lecz doczekałeś tu wieczora.  
Zostałeś u mnie przez noc ciemną  
I zawsze już zostaniesz ze mną.

Kiedy tak śpiewała, przez okno wleciał drozd i wrzucił do kociołka kwiat rumianku. Po chwili pojawił się szpak i dorzucił liście pokrzywy oraz bratki. Wreszcie przyleciała sikorka i wypuściła z dzióbka kilka ziarenek pieprzu. Dziewczyna niczemu się nie dziwiła, tylko dzięki-

wała każdemu ptaszkowi, jak gdyby to był chłopiec pomagający w gospodarstwie albo służebna.

Chłopak zaś bardzo się dziwił niezwykłej pieśni i temu, co widział. Był pewien, że ma do czynienia z jakimiś czarami, więc wszystko dobrze zapamiętał. Jeszcze przed śniadaniem odciągnął swych starszych i mądrzejszych braci na bok i całą rzecz im opowiedział. Zdumieli się, ale przyznali mu rację -- z pewnością chodzi o jakieś czary. Pytanie tylko: dobre czy złe?

Przy śniadaniu sędziwa gospodyni wdąła się z najstarszym z braci w rozmowę o pieniądzach. Gdy ten opowiedział jej o swoich planach na przyszłość -- o sprzedaży serów i zakupie owiec -- staruszka bardzo go pochwaliła.

-- Widać, że jesteś jednym z tych, co z dwóch groszy potrafią zrobić cztery. Z pewnością mnożyłyby ci się pięknie te owce. Szkoda, że strumień wszystko porwał. Ale nic straconego. Pozostań u mnie na służbie przez trzy dni, udowodnij, że jesteś uczciwy i pracowity, a dam ci prawdziwą złotą monetę, za którą kupisz sobie od razu tuzin owiec.

Jednak najstarszy z braci naprawdę był mądry. I wcale nie był chciwy. Od razu przypomniał sobie piosenkę, którą śpiewała córka gospodyni, i zrozumiał, że jest to magiczne zaklęcie. Groziło mu wielkie niebezpieczeństwo! Gospodyni była czarownicą i gdyby pozostał w jej chatce trzy dni i trzy noce, już nigdy nie mógłby odejść.

Zaraz po śniadaniu włożył z powrotem swoje stare łachmany. Piękne nowe ubranie pozostawił złożone na łóżku i odszedł, nie oglądając się za siebie. Nie zabrał nic ze sobą ani nic za sobą nie pozostawił -- poza młodszymi braćmi. Próbował ich namówić, żeby poszli z nim, oni jednak nie byli pewni.

-- Pożyjemy, zobaczymy -- powiedzieli. -- Wciąż jeszcze przed nami dwa dni. Poczekamy, co czas przyniesie.

Tak przeminęły pierwszy dzień i pierwsza noc.

Następnego ranka najmłodszy z braci znowu wstał wcześniej i znów podsłuchiwał, jak córka gospodyni, gotując wywar, śpiewa tę samą niepokojącą pieśń. Usługne ptaszki tymczasem przynosiły jej kolejne

składniki: pestki dyni, świeże borówki i dużo, dużo makowych główek, które grzechotały kojąco jak dziecięce zabawki.

Tym razem przy śniadaniu stara gospodyni wdała się ze średnim z braci w rozmowę o podróżach. Młodzieniec opowiedział jej o swoich planach -- o tym, że chciał sprzedać zboże i osiołka i wyruszyć w drogę. Staruszka nie szczędziła mu wyrazów uznania.

-- Widać, że jesteś z tych, co nie mogą usiedzieć w miejscu. Wzywa cię szeroki świat i z pewnością przeżyłbyś mnóstwo przygód i zobaczył dziwy, o jakich nawet ci się nie śniło. Kto wie, może nawet zdobyłbyś niemałą sławę jako podróżnik i odkrywca? Tym bardziej szkoda, że spłoszony osiołek zbiegł w las, porywając ze sobą twoje nadzieje na przyszłość. Ale nic straconego. Pozostań u mnie na służbie choćby dwa dni, udowodnij, że jesteś odważny i pomysłowy, a ja dam ci prawdziwą złotą monetę, dzięki której kupisz sobie konia i dotrzesz, dokąd tylko będziesz chciał.

Chłopak jednak nie był głupi i w ogóle nie był próżny. Nie dał się skusić obietnicami podróży i sławy. Zrozumiał, że jego starszy brat miał rację. Staruszka jest zapewne czarownicą, która zastawia na nich przemysłne sidła. On także przypomniał sobie zaklęcie powtarzane przez córkę gospodyni i pojął, że gdyby pozostał tu trzy dni i trzy noce, już nigdy nie zobaczyłby nic poza tą chatką.

Dlatego zaraz po śniadaniu odszukał swoje stare ubranie i z żalem rozstał się z egzotyczną szatą, po czym odszedł, nie oglądając się za siebie. Nie zabrał nic ze sobą ani nic za sobą nie pozostawił, poza najmłodszym bratem. Próbował skłonić go do opuszczenia chatki, ale chłopak zbył go machnięciem ręki.

-- Pożyjemy, zobaczymy -- powiedział. -- Wciąż jeszcze jeden dzień przede mną. Poczekam i przekonam się, co czas przyniesie.

I tak minęły dzień drugi, a potem druga noc.

Następnego ranka najmłodszy z braci zakradł się na palcach do izby. Dobrze wiedział, co zobaczy i usłyszy, więc wcale nie ciekawość go tam zawiodła. Stał sobie po prostu schowany w kącie i podziwiał, jaka piękna jest córka gospodyni, jaki miły ma głos, jak czarowna woń unosi

się z gotowanej przez nią mikstury. Przez uchylone okno wlatywali do pomieszczenia kolejni leśni pomocnicy, znosząc owoce głogu i dzikiej róży, a także aromatyczne liście tymianku, których gorzki zapach rozchodził się po całej chatce.

Przy śniadaniu chłopakowi jak zwykle dopisywał apetyt. Stara gospodyni przysiadła się do niego, ale nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, młodzieniec odezwał się w te słowa:

-- Miła gospodyni! Odkąd przestąpiliśmy próg twojego domu, nie spotkało nas tu nic innego, jak tylko dobro. Każdy z nas otrzymywał, co tylko chciał, i to z naddatkiem. Bardzo ci jestem za to wdzięczny. Pragnę więc podziękować ci w imieniu swoim i braci, którzy tak niespodziewanie musieli nas opuścić.

Gospodyni się uśmiechnęła. Dobre wrażenie zrobiła na niej grzeczność młodzieńca. Nie zdążyła się jednak odezwać, bo młody gość po chwili zaczął mówić dalej:

-- Wiem dobrze, co teraz usłyszę. Nie jestem może taki mądry jak moi starsi bracia, ale nawet nasz wyjątkowo głupi osiołek, który, mam nadzieję, odnalazł drogę do domu, domyśliłby się, jakie w tym domu panują zasady. Zaproponujesz mi teraz rękę swojej córki. Albo złotą monetę, która będzie stanowić jej posag. Co na jedno wychodzi. I to wszystko, jeżeli dobrze liczę, zaledwie za jeden dzień służby. Zgadza się?

Staruszka skinęła głową, nieco może zaskoczona. Siedzieli w milczeniu, patrząc na siebie uważnie, aż wreszcie chłopak przemówił tak:

-- W takim razie na co czekamy? Tylko idiota by odmówił! -- Wyciągnął rękę do gospodyni, by przypieczętować umowę uściskiem dłoni. -- Moi dwaj bracia są bardzo mądrzy i podjęli słuszną decyzję. Mimo to sądzę, że moja decyzja też jest słuszną, choć przecież inną. Oni bowiem pożąдали czegoś, co znaleźć mogli tylko poza tą chatką, natomiast jedyne, czego ja pragnę, znajduje się właśnie tutaj.

I w ten sposób najmłodszy z braci pozostał już na zawsze w domku pośrodku lasu. Staruszka, tak jak obiecała, dała mu za żonę swą piękną córkę i żyli długo i szczęśliwie.

## 42.

-- To bardzo... niezwykła historia. -- Marek zastanawiał się nad tym, co właśnie usłyszał.

-- Prawda? -- Starszy pan dopił zsiadłe mleko i zaczął zbierać naczynia po śniadaniu.

-- Tylko po co właściwie dziewczyna zdradziła im na początku, jak to działa? Gdyby nie śpiewała tej piosenki, może udałoby się schwytać w sidła wszystkich trzech braci? -- rozważał Marek. -- To jak ze złoczyńcami w filmach o Bondzie: nie mogą się oprzeć pokusie i zdradzają bohaterowi cały swój misterny plan. A potem Bond może go pokrzyżować.

-- Może to część magii? -- uśmiechnęła się gospodyni. -- Trzeba przedstawić zasady gry. W żarcie, historii, we śnie albo w piosence. Czar by nie zadziałał, gdyby gość nie dostał szansy, żeby odgadnąć, gdzie się znalazł.

Marek z uznaniem pokiwał głową. To brzmiało sensownie. Umowa byłaby nieważna, gdyby klient nie został poinformowany o RODO albo nie zatwierdził ciasteczek.

-- Ta... istota... -- spytał jeszcze. -- Czy ona jest zła?

Chłopak pomyślał o drewnianej figurce -- ślepej, a zarazem śledzącej go wzrokiem w ciemności.

-- Dobro i zło... -- Staruszka zamyśliła się, szukając właściwego określenia. -- To młode słowa. Ona jest o wiele starsza. Pamięta czasy, nim dobro i zło zostały rozdzielone i nazwane.

-- Kim... Czym ona jest?

-- Nie wiem. Ale wiem, czego chce. Jej jedynym pragnieniem jest goszczenie ludzi. A jeśli bardzo czegoś chcemy, w końcu stajemy się tym pragnieniem.

-- Dziwna ta historia. Ale ma swój urok. A ci, którzy zostali... Ten najmłodszy brat... Czy ona go... pożarła? -- Marek przypomniał sobie otwartą paszczę i straszliwe zębiska drewnianej postaci.

-- Jeśli ktoś patrzył z daleka, to może tak to wyglądało -- odrzekła w zadumie stara gospodyni. -- Zagubił się w lesie i nigdy z niego nie wyszedł.

-- To tylko stara bajka -- przerwał jej mąż. -- Może było tak, a może inaczej. Ktoś inny opowie historię, w której córka gospodyni ucieka z chłopakiem.

A jednak Marek miał poczucie, że ta historia od początku mogła mieć tylko jedno zakończenie. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale w tym momencie na schodach zadudniły ciężkie kroki i do izby wszedł ojciec.

-- Dzień dobry! Jest może jakaś kawa?

-- O, już pan wstał? -- Gospodyni poderwała się od stołu. -- Zaraz zaparzę. Zje pan czy czekamy na pozostałych?

Pan Wycieczka spojrzał na Marka.

-- Na mnie nie patrz. Ja już jadłem.

-- To może na początek tylko kawa. Z góry dziękuję!

Usiadł naprzeciwko syna i zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem.

-- To na pewno ty? -- upewnił się. -- Tak wcześnie i już po śniadaniu, a w dodatku wyglądasz na wyspanego. I nie masz w ręku telefonu.

-- Zdążyłem nawet popracować! -- pochwalił się chłopak. -- Pan gospodarz pokazał mi, jak się rąbie drewno na opał.

-- Jestem coraz bardziej przekonany, że w tym miejscu dzieje się coś dziwnego. -- Pan Wycieczka uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową. -- Oddajcie mi mojego syna! Co zrobiliście z Markiem?

Zmierzył czuprynę chłopaka. Przez chwilę śmiali się obydwaj.

-- Nadal zamierzacie wyjechać po śniadaniu? -- upewniła się starsza pani, podając kawę w dużym beżowym kubku bez ucha.

-- No właśnie... -- zawahał się Pan Wycieczka. -- Wczoraj wieczorem rozmawialiśmy na ten temat z żoną. I jeżeli nie mają państwo innych gości ani planów...

Staruszka uśmiechnęła się życzliwie i pokręciła głową.

-- Więc może moglibyśmy zostać jeszcze na jedną noc i wyjechać jutro rano? Dziś wprawdzie odbiorę samochód od mechanika, ale okazało się, że w Uśniejowie jest tyle atrakcji... Chyba chcielibyśmy zostać



jeszcze trochę i wszystko zwiedzić. Ta przemiła przewodniczka na zamku wspominała wczoraj, że jest tu nowo otwarty park jurajski...

Niespodziewanie Marek poczuł, jak jego serce przyspiesza. Zacisnął pięści, napiął mięśnie łydek. Jego źrenice się rozszerzyły, a oddech stał się płytszy i urywany. Nie wiedział o tym, lecz była to jedna z najpierwotniejszych emocji wdrukowanych w ludzki mózg. Stan, którego nasi dalecy przodkowie doznawali na sawannie, gdy nagle uświadamiali sobie, że z odległości kilkudziesięciu kroków obserwuje ich szybki, sprawny drapieżnik, i jeśli nie ocali ich jakiś cudowny zbieg okoliczności, to za chwilę staną się śniadaniem.

Chłopak spojrzał na swoje dłonie. Drżały. Jedno było pewne. Źródłem jego lęku z pewnością nie były plastikowe dinozaury.

## 43.

-- Kochani, kochani, coś niesamowitego! Teraz mocna pozycja na naszej liście. Park jurajski w Uśniejowie. Jeżeli lubicie dinozaury, koniecznie kliknijcie łapkę w górę, jeśli nie lubicie -- też kliknijcie, może sobie pójda. I pamiętajcie, subskrybujcie nasz kanał, żeby nie przegapić kolejnych dostaw świeżego mięsa prosto z mezozoiku. Ro-ooooaaaaaar!

Dobra, wiem, że to suchar. To się potem wytnie.

Jak wiecie, uwielbiamy parki jurajskie. W moim i Natalii przypadku to oczywiście kwestia filmu z dziewięćdziesiątego trzeciego roku. A dzieciaki... Pewnie to trochę zasługa *Nieustraszonego Pana Kota*. A trochę nie miały wyjścia. W każdym razie staramy się odwiedzić każdy taki park na naszej trasie. Nie jest to łatwe, bo ostatnio zrobiła się na nie moda i dinozaury wyrastają w całej Polsce jak... No, te... Jak bardzo wielkie plastikowe grzyby po deszczu. Tak więc konkurencja jest ostra. Jak Uśniejów poradził sobie w tej dyscyplinie? Czy zaznaczył się wyraźnie na naszej jurajskiej mapie Polski?

Powiem tak... Nie ma rozczarowania. Jeden genialny pomysł sprawił, że ten park jest wyjątkowy. Dinozaury odtworzono w rzeczywistych rozmiarach. W skali jeden do jednego. Oznacza to, że są naprawdę... gigantyczne. Nie wiem, czy kamera to oddaje, ale ten tu brontozaur jest potwornie wielki! Widać go z drugiego końca miasta. Dosłownie! Szliśmy tu dzisiaj na piechotę, bo nasz samochód ciągle jest u mechanika, i po prostu nie sposób przegapić tej bestii.

(To o samochodzie się wytnie. Marek, pamiętaj, żeby to potem wyciąć!)

Bydlę ma dwadzieścia dwa metry od głowy do ogona. Robi porażające wrażenie.

Tam dalej widzimy tyranozaura, jest też rodzinka triceratopsów. Jak w większości podobnych parków, odtwarzają tu dinozaurowy kanon, znany ze wspomnianego filmu i książeczek dla dzieci. Ale jest też

kilka nowych gatunków, których wcześniej w żadnym parku nie widziałem. Zaraz podejmiemy bliżej, to pokażę.

Przy wszystkich dinozaurach są kody do skanowania. Podobno pozwalają uruchomić na telefonie aplikację AR, czyli rozszerzonej rzeczywistości, dzięki której dinozaury ożywają. Oczywiście na ekranie. Niestety, nie przekonamy się o tym, bo już drugi dzień w całym mieście nie ma internetu. Zdaje się, że ostatnia awaria sieci na taką skalę wystąpiła, kiedy te maleństwa jeszcze chodziły po ziemi wśród przedpotopowych paproci. Ale to nic. Bez aplikacji też jest imponująco. W sumie nie wiem, czy jestem gotowy zobaczyć, jak ten gigantyczny brontozaur ożywa i trąca to piękne miasteczko.

## 44.

Marta wyłączyła nagrywanie. Dziś to jej przypadła zaszczytna rola kamerzystki. Heniek wprawdzie zaoferował pomoc, ale dziewczyna miłosiernie zmieniła go po tym, jak się okazało, że właściwie nie bardzo wie, którą stroną aparatu się nagrywa. A w dodatku nie do końca rozumiał ideę ekranu dotykowego. Może powinien zostać w tym parku?, przeszło jej przez myśl. W mezozoiku pewnie poczułby się jak w domu. Żadnej technologii, czysta natura, walka o przetrwanie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Była niewyspana, ale szczęśliwa. Patrzyła na wyszczerzone kły dinozaurów i posyłała im równie szeroki uśmiech. Miała ochotę uściskać te paskudztwa. W końcu to dzięki nim zostali tu o dzień dłużej. Dziś wieczorem znowu będzie mogła się spotkać z nowymi znajomymi. Z Rudą. Co kilka minut sprawdzała telefon z nadzieją, że już włączyli internet. Niestety, awaria trwała w najlepsze. Ciekawe, co porabia Ruda. Czy już wstała? Na którą dziś idzie do pracy? Czy myśli o niej, o ich wczorajszym spotkaniu, o rozmowie na murku...?

Marysia z mamą siedziały w olbrzymiej piaskownicy i specjalnymi pędzelkami oczyszczały wielkie plastikowe kości dinozaurów, bawiąc się w archeologów.

-- Paleontologów -- sprostował Pan Wycieczka, jak zawsze gotów do belferskiej interwencji. -- Archeolodzy poszukują śladów ludzkiej działalności. Wymarłymi zwierzętami zajmują się paleontolodzy. Bawicie się w paleontologów.

-- Ściśle rzecz biorąc, to w paleontolożki, mądralo -- odgryzła mu się Natalia. -- Jesteśmy dziewczynami, więc mów na nas: paleontolożki.

Marysia zachichotała, podobało jej się to słowo.

-- A nie wystarczy: pani paleontolog? -- Pan Wycieczka nie lubił przegrywać.

-- Tylko jeżeli będę mogła się do ciebie zwracać: panie nauczycielko.

-- Dobrze, już dobrze. Nawet nie zaczynamy tematu.

-- Słusznie -- zgodziła się Natalia. -- Nie chcę, żeby ktoś omyłkowo zamknął cię na noc w tym parku, myśląc, że jesteś dinozaurem. Jednym z tych wylęknionych, przedpotopowych typów, którzy dostają ataku paniki, ilekroć słyszą, że do radia zaproszono gościńię, a nie panią gość.

Pan Wycieczka rzucił w nią plastikową łopatką. W odpowiedzi dostał w głowę dwoma wiaderkami rzuconymi równocześnie przez mamę i córkę.

-- Przeraza cię to słowo? Powiedz! -- drażniła się z nim Natalia. -- Gościni! Gościni!

Marta i Marek ochoczo dołączyli do zabawy i teraz szli wszyscy za ojcem, udając małe tyranozaury z krótkimi łapkami i powtarzając w kółko: "Gościni!".

-- Już dobrze, dobrze. Poddaję się. -- Pan Wycieczka uniósł ręce. -- Jesteście zwyciężczyniami i zwycięzcą. A ja na szczęście nie jestem już panem nauczycielką. Teraz jestem panem youtuberką, a nawet panem influencerką! I robię monstrrrrualne zasięgi! -- Zaryczał jak brontozaur, wywołując piski i salwy śmiechu.

Zabrali się z piaskownicy, zapakowali Marysię do wózka w kształcie słodkiego dinusia i ruszyli na dalsze zwiedzanie parku.

-- To musiało kosztować fortunę. Fortunę! -- Pan Wycieczka nie mógł wyjść z podziwu. -- Kto za to zapłacił? Jak to się udaje utrzymać?

Miał podejrzenie graniczące z pewnością, że zna odpowiedź na te pytania. A brzmiała ona: fundusze europejskie.

-- Gdzieś tutaj musi być tabliczka... -- powtarzał Jaworski pod nosem. -- Ile to kosztowało... Ciekawe, ile to kosztowało...

-- Nawet pan sobie nie wyobraża. -- Brodacz w okularach wyrósł przed nimi jak spod ziemi. Dosłownie. Wychylił się z wykopu imitującego pęknięcie tektoniczne, w którym podłączał jakieś kable. -- Zastanawia się pan czasami, czy nas na to stać? -- ciągnął. Wyglądało na to, że jest pracownikiem parku, ale nie miał na sobie żadnego identyfikatora ani nic innego, co by jednoznacznie potwierdzało jego status. --

Czy stać nas na te ogrody sensoryczne, aquaparki, dinozaury, betonowe rewitalizacje rynków, gigantyczne place zabaw? Piękne to jest, zwłaszcza te place zabaw. Ale czy możemy sobie na to pozwolić? Czy to są sensownie wydane pieniądze?

-- Fakt -- przytaknął Jaworski. -- Za te pieniądze można by pewnie nauczyć programowania wszystkie dzieciaki w gminie. Albo gry na fortepianie. Albo jednego i drugiego.

-- Ale zawsze jakoś tak się składa, że akurat kuzyn burmistrza ma fabrykę plastikowych dinozaurów, a Czesiek z rady miasta produkuje kostkę brukową. -- Do rozmowy włączył się Heniek. Nigdy by nie prze-gapił okazji, by ponarzekać na nowoczesność.

-- Nawet nie chodzi o jakąś oczywistą korupcję -- zgodził się Bro-dacz, entuzjastycznie kiwając głową. -- Po prostu tylko dzięki wielkim projektom rewitalizacyjnym i infrastrukturalnym można porządnie za-robić. A przy tym przynoszą widoczny, materialny rezultat. Każda wła-dza lubi się pochwalić swoim dinozaurem. Dlatego topimy majątek w plastiku i betonie.

-- Prawdę mówiąc, czasami się zastanawiam -- Pan Wycieczka przybrał poważny, profetyczny ton -- czy Unia Europejska nie upadnie właśnie przez te dinozaury. Nie przez jakąś wojnę czy nierówności, na-wet nie przez katastrofę klimatyczną, tylko właśnie przez wielkie pla-stikowe dinozaury. Któregoś dnia wstaniemy rano i okaże się, że wszystkie pieniądze zainwestowaliśmy w mezozoiczne monstra i wieże widokowe. Nic nie zostało. Plastik jest cholernie trwały, więc za cztery tysiące lat przyjdą tu archeolozki i nieźle się zdziwią. Przeszukując ru-iny otoczone tymi dwudziestometrowymi kolosami, będą się zastana-wiać, czy to była jakaś religia, kult, czy składaliśmy im ofiary z ludzi.

-- Może będą miały rację? Może to jest nasza religia? -- zadumał się Brodacz. -- Może nawet składamy im ofiary z ludzi? Nie w sposób do-słowny, ale przecież pieniądze zainwestowane w dinoparki mogłyby pójść na onkologię. Albo zmniejszyć przepaść między nami a Afryką. Ciągłe powtarzamy, że tu brakuje, tam brakuje, nie możemy pomóc

wszystkim, bo kołderka jest zbyt krótka. A dinozaury stoją. I rosną. Naprawdę mam wrażenie, że z każdym rokiem są coraz większe...

-- No, ale skoro już tu jesteśmy, nie mamy innego wyjścia, jak tylko cieszyć się z ich towarzystwa. -- Pan Wycieczka postanowił uciąć przygnębiającą rozmowę.

Brodacz uśmiechnął się ze zrozumieniem.

-- Wróćcie koniecznie, jak naprawią internet. Animacje robią wstrząsające wrażenie! -- zachęcił ich jeszcze, nim zniknął z powrotem w swojej rozpadlinie.

Jak wielki świstak, pomyślał Marek. Tylko zamiast przewidywać pogodę na podstawie swojego cienia, wdał się z nami w spontaniczny small talk o przyszłości Unii Europejskiej.

Pomachali mu i ruszyli dalej.

-- Marta, włącz nagrywanie. Robimy końcówkę. Kochani, kochani! Przeszliśmy cały park jurajski, zrobiliśmy naradę i odbyło się głosowanie. Rodzinny werdykt jest jednoznaczny: dinozaury w Uśniejowie naprawdę robią wrażenie. Są jak żywe. Nie chciałbym, żeby mnie zaatakowała taka bestia!

## 45.

-- A na obiad pędzimy do restauracji! -- Pan Wycieczka nakręcał się coraz bardziej. -- W zasadzie to nawet nie na obiad. Jest za wcześnie. To będzie lunch. Obiad zdążymy jeszcze potem zjeść u naszych gospodarzy. Ale na razie lecimy do Grapy. Jeden gość w parku mówił, że to kultowe miejsce.

-- Do Grapy? -- Marta zatrzymała się w pół kroku. Nie mogą tam pójść! To byłoby okropnie niezręczne, gdyby zasiedli przy stoliku, a Ruda musiała im usługiwać. -- Słyszałam o tym miejscu same złe rzeczy. Jest banalne. Nie idźmy tam.

-- Banalne?

-- Wygląda jak wszystkie góralskie karczmy. Widzieliśmy już tysiąc takich miejsc. Tandeta dla turystów.

Pan Wycieczka nie wyglądał na zniechęconego.

-- No proszę! Jesteśmy tu od wczoraj, a już wszyscy słyszeliśmy o Grapie. Wygląda na to, że to najśłynniejsze miejsce w okolicy. Nie możemy go przegapić. Musimy sprawdzić, jak tam karmią. Ocenimy i wydamy rodzinny werdykt!

Marta spuściła wzrok i schowała głowę w ramionach. W takich chwilach ojciec był jak lokomotywa. Rozpędzona stalowa masa, której nie sposób zatrzymać. Jeżeli nie zachowasz ostrożności na przejeździe, rozniecie cię na miazgę. Paradoksalnie najbezpieczniej jest w środku. Trzeba wsiąść i pędzić razem z nim. Do kolejnej stacji, kolejnej atrakcji, kolejnego lepszego kontraktu. Tut-tuuut!

Dziesięć minut później siedzieli już w Grapie, gotowi narobić młodej Jaworskiej wstydu. Marta marzyła o czapce niewidce. Zniknąć, zakamuflować się, zapaść pod ziemię.

Wydarzyło się nieuniknione i do stolika podeszła właśnie Ruda. Wyglądała wspaniale, jak zawsze. W ogóle nie było po niej widać niewyspania. Ale może ona, zamiast włóczyć się po dinoparkach, po prostu wykorzystała przedpołudnie, by odespać zarwaną noc?



Kelnerka przywitała się grzecznie, powiedziała, jaką mają zupełną, po czym zaczęła rozdawać karty. Marta pomyślała, że jej modlitwy zostały wysłuchane i Ruda jej nie poznała. Ale podając menu, dziewczyna musnęła jej rękę. Młoda Jaworska wiedziała, że to nie był przypadek. Podniosła wzrok, a Ruda puściła do niej oko.

-- Wystrój rzeczywiście dość przewidywalny. -- Pan Wycieczka wcielił się w całkiem przyzwoitą imitację Magdy Gessler. -- Ale dajmy im szansę. Podejźmy do tego strategicznie i podzielmy się kartą, żeby spróbować wszystkiego. Marek, ty zamówisz...

Zaczął się. Strategiczne podejście do karty. Żaden rodzinny posiłek nie może być po prostu posiłkiem. W restauracji ojciec zamienia się w Napoleona. Macha rękoma, wydaje rozkazy, czasem nawet wchodzi na krzesło, żeby zlustrować teren. Marta nie miałaby nic przeciwko, gdyby nie to, że swoim zachowaniem zwracał na nich uwagę otoczenia. Dowodzenie rodzinnym batalionem już mu nie wystarczało. Chciał mieć do dyspozycji armię. Komenderować całą salą, całym miastem. Wszyscy musieli dostosować się do jego rytmu. Zejść z drogi, ustąpić pierwszeństwa. Uwaga, uwaga! Nadjeżdża Pan Wycieczka, prosimy odsunąć się od torów.

Zgodziła się posłusznie na wybrane przez ojca danie, oparła się na łokciach i schowała twarz w dłoniach. Rozpuściła włosy, pozwalając, by opadły jej na twarz.

-- Jesteś w tym coraz lepsza. -- Marek jakby czytał w jej myślach. -- Jeszcze ze dwa levele i naprawdę nauczysz się być niewidzialna.

Kopnęła go pod stołem. Wrzasnął o wiele głośniejszym głosem niżby wypadało w jego wieku, i oczywiście właśnie wtedy Ruda wróciła, żeby zebrać zamówienia. Ojciec recytował po kolei pozycje z karty, za każdym razem dodając coś w rodzaju: "Marek ma dziś ochotę zjeść...", "Marysia prosi dziś o..." czy "Marta zdecydowała się na...".

Na nic się nie zdecydowałam, myślała dziewczyna, zaciskając szczękę. W ogóle nie chciałam tu przychodzić. A gdyby tak się postawić? Przerwać mu i zamówić coś całkiem innego? Położyć coś na torach, wykoleić ten jego pociąg...

-- Przepraszam. -- Heniek zwrócił się wprost do Rudej. Chciał mieć pewność, że Pan Wycieczka nie uzna przeprosin za skierowane do niego. Nie zamierzał się tłumaczyć z tego, że zamawia to, co chce. -- Ja jednak poprosiłbym...

Nastolatka podniosła głowę, odgarnęła włosy z czoła i patrzyła na starego hipisa coraz większymi oczami. Zrobił to! Postawił się ojcu. I wcale nie wyglądało to tak, jakby się rzucił pod pociąg w akcie desperacji. Przeciwnie. To ojciec musiał zwolnić. Nie mógł tego zignorować. Naprzeciw jego wycieczkowego ekspresu po tym samym torze pędził obcy parowóz. Jaworski oderwał spojrzenie od karty i bez słowa mierzył się wzrokiem z Heńkiem. Marcie wydawało się, że ta scena trwa absurdalnie długo, choć domyślała się, że to tylko złudzenie.

-- Ależ oczywiście. -- Jaworski ustąpił. -- Zaszło nieporozumienie. Proszę zamawiać śmiało.

-- Dziękuję, że łaskawie pozwalasz mi zjeść to, na co mam ochotę. -- Heniek wyraźnie dążył do konfrontacji.

-- A ja w takim razie wezmę dwa dania. Czuję się dziś wyjątkowo głodny. -- Głos ojca wciąż jeszcze był spokojny, ale córka знаła go zbyt dobrze, by nie zauważyć, że drżą mu mięśnie na skroni i niżej, przy szczęce. Pod cienką warstwą uprzejmości kotłowała się para. Trzeba było jak najszybciej wprawić tę maszynę w ruch, rozproszyć jej energię, inaczej ciśnienie rozsadzi kocioł. Zanim jednak Marta zdążyła cokolwiek zrobić, do akcji wkroczyła matka.

-- A może moglibyśmy zamówić wszystko wspólnie, w wersji rodzinnej? -- zapytała Rudą. -- Jak w Grecji albo na Bałkanach. Dania na półmiskach, a dla nas małe talerzyki. Każdy będzie mógł się poczęstować, czym zechce, i spróbować wszystkiego?

-- Jasna sprawa! Południowa ucza raz! -- Ruda uśmiechnęła się szeroko i zniknęła w kuchni. Zawór bezpieczeństwa został otwarty. Dziś przy lunchu nikt nie zginie. Marta popatrzyła na mamę z wdzięcznością i podziwem. Natalia uśmiechnęła się do niej porozumiewawczo.

Oczywiście okazało się, że jedzenie jest wyśmienite.

-- Prawie tak dobre jak u naszych gospodarzy! -- komplementował Pan Wycieczka z pełnymi ustami. -- To może być kwestia wody. Czytałem kiedyś o tym. Wyjątkowo dobra woda z lokalnego źródła i wszystko smakuje minimalnie inaczej. To dzięki idealnym proporcjom soli mineralnych. Taka geologiczno-kulinarna magia.

Marta nie wiedziała, czy sole mineralne odgrywały tu kluczową rolę, ale nie miała wątpliwości, że to rodzaj magii. Na brzegu swojego talerzyka znalazła serduszko ułożone z dwóch wygiętych pasków marchewki.

Znowu poczuła się szczęśliwa. Spróbowała po trochu każdego dania, a na samym końcu schrupała marchewkowe serduszko. Czuła, że po tym obżarstwie przytyje. I że po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna w ogóle jej to nie obchodzi.

## 46.

Warsztat Żmihorskiego wyglądał jak cmentarzysko słoni. Jaworski naliczył na jego terenie aż sześć samochodów w różnym stanie rozkładu. Umorusany pomocnik wyglądający na mocno nieletniego mocował się z wózkiem do akumulatorów, uprawiając slalom między wrakami. Sporo awarii jak na takie niewielkie miasteczko, pomyślał Pan Wycieczka.

-- Mam dla pana dobrą i złą wiadomość -- ogłosił mechanik, podając Jaworskiemu łokieć zamiast czarnej od smaru dłoni. Pan Wycieczka nie dokonał wyboru, więc Żmihorski zaczął od dobrej.

-- Dobra jest taka, że to tylko gałąź. Nie będę pana zanudzał szczegółami, ale to nie jest auto terenowe w ścisłym tego słowa znaczeniu. Duża gałąź wkręciła się panu w podwozie i jakimś cudem zdołała zaablokować...

Tu nastąpiło wyjaśnienie, którego Jaworski nie zrozumiał, a które i tak niespecjalnie go interesowało. Swoją drogą, nigdy nie słyszał, żeby opuszczanie asfaltówki wiązało się z takim ryzykiem. "Hej, nie jeźdź po lesie, bo ci się wkręci gałąź". No ale tak naprawdę nie robił tego zbyt często, las służy przecież do spacerowania.

-- Podsumowując -- ciągnął Żmihorski -- wystarczy wyjąć gałąź i sprawa rozwiązana. Bez rozbebeszania samochodu.

-- To świetnie...

-- Tyle że muszę wprowadzić auto na podnośnik, który nadal jest zajęty, więc wóz będzie do odbioru dopiero jutro rano. Zadzwońbym, ale sam pan wie...

Pan Wycieczka wzruszył ramionami. W końcu i tak postanowili tu zostać do następnego dnia. A miasteczko jest niesamowite.

-- Może w tym czasie pójdziecie do aquaparku? -- odpowiedział Żmihorski.

-- Macie tu aquapark? -- zdziwił się Pan Wycieczka.

-- Jak każde miasteczko w okolicy. -- Żmihorski był zdziwiony jego pytaniem.

-- Dobra. Nie ma problemu.

Aquapark nie wydawał się złym pomysłem. Mieli w bagażu kąpielówki i resztę sprzętu. Mieli nawet specjalną kamerę do kręcenia pod wodą.

-- Poczekam do jutra. Potrzebowałbym tylko zadzwonić w kilka miejsc.

-- Nie ma zasięgu -- przypomniał mu mechanik i rozłożył ręce w geście rezygnacji.

-- I nie ma pan stacjonarnego?

-- Już chyba mnie pan pytał. Kto dzisiaj ma stacjonarny?

-- To niech mnie pan podwiezie do najbliższego miejsca, w którym złapię zasięg.

-- To może być i godzinę drogi stąd... -- Żmihorski przecząco pokręcił głową.

-- Zapłacę jak za taksówkę. Ja naprawdę muszę zadzwonić.

-- A ja naprawdę nie mam czasu. -- Mechanik wskazał gestem auto stojące na podnośniku. -- Jest sobota, a ja siedzę w robocie po łokcie. Mogę dać panu numer do taksówkarza...

Jaworski się ucieszył, ale po chwili sobie przypomniał, że przecież nie ma zasięgu. Wracasz na pole "start". Nie pobierasz premii.

-- Musi być jakiś sposób. Nie zna pan nikogo, kto mógłby mnie podrzucić? Sprawa robi się pilna!

-- Może mój kuzyn... -- zastanawiał się Żmihorski. -- Dorabia jako kierowca busika. Często wozi turystów po okolicy. Mogę dać panu adres. To nie jest daleko stąd. Dzielnica nazywa się Węglarz, od góry, którą stamtąd widać.

Pan Wycieczka podążył spojrzeniem za palcem umorusanym smarem.

-- Chociaż nie wiem, czy chce się pan zapuszczać w tamte okolice... To raczej nie miejsce dla turystów.

## 47.

Natalia czytała córeczce. Pan Kot po raz kolejny dzielnie stawiał czoła swojemu lękowi i po raz kolejny wychodził z próby zwycięsko. Zatrzymały się na stronie niemal w całości wypełnionej wielkim kolorowym obrazkiem z mnóstwem zabawnych szczegółów.

Dobre książeczki dla dzieci są jak wakacyjne miejsca, które pamiętamy z młodości. Można do nich wracać wielokrotnie i wciąż odkrywać nowe ścieżki, widoki i atrakcje, a czasem nawet sprytnie ukryte tajemnice. Wspomnienia przeplatają się z rzeczywistością, postacie się zmieniają i dorastają wraz z nami, a zarazem pozostają takie same -- wciąż rozświetlone magiczną aurą nostalgii, która wszystko wygładza, upiększa i czyni łagodniejszym. Choćbyś odwiedzał je w każde wakacje od najwcześniejszego dzieciństwa, zawsze dostrzeżesz coś nowego.

Tym razem Natalia zwróciła uwagę na niezwierzęcą postać przypiętą na marginesie strony. To był chyba autor *Nieustraszonego Pana Kota* we własnej osobie. "Nie ma się czego bać!", przekonywał i w niewielkim komiksowym dymku wymieniał zaskakująco wiele rzeczy, których obawiał się jako dziecko.

Nie ma się czego bać! To było główne przesłanie książeczek o Panu Kocie. Niektóre rzeczy wyglądają na straszne, ale wcale straszne nie są. Warto próbować czegoś nowego, warto się mierzyć ze swoimi słabościami.

A co z rzeczami, które naprawdę są straszne? Co ze złymi ludźmi, kryzysem klimatycznym, co z rakiem i bezrobociem? Czy na to odważny Pan Kot też ma jakieś rady? Jaką radę ma dla niej?

-- Panie Kocie, co mam zrobić ze swoim życiem?

*Nieustraszonego Pana Kota* Marysia odziedziczyła po Marku, więc książeczki były już mocno sfatygowane. Niektóre wypadające kartki przytwierdzono taśmą. Amatorska introligatorka, której szybko uczy się każda mama. Natalia patrzyła, jak małe paluszki przebiegają po ilustracjach w poszukiwaniu ukrytych niespodzianek, i razem z córeczką odczytywała kolejne wersy historyjki, którą obydwie znały na pamięć.

Poczuła wzbierającą falę macierzyńskiej miłości. Tuż przed oczyma miała niesforną czuprynę córeczki, wdychała zapach jej włosów, słyszała nie tylko słowa i śmiech, ale także jej oddech. Była spokojna i szczęśliwa. Pierwszy raz od bardzo dawna. Po raz pierwszy od...

-- Co tak siedzicie? -- Sędziwa gospodni bez pytania postawiła przed Natalią parującą kawę. Oczywiście w tej samej wysokiej szklance z cienkiego szkła. Może i tym razem czuje jej magię?

-- Czytamy sobie *Nieustraszonego Pana Kota* -- odpowiedziała Marysia, nim matka zdążyła się odezwać. -- Pan Kot nie boi się już potwora spod łóżka. Bo tego potwora w ogóle nie ma.

-- Zgadza się -- potwierdziła Natalia.

-- W piwnicy też nie ma ducha. -- Marysia postanowiła zdradzić gospodni zakończenie książeczki bez ostrzeżenia o spoilerach. -- Ale czasem się boimy, jak gdzieś jest ciemno albo słychać dziwne dźwięki.

-- Czytamy sobie i czekamy na męża. -- Natalia zerknęła na telefon, który teraz pełnił funkcję wyłącznika zegarka. Dochodziła trzecia. -- Lada chwila powinien wrócić z warsztatu. Mam nadzieję, że tym razem z samochodem. Coś długo to trwa.

-- Z tymi samochodami... -- Starsza pani się zamyśliła. -- Gdybyście miały drugi, mogłybyście szybko podjechać na baseny i trochę się pluskać.

Natalia się wykrzywiła. Jak gdyby nagle dał o sobie znać ropiejący ząb, o którym na moment udało się jej zapomnieć.

-- Ja... Nie prowadzę samochodu.

-- Rozumiem, rozumiem... -- Staruszka pokiwała głową. -- Też nie mam prawa jazdy. Tutaj wszędzie jest blisko.

-- Ja mam prawo jazdy... -- Warto być odważnym, powtarzał w głowie Natalii Pan Kot. Pewne rzeczy wyglądają na straszne, ale wcale straszne nie są. -- Nie jeżdżę, odkąd jakiś czas temu miałam wypadek. Potrafiłam rowerzystę. To nie była moja wina, ale...

-- To wtedy zraniła się pani w nogę? -- zapytała staruszka. -- Przepraszam. Nie chciałam być wścibska. Po prostu zauważyłam, że pani lekko utyka.

-- Tak... -- Natalia bardzo nie chciała wracać wspomnieniami do tamtego dnia. -- Próbowałam w ostatniej chwili ominąć tego rowerzystę i spadłam z nasypu. To było cztery lata temu. Od tego czasu miałam setki godzin rehabilitacji i jest już znacznie lepiej. Chodzę normalnie, bez kuli...

-- A córeczka?

-- Słucham?

-- Chciałam spytać...

Ale Natalia nie dowiedziała się, o co. Wykonała niezręczny gest i nim się zorientowała, było już za późno. Szklanka zachwiała się na krawędzi stołu, po czym runęła i roztrzaskała się o drewnianą podłogę, rozbryzgując wokół kawę i lodowe iskierki.

-- Tak mi przykro... Tak mi przykro... -- powtarzała Jaworska bez składu.

Staruszka łagodnie odsunęła Marysię od ostrych szklanych odłamków i chwyciła słomianą miotłę stojącą w kącie kuchni.

-- Nie ma się co martwić. Dam pani nową...

-- Słucham?

-- To tylko kawa... Zaraz zrobię pani nową. Tylko pozamiatam, żeby się dziecko nie skaleczyło.



## 48.

A więc istnieje część Uśniejowa, o której można powiedzieć, że jest brzydka. Dzielnica rozpadających się domków rozstrzelonych na stoku wzgórza wśród nieuporządkowanych, błotnistych obejść. Zatem Węglarz to tutejsze zakazane rewiry, pomyślał Pan Wycieczka, dzielnica, do której lepiej nie zapuszczać się po zmroku. Całe szczęście, że do wieczora jeszcze daleko! No nic. Warto zobaczyć i takie miejsca. Bez tego zwiedzanie nie jest pełne.

Szedł długą, wąską i stromą ulicą. Piął się coraz wyżej, podążając za wskazówkami, których udzielił mu Żmihorski. Ten cały kuzyn powinien mieszkać gdzieś na końcu drogi, po lewej. Jeszcze trzy domy, dwa... To tutaj.

Wyleniały pies na krótkim łańcuchu przywitał Jaworskiego klapaniem i warczeniem, jakiego nie powstydzilyby się bestie z dinoparku. Pan Wycieczka prześlizgnął się wzrokiem po brudnym podwórzu, na którym wały się resztki przynajmniej trzech bardzo starych samochodów. Raczej nie udałoby się z nich zmontować jednego działającego. Na ławce przed domem z nieotynkowanych pustaków siedziała blondynka w bliżej nieokreślonym wieku.

-- Przepraszam! -- zawołał do niej Pan Wycieczka.

Podniosła głowę i spojrzała na niego, ale nie ruszyła się z miejsca ani nie odpowiedziała.

-- Przepraszam -- powtórzył Jaworski -- szukam pana, który mieszka w tym domu... Kuzyna mechanika Żmihorskiego.

-- Nie ma go -- odpowiedziała blondynka. -- A jakby nawet był, to nie ma żadnych pieniędzy. Nie wiem, ile ci jest winny, ale mnie na pewno wisi więcej.

-- Ja nie w tej sprawie. -- Jaworski zbliżył się do furtki, wywołując kolejny atak furii nieszczęsnego zwierzęcia. Zrobił szybko krok wstecz. -- Ja raczej w kwestii odwrotnej. Chętnie zapłaciłbym, gdyby... mąż...? Gdyby był tak uprzejmy i podwiózł mnie do sąsiedniej miejscowości.

-- Zapłacił? -- Kobieta poderwała się z miejsca jak zabawka na sprężynie. -- Kochanie! Kochaaaaanie! Jakiś miły pan do ciebie!

Chwila ciszy. Potem straszliwy łomot. Coś jak sobota, szósta rano i odbieranie surowców wtórnych z pojemników ze szkłem. Wreszcie drzwi domku otworzyły się z hukiem i w progu stanął mężczyzna w slipach. W samych slipach.

-- Pan pyta, czy go podwiesz do sąsiedniej miejscowości.

-- Jakiejś większej najlepiej... -- wtrącił Pan Wycieczka.

-- Za flaszkę podrzucę pana do Grybowa. Może być? -- Mężczyzna wykonał kilka chwiejnych kroków w kierunku furtki, nieskutecznie próbując się złapać ogrodzenia, po czym runął jak długi twarzą w błoto.

-- Tlko... sssspodnie... znajdę.

-- Świetnie! -- Pan Wycieczka zaczął się wycofywać.

-- Sssspodnie...

-- To może jutro. Znam adres. Odezwę się.

-- Tylko... spodnie...

-- Zadzwonię!

## 49.

-- No dobra, co tam znowu wymyśliłeś? -- spytała Marta, kiedy już się wdrapali na wzgórze nad domkiem. Nie bardzo uśmiechała jej się kolejna szalona wyprawa, ale co lepszego miała do roboty? Tak przynajmniej czas zleci szybciej.

-- Pamiętasz naszą wieczorną rozmowę? -- Marek się nie zatrzymał, tylko szedł dalej w kierunku miasta. -- Ciągle masz wrażenie, że tu się dzieje coś dziwnego? Bo ja tak.

-- Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że tu jest super. -- Marta się zawahała. A może wcale nie chciała z nim iść? -- Chyba najdziwniejszy w całym mieście jesteś ty. Jak stąd jutro wyjedziesz, liczniki dziwności znowu będą wskazywać odczyty w normie.

-- Ja też mam wrażenie, że tu jest super. I to mnie właśnie niepokoi.

-- Halo, policja? Proszę przyjechać do Uśniejowa, to miejsce jest tak fajne, że aż strach.

-- Nasza gospodyni opowiadała mi rano naprawdę porąbaną bajkę i czuję się trochę jak jej bohater. -- Marek nie dawał za wygraną.

-- Bajkę? *Seriously?*

-- Tam było trzech braci... Trafili do takiej chatki, w której każdy dostawał to, czego chciał najbardziej. Bo to była chatka wiedźmy i...

-- I co zamierzasz zrobić z tą nowo zdobytą wiedzą? Uczyć w przedszkolu?

-- Na początek chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o tym miasteczku. To nie zaszkodzi, prawda? Sprawdziłbym w Wikipedii, ale wyobraź sobie, przypadkiem akurat wtedy, gdy tu przyjechalismy, urwało im kabel od internetu.

-- Sądzisz, że to spisek? -- Ściszyła głos do szeptu i przysłoniła usta dłonią, żeby szpieg z teleobiektywem nie odczytał jej słów z ruchu warg. -- Wszyscy mieszkańcy zmówili się i przegryźli kable telefoniczne, żeby cię tu uwięzić. Na odwyku. Bez twoich gier. Posłuchaj sam siebie! Brzmisz jak paranoik.

-- Mniejsza z tym. -- Marek był na tyle zdeterminowany, że puścił zaczepkę mimo uszu. -- Gdzie się sprawdzało informacje, kiedy nie było komórek z internetem?

-- W bibliotece? -- Marta powoli traciła cierpliwość.

-- Bingo! Tam muszą mieć stałe łącze.

-- Mogłeś sobie oszczędzić łażenia. -- Marta z politowaniem poklepała go po głowie. -- *Been there, done that*. Nie mają netu. Wystarczyło spytać.

-- W takim razie zagramy naprawdę oldschoolowo. Gdzie sprawdzało się informacje, zanim nastały czasy internetu?

-- Też w bibliotece? Tyle że w książkach.

-- Bingo po raz drugi. Poszukamy czegoś o historii tej miejscowości. Idziesz?

Marta stała na wzgórzu i patrzyła na Uśniejów. Nie bardzo ciekawiła ją historia miasta. Ale przecież chwilowo nie miała ciekawszych zajęć. A może w bibliotece znów natknie się na Rudą? Nawet kolejne spotkanie z Okularnikiem nie wydawało się jej teraz straszne.

-- Dobra, czekaj, idę z tobą. Ale maksymalnie godzinka. Potem wracamy, zanim starzy zaczną panikować.

## 50.

To nie ma sensu. To nie ma żadnego sensu! Pan Wycieczka od godziny błąkał się po Uśniejowie. To jest duża turystyczna miejscowość. Tu muszą być jakieś busy, taksówki, nie wiem, ubery... Pekaes! To jest myśl.

-- Przepraszam panią, któredy na przystanek pekaesu? -- zagadnął młodą dziewczynę, która wyprowadzała psa. To był jego tajny sposób. Chcesz mieć pewność, że trafisz na lokalsa? Zapytaj kogoś, kto idzie z psem. Poza tym ludzie wyprowadzający psy rzadko się gdzieś spieszą i zwykle mają czas, by spokojnie udzielić instrukcji. Tym razem też się udało.

Po kilku minutach szybkiego marszu (znowu pod górę) Pan Wycieczka dotarł na dworzec. Rozkład był mocno okaleczony cięciem kosztów. O ile rano wydostanie się z Uśniejowa i powrót tego samego dnia były jeszcze możliwe, o tyle teraz miał do wyboru już tylko jeden autobus. Jeśli do niego wsiądzie, najbliższą noc spędzi w Krynicy. Niedobrze. To może prywatny busik?

Kręcąc się w okolicach dworca, odnalazł wreszcie niewielki przystanek lokalnych busów. Wyglądało na to, że szczęście w końcu uśmiechnęło się do Jaworskiego. W zatoczce stał srebrny pojazd z wielkim napisem "Uśniejów. Pokochasz -- zostaniesz" i pokracczym logo miasta przedstawiającym... jakiś kwiat? Może rosiczkę?

-- Dzień dobry! Dokąd dojadę tym busem? -- zagadnął kierowcę.

W środku siedziało już kilkoro pasażerów.

-- Dzień dobry! -- Kierowca uśmiechnął się życzliwie. -- Pełny rozkład wisi tam, na przystanku, ale w skrócie odpowiedź brzmi: wszędzie. Jedziemy do dinoparku, aquaparku, przez skansen, potem ruiny i wracamy tutaj, pod dworzec.

-- Czyli jeździ pan w kółko po Uśniejowie...

-- Zgadza się! -- Kierowca wyglądał na dumnego ze swojej pracy. -- Zapewniając wygodny transport do wszystkich atrakcji naszego miasta.

-- A gdybym chciał się stąd wydostać?

-- To znaczy?

-- Potrzebuję pilnie dostać się do którejś z sąsiednich miejscowości.  
Gdziekolwiek, gdzie jest zasięg.

-- To może taksówka? Mogę panu podać numer.

## 51.

Tym razem w bibliotece nie było Okularnika. Była za to sympatyczna, pomocna bibliotekarka, która bardzo się ucieszyła, że dwoje turystów postanowiło zapoznać się z dziejami miasta. Opracowania poświęcone lokalnej historii zajmowały oddzielną półkę. Było też parę teczek z wycinkami prasowymi i rozdziały w książkach dotyczących regionu. Mieli spory wybór.

-- Czego właściwie szukamy? -- Marta w ostatniej chwili złapała książkę, która prawie spadła ze stosu niesionego przez brata. -- Może bierz mniej naraz?

-- Nie mamy czasu. Trzeba przekartkować tego jak najwięcej. Idziemy na ilość.

-- Ale czego mam szukać?

-- Indiańskiego cmentarza. -- Marek zaczął przeglądać pierwszą książkę. -- Szukaj indiańskiego cmentarza.

-- Po pierwsze, mówi się "rdzenni mieszkańcy" -- poprawiła go siostra. -- Słowo "Indianie" jest uważane za obraźliwe. Po drugie, WTF? Jaki cmentarz? Czegoś ty się najadł?

-- Jak w horrorze jakiś budynek jest przeklęty, to zawsze się okazuje, że został wzniesiony na starym cmentarzysku. Albo coś w tym stylu. Nie chodzi mi o prawdziwy cmentarz. Mam na myśli taki chwyt literacki.

-- Tobie się naprawdę wydaje, że jesteśmy w zaczarowanym mieście?

Marek na chwilę przestał czytać i popatrzył na nią bez cienia wesołości.

-- Słuchaj... Poważnie rozważam możliwość, że to początki choroby psychicznej. Ale odkąd tu przyjechaliśmy, nachodzi mnie co jakiś czas nieodparta myśl, że coś jest bardzo, ale to bardzo nie w porządku. Wczoraj wieczorem, kiedy szliśmy na tę imprezę, przyznałaś, że ty też coś takiego czujesz. A to sprawia, że hipoteza choroby psychicznej staje się nieco mniej prawdopodobna. Oczywiście wciąż pozostaje opcja za-

trucia jakimiś środkami psychodelicznymi. To by wyjaśniało, dlaczego obydwójce doświadczamy tego dziwnego uczucia. Ale póki nie włączą internetu i nie będę mógł sprawdzić, jakie grzyby tak działają, chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o tym mieście. Serio nie dziwi cię, że nigdy wcześniej o nim nie słyszeliśmy?

-- A słyszałeś o Grybowie? Albo o Szymbarku? -- Marta próbowała mu udowodnić, że przesadza. W głębi duszy czuła jednak, że tak naprawdę przekonuje samą siebie. -- Poza tym przypominam ci, że w zasadzie to słyszeliśmy o Uśniejowie. Wujek Karol był tu z rodziną dwa albo trzy lata temu. Pamiętam, że chyba nawet pokazywał zdjęcia.

-- Omówimy to potem. Na razie spróbuj przejrzeć to. -- Podsunął jej gruby tom w czerwonej oprawie.

-- Indiański cmentarz, powiadasz?

Marek skinął głową i zagłębił się w lekturze.

Pół godziny później z wypiekami na twarzy przerzucali się soczystymi fragmentami przeglądanych książek.

-- To prawdziwa cmentarna lazania! -- emocjonował się Marek. -- Cmentarzysko na cmentarzysku. Stephen King by tego nie wymyślił. Najpierw wszystkich wymordowali Mongołowie, potem kolejne ludy przychodziły i odchodziły, a w czasie drugiej wojny światowej odbywała się na tych terenach gigantyczna operacja, w której poniosły śmierć dziesiątki tysięcy radzieckich żołnierzy. Słyszałeś o tym kiedykolwiek? Jakby tego było mało, po wojnie niemal całą tutejszą ludność przesiedlono w ramach akcji "Wisła".

-- To jeszcze nic. Posłuchaj tego! -- Siostra przytoczyła mu kilka passusów z czerwonej księgi.

Wyglądało na to, że na tych odludnych ziemiach stosunkowo długo utrzymywało się pogaństwo. Nawet tam, gdzie oficjalnie wzniesiono już kościoły, miejscowa ludność chętniej radziła się zielarek niż księży.

Brzmiało to sensownie. Może z punktu widzenia podręcznika do historii decyzją Mieszka I wierzenia setek tysięcy jego poddanych mogły w jednej chwili ulec zmianie. Jednego dnia byli jeszcze poganami czczącymi lokalne bóstwa, duchy i demony, kolejnego -- pokornymi



owieczkami w papieskiej zagrodzie. Tyle że w rzeczywistości to tak nie działa. Dlatego pogańskie wierzenia żyły jeszcze długo, choć w rozproszonej wersji. Rozmienione na drobne, kryte przed wzrokiem książąt i biskupów po odludnych wsiach, ozywające po zmroku, kultywowane w dziecięcych zabawach, w mądrościach staruszek, w rytuałach związanych z płodnością i śmiercią. Nawet tam, gdzie na pozór zwyciężyło chrześcijaństwo, dawni bogowie przetrwali, przywdziewając nowe szaty i przybierając nowe imiona. Żeby zachować swoje święta i ołtarze ofiarne, nie zawahali się przed żadnym podstępem. Przebrani za świętych, leczyli ból zęba albo ślepotę. W odpustowych strojach diabła straszili dzieci i obiecywali bogactwo dorosłym. Niektóre z tych prastarych istot podszywały się nawet pod Matkę Boską, wykorzystując jej liczne funkcje związane z zieleniactwem, płodnością albo opieką nad rozstajnymi drogami.

Miejsca takie jak Uśniejów, otoczone naturalnymi fortyfikacjami, trudno dostępne, do pewnego stopnia zabezpieczone przed postępowaniem, szczególnie sprzyjały tego rodzaju chytremu kamuflażowi. Dlatego historia, której przyglądali się młodzi Jaworscy, była nie mniej splątana niż ulice miasta przemierzane w tym samym czasie przez ich ojca.

-- Tu piszą sporo o jakiejś Czerwonej Kasztelanowej... -- Marta wskazała palcem rycinę przedstawiającą piękną kobietę, która patrzyła na płonące domy.

-- Znam ją! -- Marek z niepokojem wpatrywał się w ilustrację. -- Znaczy nie osobiście. Raczej jak carycę Katarzynę. To ważna figura w tutejszych legendach. Lokalna wersja białej damy.

-- Z tego, co tu czytam, wynika, że mogła być wiedźmą. Podobno paktowała z jakimiś lokalnymi demonami i nawet złożyła im w ofierze wioskę, żeby sprowadzić klątwę na nadciągające wojska mongolskie. Spójrz! Wymordowała wszystkich: mężczyzn, kobiety, nawet dzieci. Ich krwią wypisała "bezbożne symbole", a potem kazała spalić domy, żeby dym przywołał... takie coś...

Trudno powiedzieć, co przedstawiała kolejna rycina. Wyglądało to jak kłęb dymu z oczami. Markowi skojarzyło się z dżinem. Ale takim

złym. Jak wtedy, kiedy na koniec *Aladyna* Dżafar chciał osiąść wszystkie moce. Jedno było pewne. Ten gość raczej nie spełniał trzech życzeń. I musiał mieć naprawdę dużo HP. Pokonanie go byłoby wyzwaniem nawet dla najbardziej doświadczonych graczy.

-- Tak czy owak, ostatecznie jej się nie udało -- zakończyła Marta. -- Mongołowie zajęli te tereny.

-- Zawsze warto próbować, nie? Na zamku trochę inaczej przedstawili nam tę historię. Wygląda na to, że tu każda opowieść ma dwadzieścia różnych wersji.

-- No dobra, co zamierzasz zrobić z tą wiedzą?

-- Jeszcze nie jestem pewny. Ale to, że znaleźliśmy tak dużo cmentarzysk, nasuwa mi pewną myśl. Na razie wracajmy do domu. Starzy już pewnie rozklejają po mieście plakaty z informacją, że zaginęliśmy.

## 52.

Marek już wiedział. Nie wiedział jeszcze dokładnie, co wie, ale wiedział.

To była misja. Wyzwanie. Challenge od losu. A na challenge'ach znał się przecież jak nikt. Swoje umiejętności doskonalił przez lata. Nie krok po kroku, jak doskonali się język obcy albo grę na instrumencie, ale w trzech dużych skokach. Każdy z nich kończył się wizytą w gabinecie wujka Mateusza -- kolegi taty z liceum, który który wybrał karierę ortopedy i nigdy nie miał czasu spotkać się na piwo. I każdy związany był z hydrofornią.

Marek skoczył z niej po raz pierwszy, gdy miał sześć lat. Niewielki betonowy budynek stał na ich starym osiedlu. Krył w sobie pompy dostarczające wodę na najwyższe piętra kilkunastu wieżowców z wielkiej płyty. Z wnętrza co jakiś czas rozlegały się zgrzyt i przeciągłe wycie trwające kilkadziesiąt sekund. Potem hydrofornia milczała -- czasem kwadrans, czasem godzinę, a czasem tylko kilka minut. Kiedy się koło niej przechodziło, będąc dzieckiem, i wycie nagle się odezwało, miało się wrażenie, jakby wewnątrz obudził się potwór. Jeśli szło się samemu, to się uciekało. Jeśli się szło grupą -- patrzyło się, co robią inni.

Ale sześciolatek Marek nie był już dzieckiem. Nie bał się wycia hydroforni. Zwłaszcza gdy było zupełnie jasno, a w pobliżu znajdowali się koledzy. Wiedział, że to tylko pompy.

Co innego skakanie. Hydrofornia przypominała zamek. Wieżami były stojące na dachu kanciaste kwietniki, w których nigdy nic nie rosło. Starsze chłopaki skakały z nich na skarpę, z której można się było potem widowiskowo stoczyć. Marek też chciał być starszy. Stał na krawędzi kwietnika i patrzył w dół. Myślał o tym, że z ziemi wieżyczka wydawała się znacznie niższa.

-- Skacz! Skacz! Skacz! Skacz! -- skandowali koledzy.

Wiedział, że jeśli się wycofa, zderzy się ze ścianą. Nie tylko z tą utworzoną z łokci i kolan wypychających go na krawędź kwietnika, ale przede wszystkim ze ścianą drwin i uśmiezków. Gdyby nie skoczył,

mur pogardy na długi czas oddzieliłby go od kolegów. Na tym właśnie polegał challenge. Skoczył.

W gabinecie wujek Mateusz długo i uważnie przyglądał się zdjęciu rentgenowskiemu jego lewej nogi. Nie była złamana, a tata miał okazję porozmawiać z kolegą. Więc w sumie same dobre wiadomości. A jednak ojciec był wściekły.

-- A jakby Robert kazał ci włożyć głowę do piekarnika, to też byś włożył?!

Drugi raz był gorszy. Marek wstydzi się tego do dziś. Miał dziewięć lat i niedawno został Jutuberem. Z dnia na dzień awansował do roli najpopularniejszej osoby w szkole i czuł się z tym doskonale. Szybko uczył się nowej geometrii międzyludzkich układów, w ramach której to on znajdował się teraz w centrum uwagi, a inni usilnie zabiegali o jego towarzystwo. Zrozumiał wtedy, że każdy challenge ma dwie strony. I nie mają one nic wspólnego z odwagą i tchórzostwem. Ten, kto skacze z kwietnika, zawsze jest przegranym. Zwycięzcami są ci, którzy rzucają wyzwania i ustalają reguły gry.

Czternastoletni Marek zagubiony w Uśniejowie doskonale pamiętał dziewięcioletniego siebie stojącego ze skrzyżowanymi ramionami na hydroforni. Pamiętał, jak powiedział, że on skoczył, gdy miał sześć lat. Pamiętał, że nie dodał nic o płakaniu, utykaniu i wizycie u wujka Mateusza. Pamiętał też, że nie popchnął tamtego chudzielca z pierwszej klasy. Rzucił tylko:

-- Skaczesz czy tchórzysz?

A potem tata Marka wioził chudzielca do wujka Mateusza. Marek patrzył na czerwoną, napuchniętą twarz chłopaka. Też miał ochotę się rozplakać, ale wiedział, że mu nie wolno. Tego popołudnia całe współczucie należało się tamtemu. On był ofiarą, a Marek -- katem. Mama dzieciaka siedziała z przodu i wolno mówiła, że rozumie, że przecież dzieci takie są i w jej czasach też się skakało. Tata już jej nie przeproszał. Zaciskał tylko ręce na kierownicy, pogwizdywał i kręcił głową.

Od poprzedniej wizyty minęły trzy lata, ale gabinet wujka Mateusza nic się nie zmienił. Jego gospodarz też nie. Oglądnał zdjęcie nogi chu-

dzielca (prawej) i pokręcił głową jak wcześniej tata.

-- Złamania nie widzę. Ale to najwyraźniej niebezpieczne miejsce. Może powinni jakoś ogrodzić ten hydrofor?

Tym razem w domu tata nic nie mówił o wkładaniu głowy do piekarnika. Nie gniewał się, nie krzyczał. Powiedział tylko cicho, że jest rozczarowany i że bardzo mu wstyd. Markowi też było wstyd.

Ale to nie ze wstydu poszedł na hydrofornię po raz trzeci, mniej więcej rok po akcji z chudzielcem. Była wiosna. Mieszkali już na nowym osiedlu, więc zrobiła się z tego wyprawa. I dobrze. Taka wyprawa doskonale pasowała do nowego odkrycia, które Marek właśnie poczytał. Wyzwania, jakie ludzie rzucają sobie wzajem, nie mają żadnego znaczenia. Budowanie pozycji poprzez prowokowanie innych jest równie żałosne jak skakanie z hydroforni ze strachu przed utratą szacunku. A jednak wyzwania są ważne. Może nawet najważniejsze. Tyle że nie mają wiele wspólnego z relacjami towarzyskimi. Prawdziwe wyzwania to samotna sprawa. Zakład między tobą a wszechświatem. Teraz skoczy właśnie dlatego, że nikt tego od niego nie wymaga. Nikt nie patrzy. Nikt nie krzyczy. Nikt by się nie dowiedział, gdyby w ostatniej chwili stchórzył. Ale nie stchórzył. Skoczył.

Przy lądowaniu usłyszał ciche chrupnięcie. Nie dał rady wrócić do domu o własnych siłach. Całe szczęście, że miał przy sobie telefon.

Wujek Mateusz tym razem wypatrzył na zdjęciu pęknięcie. Nic bardzo poważnego, ale bez gipsu się nie obyło.

-- Ej, Jawor! -- rzucił na odchodne. Koledzy z liceum mówili na ojca Jawor. Marek uważał, że to jeszcze mniej pomysłowe niż Pan Wycieczka. -- Ale wiesz, że możemy się po prostu umówić na piwo któregoś dnia? Znajdę jakiś wolny termin. Nie musisz zrzucać dzieciaka z okna, jak chcesz sprawdzić, co u mnie...

Tata się nie uśmiechnął. Całą drogę powrotną milczał. Nie był ani wściekły, ani rozczarowany. Był zdziwiony. Nie rozumiał, po co jego syn wrócił na hydrofornię. Marek to widział. Patrzył na zagipsowaną nogę i się uśmiechał. Mimo wszystko był z siebie dumny. Wypatrzył wyzwanie, dopadł je i stawiał mu czoła.

Wtedy w samochodzie postanowił, że taki właśnie będzie. Gdy zobaczy drabinę -- wejdzie na nią. Gdy dostrzeże muldę, jadąc na nartach -- skoczy. Życie składa się z wyzwania. To one nadają mu sens. Odtąd Marek ich wypatrywał. Omijając wyzwania, omijamy własne życie, powtarzał sobie.

W uśniejowskiej bibliotece właśnie to się zdarzyło: znaleźli wyzwania. Jedno za drugim, skumulowane i spiętrzone w wielki tor przeszkód. To nasunęło Markowi pewną hipotezę. Na razie mglistą i nieprecyzyjną, ale i tak zamierzał ją przetestować. Tylko jak?

## 53.

Natalia siedziała przy stole i patrzyła, jak staruszka szykuje kolejną kawę. Pod stołem Marysia bawiła się w pociągi dwiema starymi drewnianymi łyżkami. Jeśli dzieci nie mają pod ręką zabawek, bawią się tym, co akurat znajdują w pobliżu. Drewniana łyżka jest równie dobrym pociągiem jak plastikowa ciuchcia na baterie, która buczy, gra, świeci, śpiewa piosenki i uczy angielskiego. A może nawet lepszym.

Otworzyły się drzwiczki kredensu, czajnik napełnił się wodą i trafił na kuchnię. Wszystko, co robiła starsza kobieta, miało w sobie wdzięk rodem ze starych filmów Disneya. Jak gdyby oswojone sprzęty współpracowały ze swoją panią.

Jaworskiej towarzyszyło poczucie, że ta przygarbiona istota o pergaminowej, prawie przezroczystej skórze w jakimś sensie pochodzi właśnie z tego świata -- ze świata dziecięcej wyobraźni, w którym łyżka może w jednej chwili zmienić się w pociąg. Nie otaczał jej nadmiar przedmiotów. Oprócz zabytkowej lodówki jedynymi elektrycznymi urządzeniami w jej kuchni były dwie żarówki, które wieczorami umożliwiały zawekowanie jeszcze jednego słoika. Najwyżej dwóch.

Natalia pomyślała o wszystkich gadżetach, które zabrali ze sobą w tę podróż. Część z nich znajdowała się w oddzielnej torbie ozdobionej logo Eltronu. Od miesiąca był to ich nowy sponsor, czy -- jak głosił oficjalny tytuł -- "kreatywny partner w rodzinnym odkrywaniu skarbów południowej Polski". Nie potrzebowali żadnego z tych przedmiotów i nieraz spędzali całe wieczory, próbując znaleźć pretekst do ich użycia, który miałby choć pozory naturalności.

"Kochani, kochani. Dziś trzeba było wstać naprawdę wcześniej. Bez kawy nie da rady. Na szczęście nie musimy nawet schodzić do hotelowej restauracji, bo mamy ze sobą rewelacyjny ekspres na kapsułki Eltronu. Szkoda, że przez internet nie da się jeszcze transmitować zapachu. Coś niesamowitego! W całym pokoju pachnie jak w Starbucksie. Czy mogę użyć nazwy Starbucks? To chyba nie jest bezpośrednia konkurencja... Nie wiem. Dobra, nagrajmy to jeszcze raz". Albo: "Kochani!

Wspaniała sprawa. Wracamy właśnie z lasu, mamy mnóstwo jagód. Wszyscy dzielnie zbierali. Pokażcie łapki do kamery. Widać, prawda? Co teraz z tych owoców zrobimy? Otóż zrobimy z nich pyszny koktajl, używając tego oto blendera Eltronu. Warto zwrócić uwagę na kołnierz, odróżniający go od innych blenderów, które mieliśmy. Różnica jest olbrzymia, bo dzięki niemu nasz blender nie chlapie, nawet jeżeli... Ożeż ty... Wyłącz to. Stop nagry...".

Dni upływały im na wymyślaniu potrzeb, które mogliby potem zaspokoić dzięki gadżetom. Szukali problemów, które dałoby się rozwiązać z pomocą produktów. Przekonywali ludzi do tego, że kupując te cuda, sprawią, że ich życie stanie się lepsze.

Teraz to myśli Natalii były jak pędzący pociąg. Od czterech lat nienawidziła tych podróży i przedmiotów, które im towarzyszyły. Nienawidziła... swojej rodziny. Nie tych wspaniałych dzieci, nawet nie męża. Nienawidziła Pana Wycieczki i jego Wycieczkowej Rodziny, której była częścią. Nienawidziła tego projektu, z którego nie mogła, nie potrafiła się wyplątać. To on był siecią, to on był nowotworem, to on zabijał ją powoli, dzień po dniu. Gdzieś w głębi serca... Nie, niżej. Gdzieś w jej ciele tkwił cierń. Bolesna, ropiejąca, wrzodziejąca rana. Ta rana nie mogła się zagoić. Nie było na to czasu, bo Natalia musiała ciągle biec. Musiała biec, chociaż bolała ją noga. Musiała biec, chociaż kręciło się jej w głowie, chciało się jej rzygać, płakać, wyć, chciała zostać sama i wrzeszczeć. Musiała biec. Ale najgorsze było to, że musiała się przy tym uśmiechać. Nieustannie wyrażać zachwyt i zadowolenie, bo inaczej film trzeba będzie powtórzyć. Trzeba będzie zrobić drugie, trzecie, dziesiąte ujęcie. Będzie musiała się gapić w coraz lepsze, coraz inteligentniejsze obiektywy telefonów Eltronu tak długo, jak długo jej twarz nie będzie dostatecznie uśmiechnięta, nie stężeje w uśmiechu, nie zmieni się w roześmianą maskę...

-- Mamo, śpisz? -- Pociąg z łyżki dojechał do stacji Buty Mamy.

-- Zamyśliłam się tylko, córeczko. -- Natalia się uśmiechnęła. Naturalnie. Bez wysiłku.



-- Niech się pani jednak tej kawy napije. -- Staruszka na moment przysiadła naprzeciwko nich.

-- Długo pani tu mieszka? -- zapytała Natalia.

-- Długo. -- Kobieta się uśmiechnęła. -- Całe życie. Mieszkałam tu z mamą, zanim poznałam męża. Potem on się wprowadził.

-- I nie kusiło panią, żeby stąd wyjechać?

-- Wyjechać? -- Wodniste oczy staruszki rozszerzyły się, wyrażając bezbrzeżne zdziwienie.

## 54.

-- Wygląda na to, że opuszczenie tego miejsca nie jest łatwą sprawą!

W domku na skraju lasu odbywała się pospiesznie zwołana rodzinna narada. Przewodniczył jej oczywiście Pan Wycieczka, siedząc u szczytu stołu jako prezes rodzinnego przedsiębiorstwa.

-- Próbowałem wszystkiego: bus, pekaes, taksówka... Bezskutecznie. Utknęliśmy tu na trochę. Na szczęście nieźle się bawimy, nie?

Nikt nie zgłosił zdania odrębnego, więc Pan Wycieczka kontynuował:

-- Mam propozycję, żebyśmy teraz poszli do aquaparku. To pół godziny pieszo. Skarbie, dasz radę?

Natalia skinęła głową, a jej mąż pędził dalej:

-- Będzie super, mówię wam. Wygląda na to, że ten aquapark jest imponujący. Poza tym jak przez mgłę pamiętam, że wujek Karol opowiadał, że są tam rewelacyjne zjeżdżalnie. Nie słyszę głosów sprzeciwu, zatem wyruszamy. Zbiórka za dziesięć minut tutaj, ze sprzętem pływackim i ręcznikami. Szybko, szybko!

-- Szybko, szybko! -- krzyczała rozemocjonowana Marysia. -- Słyszycie, co mówi tata? Idziemy popływać!

Heńka nie było w pobliżu, uznali więc, że wyruszą bez niego. Ich relacja i tak robiła się dziwna, pomyślał Jaworski. Mieli go podrzucić kawałek samochodem, a skończyło się na dwóch dniach wspólnych wakacji. Może już wystarczy?

## 55.

Budynek aquaparku wyglądał jak siedziba złoczyńcy z komiksu o facetach w pelerynach. Częściowo przeszklony, częściowo obudowany różnokolorowymi płytami z pleksi, miejscami obły, gdzieś kanciasty -- jak gdyby projektowało go kilku architektów, którzy się ze sobą nie konsultowali. Albo jak gdyby zaprojektował się sam. Wypęczkował, rozbudowując się o kolejne dobudówki, przybudówki, piętra i garaże -- zresztą jak wiele polskich domów, stanowiących wciąż otwarte projekty. Z boku, niczym macki monstrialnej cyberośmiornicy, wystawało kilka pokręconych kolorowych zjeżdżalni. Zaczynały się w niewielkiej wieżyczce dobudowanej do głównego budynku, wiły kawałek na zewnątrz, a potem znikwały z powrotem w środku lub kończyły się w dużym zewnętrznym basenie.

Ale aquapark atakował nie tylko oczy. Już z daleka było słychać gwar, plusk, krzyki, gwizdy ratownika i pisk dzieci dokazujących na chlapowisku. Gdy Jaworscy podeszli nieco bliżej, aquapark zaangażował kolejny z ich zmysłów wyraźnym zapachem basenowej wody.

Przeszli oddzielnie przez kasy, szatnie, przebieralnie i prysznice i spotkali się nad basenem.

-- Gotowi na następną przygodę?! -- huknął dziarsko Pan Wycieczka. -- Mamy do przetestowania podwodny aparat Eltronu.

-- Hura. -- Głos Marka nie mógł wyrażać mniejszego entuzjazmu, ale ojciec postanowił strategicznie zignorować formę i skupić się na treści.

-- Witam rodzinę! -- Pani z Okienka nie pozwalała im o sobie zapomnieć.

Gdy Jaworski usłyszał jej głos, w pierwszej chwili pomyślał, że kobieta ma tu trzeci etat. Może obsługuje wszystkie turystyczne atrakcje w mieście? Kiedy jednak się odwrócił, zobaczył, że tym razem nowa znajoma jest tu najwyraźniej prywatnie, a nie służbowo. Ubrana była w szary sportowy kostium kąpielowy i Jaworski stwierdził ze zdziwie-

niem, że jest zaskakująco zgrabna. Wcześniej jakoś nie zwrócił na to uwagi.

-- Widzę, że dotarliście już do naszego aquaparku.

-- Wygląda imponująco! -- Pan Wycieczka raz jeszcze rozejrzył się dookoła. Hala głównego basenu była ogromna.

-- Fundusze europejskie. -- Pani z Okienka puściła do niego oko. -- Mam nadzieję, że przez aquaparki Europa nie wyginie jak dinozaury. Czy sądzi pan, że nasza cywilizacja ostatecznie może się utopić w tych basenach?

-- To zależy. Może okaże się jednym z tych dinozaurów, które potrafiły pływać? -- zaczął Jaworski, automatycznie wracając do rozmowy rozpoczętej w parku jurajskim. Aż nagle, w połowie zdania, zdał sobie sprawę, że prowadził ją tam z kimś innym. Przecież Pani z Okienka nie było w dinoparku! O funduszach europejskich dyskutował z gościem z brodą... -- Skąd... -- zająknął się i odchrząknął. O co właściwie powinien spytać? -- Skąd pani nagle przyszły do głowy te dinozaury i fundusze?

-- Mój brat ciągle o tym mówi. -- Pani z Okienka nie wydała się zdziwiona jego pytaniem. -- Pracuje jako przewodnik w naszym parku jurajskim.

A więc zagadka wyjaśniona, pomyślał z ulgą Jaworski. To nie żadne czary. Chociaż w zasadzie... Może to magia małych miasteczek? Tu wszyscy się znają. Możesz zacząć rozmowę z jedną osobą i kontynuować z drugą.

-- Taki z brodą, wygląda trochę jak profesor z filmu przygodowego? -- upewnił się Pan Wycieczka.

-- Dokładnie. Świetny opis! -- ucieszyła się Pani z Okienka. -- Czyżbyście go spotkali?

-- Tak. Ucieliśmy sobie krótką pogawędkę o dinozaurach i Unii Europejskiej.

-- To jego stały tekst -- zaśmiała się kobieta. -- "Unia Europejska upadnie w końcu przez te plastikowe dinozaury!"

Jaworski się uśmiechnął, pomachał jej na pożegnanie i był gotowy wskoczyć do basenu. Próbował otrząsnąć się z uczucia, które ogarnęło go przed chwilą. Czyżby na stare lata popadał w paranoję?

A jednak... Był prawie pewny, że w dinoparku to on powiedział brodaczowi o Europie, która wyginie jak dinozaury, a nie odwrotnie. Tyle że nie bardzo wiedział, co ma z tym faktem zrobić. Pewne rzeczy są po prostu tak dziwne i tak bardzo bez znaczenia, że lepiej natychmiast o nich zapomnieć.

Postanowił tak właśnie uczynić.

-- To może zaczniemy od zjeżdżalni? -- zaproponował i klasnął. Liczył, że ten dziarski gest ostatecznie odetnie go od tego, co się właśnie wydarzyło. Efekt był jednak odwrotny do zamierzonego: dźwięk poniósł się po wodzie, zwielokrotniony przez kopulasty dach, i zrobiło się jeszcze dziwniej.

Krętymi schodami wdrapali się na szczyt wieżyczki -- jednej z kilkunastu dobudówek doklejonych do głównej hali basenu. Kształtem nawiązywała, chyba celowo, do baszty zdobiącej uśniejowskie ruiny, ale tym razem nie mieli wrażenia, że wspinaczka się dłuży.

-- Marta, nagrywaj! -- Pan Wycieczka wręczył córce aparat. -- A Marek będzie naszym testerem, dobrze?

Nastolatek wzruszył ramionami i ustawił się koło ojca.

-- Kochani, coś niesamowitego! Wdrapaliśmy się na samą górę, ale było warto. Bo teraz będzie zjazd jedną z najdłuższych zjeżdżalni wodnych w tej części Europy! Synu, jesteś gotowy?

Otwór prowadzący do zjeżdżalni był mały i ciemny. Wyglądał jak dziura wyżarta przez gigantycznego robala. Przez czerwoną plastikową konstrukcję zjeżdżalni przeświecała odrobina popołudniowego słońca i kiedy Marek zajrzał do wnętrza, zobaczył, że jest wypełnione upiorną poświatą. Płynąca w dole woda wyglądała jak krew.

-- To jak, gotowy?

Ej, to naprawdę wygląda jak krew, pomyślał chłopak. To nie była żadna poetycka metafora, tylko wierny opis tego, co widział. Ktoś po prostu zawałił na etapie projektu albo doboru materiału. W dodatku

z rury dobywał się jakiś zapach -- ledwie wyczuwalny, lecz nieprzyjemny. Nie smród, ale woń, którą określiliby jako... niepokojącą.

-- Marek!

Głos ojca wyrwał go z zamyślenia. To przecież tylko głupia zjeżdżalnia.

-- No to jedziemy!

## 56.

Jedzie się szybciej, niż się spodziewałem -- to była jego pierwsza myśl. Zjeżdżalnię dobrze wyprofilowano, dzięki czemu uzyskiwało się w niej niezłą prędkość. Układała się w spiralę, więc jazdę odczuwało się jako jeden długi zakręt.

Jedzie się dłużej, niż się spodziewałem -- to była jego druga myśl. Ta zjeżdżalnia jest naprawdę długa!

Poczuł dreszczyk emocji i przez chwilę się cieszył, że tam na górze nie uległ irracjonalnej panice. To była chyba najlepsza zjeżdżalnia wodna, jaką testował. Tyle że poziom adrenaliny rósł, a trasa wcale się nie kończyła. Powinienem już być na dole, myślał, ta zjeżdżalnia nie może być aż tak długa. To po prostu niemożliwe. Przecież widziałem ją z zewnątrz, idąc do aquaparku. Czerwona spirala wijąca się przy wieżycze jak przerośnięty wąż, daleki krewny plastikowych gadów z dino-parku. Mogła mieć trzy, cztery, na pewno nie więcej niż pięć splotów.

Coś było nie tak. Zamknął oczy, po czym je otworzył. To się działo naprawdę. Pędził przez ciasny tunel bez wyjścia. Nie mógł się zatrzymać, nie mógł się nawet porządnie rozejrzeć. Otaczało go morze czerwieni, niosła go rzeka krwi. Czuł smak krwi w ustach, słyszał jej dudnienie w skroniach, resztki powietrza wokół pachniały krwią.

To było niemożliwe, ale przecież się działo. Myśli w głowie Marka zbiły się i splątały jak włókna delikatnej tkaniny wypranej w zbyt wysokiej temperaturze. Nie mógł już sformułować żadnej hipotezy, przedsięwziąć jakiegokolwiek planu.

Rurę wypełnił okropny dźwięk, początkowo cichy, potem coraz głośniejszy. Marek słyszał go wyraźnie, ale nie mógł się zorientować, czym jest ten nieludzki, nieartykułowany, gardłowy ryk ani skąd dobiega. Ostatnim wysiłkiem woli spróbował namierzyć jego źródło i uświadomił sobie, że to on krzyczy.

Czerwone światło zbladło i zgasło.

## 57.

-- Jak mogliście nam wcześniej nie powiedzieć o festiwalu?!

Pan Wycieczka tak naprawdę nie miał pretensji do gospodarzy. Jeżeli odczuwał jakiegokolwiek emocje, były to radość i podniecenie. Ten festiwal... Przypuszczał, że to może być materiał, jakiego potrzebowali. Nagrania, które przywiozą z Uśniejowa, pozwolą im porządnie rozruszać kanał, ba -- wynieść go na zupełnie nowy poziom! Sponsorzy będą zachwyceni. Przyjdą następni. Jaworscy spłacą z nawiązką kredyt na sprzęt. Znowu wszystko będą mogli i niczego nie będą musieli. Będą wolni.

-- Byliśmy pewni, że wiecie. -- Stary gospodarz wydawał się zaskoczony. Kiedy pięć minut wcześniej poruszył temat regionalnego festiwalu pierogów, zrobił to w taki sposób, jakby opowiadał o wschodzie słońca albo o tym, że po zimie nadejdzie wiosna. "Jutro ostatnia niedziela sierpnia, festiwal pieroga".

Pan Wycieczka i Natalia pochylali się nad ulotką, którą gospodarz wygrzebał z kredensu.

-- Jest sprzed roku, ale festiwal zawsze wygląda tak samo.

W ulotce, obok logo zaprojektowanego zapewne przez siostrzeńca burmistrza, widać było mnóstwo uśmiechniętych rodzin, apetyczne regionalne specjały i runiczne symbole płonące na tle nocnego nieba.

-- Zdjęciami się nie sugerujcie. Nie oddają skali i atmosfery...

-- To przecież Święty Graal każdego wycieczkowego youtubera! -- zachwycał się Jaworski. -- Musimy to zobaczyć. Festiwal trwa cały dzień i większość nocy. A wieczorem jest pokaz pirotechniczny. Mają być płonące pierogi.

-- Płonące pierogi? -- Marta siedziała w rogu izby i czekała, aż wreszcie będzie mogła wyjść i spotkać się z Rudą. Obok niej, na zydelku, przycupnął Heniek.

-- Tu są fotografie... -- Pan Wycieczka pomachał córce ulotką, ale z daleka niewiele dostrzegła. -- Przecież to wyjdzie rewelacyjnie na



zdjęciach. Musimy pójść na ten festiwal, po prostu musimy. Czy możemy zostać jeszcze na jedną noc?

-- Gość w dom... -- odparła z uśmiechem staruszka.

-- Zostańcie choćby tydzień -- wtórował jej gospodarz. -- Następnym letnikom mamy dopiero od soboty.

-- A więc postanowione. Wyjedziemy pojutrze. Jutro rano odbiorę samochód, podjadę w miejsce, gdzie jest zasięg, wgram nasze relacje, dam znać sponsorom... -- trąknął rozgorączkowany Jaworski.

-- Wykluczone. -- Marek schodził z góry nieznośnie powoli. Jakby wciąż jeszcze się nie przebudził.

-- Drzemka pomogła? -- Ojciec udawał, że nie usłyszał.

-- Nie potrzebowałem drzemki -- wycedził nastolatek. -- Potrzebowałem stąd wyjechać. I nadal potrzebuję. Najlepiej w tej chwili.

-- Marek, bardzo cię proszę, zachowuj się racjonalnie. -- Ojciec wstał i chyba zamierzał podejść do syna, ale zatrzymał się w pół drogi.

Stali naprzeciwko siebie i mierzyli się wzrokiem.

-- Po tym, co widziałem, nie zostanę tu ani godziny dłużej.

-- Spanikowałeś, to wszystko. -- Jaworski wreszcie zrobił kolejny krok w jego kierunku.

-- Wiem, co widziałem.

-- Spanikowałeś -- powtórzył ojciec, bardzo wolno, jak gdyby uczył syna nowego słowa w obcym języku. -- Przecież potem dziesięć razy pokazywali ci, jak działa ten mechanizm. Zjeżdżalnia zamyka się w wielki obwarzanek. Jeden koniec się unosi, drugi opada, potem odwrotnie, tworząc złudzenie niekończącego się zjazdu. Przecież to jest genialne! Dziwię się, że nikt wcześniej tego nie wymyślił.

-- Nie ma takich zjeżdżalni. Takie mechanizmy nie istnieją.

-- Marek, błagam cię. Wszyscy potem zjeżdżaliśmy. Wrażenie faktycznie jest niesamowite. Mam tu gdzieś ulotkę. Ta zjeżdżalnia nazywa się Infinity Loop czy coś w tym stylu. Zobacz, tu jest logo ze znakiem nieskończoności. Jak teraz patrzę, to chyba to jest raczej taki wąż, który pożera własny ogon.

-- Wąż, co się ugryzł w dupę! -- Marek wciąż jeszcze stał na schodach, dzięki czemu górował nad ojcem o kilkanaście centymetrów. -- Chcę stąd wyjechać. Natychmiast.

-- Marek!

Pan Wycieczka był załamany zachowaniem syna. Co mu się stało? Co sobie pomyślą gospodarze? Swoją drogą, na takich atrakcjach powinno być jakieś ostrzeżenie. Dzieciak wystraszył się nie na żarty. Każdy by się wystraszył na jego miejscu.

-- Marta, proszę cię, powiedz coś. Wiem, że też to czułaś. -- Marek z nadzieją popatrzył na siostrę. Srogo się zawiódł.

-- Nie bądź egoistą. Nigdzie nie wyjeżdżamy. Nie jesteś pępkiem świata. Nakręcasz się od samego przyjazdu. Niepotrzebnie poszłam z tobą do biblioteki. Te wszystkie indiańskie cmentarze najwyraźniej rzuciły ci się na mózg. Mniej graj w gry, to może przestaniesz mieć takie schizy!

-- To się działo naprawdę! Ta zjeżdżalnia nie miała końca... Płynęła nią krew...

Marysia zatkała sobie uszy rękoma i przytuliła się do mamy.

-- Marek, straszysz siostrę! -- zbeształa go Natalia.

Jaworski się ucieszył, że tym razem nie wzięła strony syna. Im szybciej zamkną tę absurdalną wymianę zdań, tym lepiej. Wtedy niespodziewanie do rozmowy włączył się stary hipis.

-- Ja chłopakowi wierzę.

-- Dziękujemy za ten cenny głos w rodzinnej dyskusji -- wycedził Jaworski.

Ale niezrażony Heniek ciągnął:

-- Jest coś na rzeczy... Nie potrafię tego nazwać, ale odkąd tu przyjechaliśmy, mam wrażenie, że coś zastawia na nas pułapki. Widzieliście kiedyś mrówkolwa? To taki owad, a dokładniej larwa owada. Robi w piachu lejek i zagrzebuje się na dnie. Kiedy przechodząca mrówka wpadnie do leja, po jego stromych ścianach zsuwa się coraz głębiej, wprost w paszczę potwora. Jeżeli jest silna i sprawna, próbuje się wydostać. Wtedy mały sukinsyn ostrzeliwuje ją ziarenkami piasku i strąca

coraz niżej. I czeka. Bo mrówkolew jest przede wszystkim cierpliwy. Łapczywość jest mu obca. Nie pozwala na nią jego biologia. Mrówkolew nie pożera swoich ofiar. On je nakłuwa i wysysa, a resztki wyrzuca. Gdyby nie był taki mały, byłby naprawdę przerażający. I wiecie co? Mam wrażenie, że wszyscy znaleźliśmy się w leju absurdalnie wielkiego mrówkolwa.

-- Co za bzdury! -- Pan Wycieczka wydał wargi, wypowiadając słowo "bzdury". Jak gdyby on sam stał się na chwilę mrówkolwem wypływającym obrzydliwe resztki.

-- Wy róbcie, co chcecie. Ja stąd uciekam jutro bladym świtem. Pie szo. To nie Himalaje. W ciągu kilku godzin dotrę przez góry do najbliższej miejscowości.

-- Życzymy szerokiej drogi. -- Jaworski naprawdę bardzo chciał już zamknąć tę niedorzeczną dyskusję. -- My tymczasem zostajemy na festiwal.

-- Po moim trupie. -- Marek natychmiast pożałował tych słów.

-- Słuchaj no, gówniarzu! Może tego nie rozumiesz, bo zawsze się starałem, żeby to było dla was możliwie zabawne, ale chyba już pora, żebyś dorósł. Ty się zawsze bawisz. Podążasz za swoimi pasjami, szukasz wyzwania i emocji. I świetnie! Ale pieniądze nie rosną na drzewach. Wszystko, co masz: mieszkanie, własny pokój, wszystkie te pieprzone gry, masz dzięki mojej pracy, dzięki temu kanałowi. Jeżeli nie stworzymy naprawdę dobrego kontentu, jeżeli nie nagramy tych filmów... Nawet nie wiesz, jak szybko twój świat może się zawalić. Nie pozwolę, żeby atak hysterii zniszczył to, co wspólnie budowaliśmy latami. Nie pozwolę, słyszysz?!

Krzycząc, uniósł prawą rękę nad głowę. Chwilę później był pewien, że tylko po to, by nią machnąć w geście zrezygnowania. Ale najwyraźniej wyglądało to inaczej, bo nagle Marysia rzuciła się między niego a brata. Przecież nie zamierzał go uderzyć! A już na pewno nie zamierzał uderzyć jej... To wszystko wydarzyło się tak szybko...

Głośny płacz Marysi przerwał jego tyradę. Popatrzył na córeczkę i poczuł straszliwy wstyd.

Boże... Gdybym tylko mógł cofnąć czas, pomyślał. Skąd nagle ta wątpliwość? Przecież właściwie miał rację! Nie powiedział ani nie zrobił niczego złego. Gówniarzowi przewróciło się w głowie od dobrobytu.

Było już jednak za późno. Ogarnął go żal. Jakby coś zniszczył albo stracił... Cofnął się o krok, jak gdyby brał rozpęd... A potem ruszył na schody, przesunął Marka i pobiegł na górę. Trzasnęły drzwi do sypialni.

## 58.

-- Mało brakowało, a wyjechalibyśmy jeszcze dziś wieczorem.

Marta siedziała na murku okrakiem, a przyjaciółka naprzeciwko niej. Trzymały się za ręce i patrzyły sobie w oczy. Niebo nad Uśniejowem znów było bezchmurne i roziskrzone absurdalną liczbą gwiazd. Młoda Jaworska spoglądała na nie ze świadomością, że obracają się na wielkiej czarnej kopule, odmierzając czas, który pozostał jej do końca spotkania z Rudą. Chciałaby, żeby ta chwila trwała wiecznie. Nie wiedziała, że to jedno z najbardziej niebezpiecznych życzeń, jakie można wypowiedzieć. Wprawdzie żadna gwiazda akurat nie spadała, ale w ciemności krył się życzliwy Marcie byt, który wsłuchiwał się w jej pragnienia i pałał żądzą ich spełniania.

Marta opowiedziała przyjaciółce o akcji, którą jej brat odwalił w aquaparku. Starła się, żeby zabrzmiało to lekko, choć w gruncie rzeczy martwiła się o Marka. Ruda wysłuchiwała jej uważnie, ale nic nie powiedziała. Siedziały od dobrych kilku minut, wciąż trzymając się za ręce, patrząc sobie w oczy i milcząc. Nie była to niezręczna cisza, jaka czasem zapada między dwojgiem ludzi, którzy za bardzo lub zbyt słabo starają się porozumieć. Przeciwnie. Było to milczenie w sam raz -- niespieszne, niemające w sobie nic z niezręczności. Milczenie łączące dwie osoby, dla których porozumienie jest czymś oczywistym.

Jesteśmy sobie przeznaczone, pomyślała nagle Marta i sama się zdziwiła, skąd jej to przyszło do głowy. Zawsze byliśmy. Pod tymi magicznymi gwiazdami właśnie spełnia się nasz los.

-- Marta... -- Ruda mocniej ścisnęła jej dłonie. -- Muszę ci coś powiedzieć. To będzie nasza tajemnica. Nikt tutaj o tym nie wie. Ani mój stary, ani nikt w pracy, ani chłopaki, nawet z naszym wspólnym znajomym z biblioteki nigdy o tym nie rozmawiałam, chociaż mówię ci, że on jest naprawdę fajnym, wrażliwym gościem.

Marta wpatrywała się w nią, czekając, co powie. Czowała, że drżą jej ręce, a oddech wyraźnie przyspieszył.

Ruda puściła jej dłonie, po czym powoli podwinęła aż za łokieć najpierw jeden, a potem drugi rękaw. W pierwszej chwili Marta nie zrozumiała, co właściwie widzi. Odruchowo pochyliła się do przodu, po czym cofnęła się tak gwałtownie, że niemal spadła z murku. Ruda wykonała ruch, jakby chciała odwinąć rękawy z powrotem, speszona, że przeraziła lub -- co gorsza -- wzbudziła w przyjaciółce wstręt, ale Marta powstrzymała ją gestem. Położyła dłonie na jej dłoniach, a potem przeniosła je na przeguby i przedramiona Rudej. Dotykała ich opuszkami palców, jak gdyby odczytywała wiadomość zapisaną dziwną wersją alfabetu dla niewidomych.

Całe przedramiona Rudej -- od nadgarstków aż do zgięcia łokci -- pokryte były bliznami. Niektóre wydawały się stare, inne wyglądały na niepokojąco świeże. Wzgórki zrogowaciałej bliznowatej tkanki przecinały bladą skórę jeden koło drugiego, jak skiby na krzywo zaoranym polu. Czasem się łączyły, rozwidlały, zanikały i pojawiały z powrotem. Na rękach dziewczyny nie było ani jednego miejsca bez blizn.

Najpierw Marta pomyślała, że może to pamiątka po jakimś okropnym wypadku. Potem chciała zapytać, kto jej to zrobił. Wszystkie te myśli przeleciały jej przez głowę w mgnieniu oka, ale nim zdążyła powiedzieć cokolwiek, uświadomiła sobie, że prawda jest znacznie straszniejsza. Ruda zrobiła to sobie sama. Najwyraźniej okaleczała się od lat. Te blizny to był list zapisany pradawnym runicznym alfabetem. Dziewczyna wzywała pomocy, ale wyglądało na to, że wiadomości nigdy nie docierały do adresata.

-- To dlatego nawet w upał chodzę z długim rękawem. Teraz znasz sekret mojego unikalnego stylu. -- Ruda próbowała się zaśmiać, ale głos jej się załamał.

Marta przytuliła ją bardzo mocno. Pocałowała delikatnie najpierw jedną rękę dziewczyny, potem drugą. I jeszcze raz przytuliła przyjaciółkę. Zorientowała się, że też płacze. Ich łzy się zmieszały, kapiąc na murek jak spadające gwiazdy.

Teraz jej życzenie na pewno zostanie spełnione.

## 59.

Pan Wycieczka nie mógł spać.

Przeczytał córeczce wszystkie książeczki o odważnym Panu Kocie. W odpowiedzi usłyszał, że dziewczynka kocha jego i mamę kocio. Te słowa, zamiast go pokrzepić, piekły jak obtarcie, które przypomina o sobie przy każdym ruchu. Miał poczucie, że na tę miłość nie zasługuje. Czuł straszliwy wstyd i nie potrafił zrozumieć, skąd to się właściwie bierze.

A potem wstyd odszedł i pojawiła się inna, doskonale znajoma emocja. Lęk, który od wielu miesięcy nawiedzał go niemal co wieczór. Obawa, że to wszystko się zaraz zawali, że przeszarżował, przeinwestował, kupił zbyt dużo sprzętu i za wiele obiecał sponsorom. Znów dopadła go paraliżująca pewność, że jest oszustem. Oszukał pół miliona subskrybentów, oszukał Kosterę i ludzi z Eltronu, oszukał swoją rodzinę.

Nie ma pojęcia o prowadzeniu kanału na YouTube. Nie ma pojęcia o prowadzeniu biznesu. Za chwilę straci wszystkie pieniądze i wpadnie w długi. Wystarczy małe potknięcie. Jest jak hazardzista, który o przyszłość rodziny grał w ruletkę, natchniony urojeniem, że poznał tajemny system i ma przepis na wygraną.

A najgorsze było to, że wciąż musiał się uśmiechać. Bo kto chciałby oglądać ponurego klauna? Kto subskrybowałby smutnego youtubera?

## 60.

Marek też leżał w łóżku. Całą siłę woli wkładał w to, by nie spojrzeć na drewniane maszkarony. Jego wzrok przyzwyczaił się już do ciemności i chłopak starał się go zakotwiczyć w detalach drewnianego sufitu. Liczył słoje, wypatrywał w nich znajomych konturów, jakby się bawił w odgadywanie kształtów z chmur. Przypomnił sobie, jak kiedyś, mając kilka lat, patrzył z przedpokoju na horror oglądany przez rodziców. Czekał potem w swoim łóżeczku, przekonany, że potwór, który mordował po kolei członków załogi pięknej łodzi podwodnej, przyjdzie w końcu po niego. W ciemności widział jego obrzydliwe macki w kolorze zleżalego mięsa. Czuł, że to kara za złamanie zakazu rodziców, a jednocześnie tak bardzo chciał wezwać ich na pomoc. Wtedy też próbował zafiksować wzrok na czymś bezpiecznym, ale w miarę, jak stawał się coraz bardziej senny, znajome kształty rozpływały się i przybierały postać monstrum. Żarówka była oknem, pałak żyrandola -- wyciągniętą macką.

Od tamtej nocy minęło mnóstwo czasu. Marek nie spodziewał się, że potwór z mackami wróci. Że upomni się o niego po tylu latach. Czuł się bezpieczny, zwłaszcza po tym, jak dwa lata temu obejrzał sobie tamten horror na komputerze i zaskoczyło go, jak bardzo niestraszny i źle wykonany okazał się stwór z głębin.

A teraz potwór powrócił. Znowu czaił się w mroku. Nastolatek słyszał ćłapanie jego macek. To chyba faktycznie był wielki mrówkolew. Heniek ma rację, że stąd ucieka. Ale Marek nie miał siły uciekać. Czuł, że jego energia się wyczerpała. Mimo paraliżującego strachu, a może właśnie z jego powodu, zasypiał.

Znowu pędził przez czerwony tunel. Niosła go rzeka krwi.



## 61.

Tego wieczoru Heniek wypił nieco mniej i wcześniej podniósł się od stolika. Wyruszy jutro skoro świt. Ucieknie stąd i nigdy nie wróci. Wątpił zresztą, żeby w to miejsce w ogóle dało się wrócić.

Będzie mu brakowało tego baru. Będzie mu brakowało tego miasteczka. Tak wiele rzeczy go tu zachwyciło!

I to właśnie było zaskakujące. W części mózgu, która odpowiadała za przetwarzanie wrażeń przeczących wszystkiemu, w co nauczono go wierzyć, krystalizowała się myśl, która coraz silniej próbowała się przebić na powierzchnię. Nie potrafił jeszcze wyartykułować jej w pełni, ale obraz mrówkolwa, który przyszedł mu do głowy przy kolacji, dobrze oddawał jej charakter. Ta miejscowość była lejem. Wszelkie świetne wrażenia, nawet ten bar, były ziarnkami piasku rzucanymi w nieświadomą zagrozenia mrówkę. A to, co czało się na dole leja... Na razie wciąż przerastało wyobraźnię Heńka. I może lepiej niech tak zostanie, pomyślał.

Zapłacił rachunek i powoli skierował się do wyjścia. Otworzył ciężkie drewniane drzwi. Owionęło go rześkie nocne powietrze. Z baru wychodziło się po kilku stromych schodkach (niebezpieczne rozwiązanie w przybytku serwującym tani alkohol). Teraz stało na nich trzech wyrostków, z namaszczaniem puszczających parę z elektronicznych papierosów. Heniek zatrzymał się nad nimi, licząc, że go przepuszczą. Przeliczył się.

Chrząknął. Bez rezultatu. Najwyraźniej palenie e-papierosów źle robi na słuch.

-- Przepraszam -- burknął. Jak zwykle w takich sytuacjach zadbał, by w tonie jego głosu nie wybrzmiała przypadkiem intencja przeproszenia kogokolwiek. A jednak...

-- Przeprosiny przyjęte. -- Młokos stojący najwyżej obdarzył go bardzo złośliwym uśmiechem.

Heniek z impetem ruszył naprzód, ale chłopak zablokował go bar-kiem.

-- Uważaj, dziadku, bo się poobijasz.

Stary hipis przez całe życie wierzył w to, że w naturze stworzenia dzielą się na drapieżniki i ofiary. Ludzie nie są wyjątkiem. To było jego credo. Jesteśmy częścią natury. Kto nie jest drapieżnikiem, staje się ofiarą. Dawno temu, nim wymyśliliśmy państwa, miasta, plemiona i rodziny, żyliśmy w stadach. Między samcami w stadzie toczyła się nieustanna walka o prymat. Słabi rzucali wyzwanie silnym, silni odpowiadali, potwierdzając swój status. On należał do silnych. Nie był ofiarą, był drapieżnikiem.

-- Zmykaj, synku, zanim ci się coś złego przytrafi...

# **DZIEŃ TRZECI**

## 62.

Czasem życie po prostu nas zaskakuje. A czasem nie poprzestaje na tym i funduje nam numer jak z amerykańskiego filmu o wielkim napadzie na bank. Spodziewasz się zaskoczenia -- bo przecież film jest o wielkim przekręcie -- ale przekręt polega na tym, że przekrętu nie będzie. Sojusznik okazuje się zdrajcą, zdrajca ostatecznie okazuje się sojusznikiem, podwójne zapętlenie, potrójne...

Jaworski nie był miłośnikiem filmów akcji, ale takie właśnie było jego skojarzenie, kiedy potem próbował sobie jakoś poukładać w głowie, co tu się właściwie wydarzyło. I zrozumieć, jak to się stało, że w niedzielny poranek nie opuścił Uśniejowa ani na chwilę.

Tym razem Pan Wycieczka był zdeterminowany i nie bacząc na dobre obyczaje, wybrał się do mechanika jeszcze przed śniadaniem. Facet mieszkał nad warsztatem. Jaworski się nie łudził, że suvan będzie zrobotyzowany. W końcu była niedziela. Miał jednak nadzieję, że dzwonek przed dziewiątą skutecznie zachęci Żmihorskiego, żeby zabrał się do pracy w poniedziałek z samego rana. Tylko tyle.

Wielkie było więc jego zdziwienie, gdy się okazało, że brama warsztatu jest otwarta, a samochód -- naprawiony.

-- Wystarczyło wyciągnąć, mówiłem! -- Żmihorski rażno pomachał gałęzią, która wyglądała jak wielka kościana łapa. -- Obyło się bez odkręcenia choćby jednej śrubki.

-- I siedział pan nad tym w sobotę wieczór?!

Niewiele rzeczy było w stanie aż tak zaskoczyć Jaworskiego.

-- Można powiedzieć, że nawet w nocy, bo przy poprzednim aucie mocno mi się przedłużyło. -- W głosie Żmihorskiego zadźwięczała duma. -- Ale nie ma o czym mówić. W zasadzie zrobiłem to dla siebie. Chciałem mieć spokój na festiwal. Mam tu jeszcze jeden akumulator do wymiany, więc może chwilę się spóźnię na otwarcie o jedenastej, ale na większość atrakcji mam nadzieję się załapać.

Jaworski zapłacił, odebrał kluczyki, uściśnął łokieć mechanika, który dłużył już przy kolejnym aucie, wsiadł do suvana i odjechał. Tak

po prostu.

Nic nie dudniło, nie stukało, silnik pracował normalnie. To była tylko głupia gałąź. Odetchnął z ulgą. Dopiero teraz przyznał przed sobą, że gdzieś w głębi podzielał niepokój syna. Chwilami też mu się wydawało, że to miasteczko jest pułapką. Trzyma ich i nie chce wypuścić. Ale teraz siedział bezpiecznie w swoim samochodzie i będzie mógł odjechać, kiedy tylko zechce. Nic go nie zatrzymywało.

Popatrzył na zegarek. Było dziesięć po dziewiątej. Zaczął szybko liczyć. Gdyby teraz pojechał do sąsiedniej miejscowości i spędził tam, powiedzmy, dwadzieścia minut, może trzydzieści -- dwa szybkie telefony i aktualizacja statusów w mediach społecznościowych -- byłby z powrotem po jedenastej. Szkoda tego otwarcia festiwalu. Skoro Żmihorski tak się na nie spieszył, musi być wyjątkowe.

Teraz, gdy już ma samochód, w zasadzie nie musi się stresować. Nie ma pośpiechu. Może pojechać na festiwal, zobaczyć otwarcie, rozejrzeć się, a sprawy poza miastem pozałatwiać w porze obiadowej, kiedy większość turystów i tak wyskoczy coś przekąsić.

Zajechał przed domek starszych państwa i pobiegł na śniadanie. Znów spojrzął na zegarek. Jeżeli się pospieszą, zameldują się w starym parku zdrojowym jeszcze przed jedenastą.

## 63.

Kiedy Jaworski wbiegł do izby, rodzinna narada trwała w najlepsze. Marek przez noc nie zmienił zdania. Przeciwnie -- tylko utwierdził się w przekonaniu, że z tym miejscem jest coś nie w porządku. Wrodzona staranność sprawiła nawet, że przygotował sobie kartkę z argumentami, którą wymachiwał teraz przed oczyma kolejnych członków rodziny.

-- Kłóćmy się, jedząc -- zaproponował Pan Wycieczka od progu. -- Dziś wyjątkowo jest pozwolenie na mówienie z pełnymi ustami. Byle bez plucia. Jeśli się pospieszymy, zdążymy na jedenastą. Mamy suvana!

-- Wspaniale, uciekajmy -- wydyszał Marek ściszym głosem, mając nadzieję, że gospodyni nie usłyszy. Zaczął być podejrzliwy także wobec starszych państwa.

W odpowiedzi Marta zakreśliła palcem wskazującym kilka kółek na skroni, sugerując, że chłopakowi obluzowała się śrubka od tych szaleństw na zjeżdżalni.

-- Widziałem to. -- Marek próbował kopnąć siostrę pod stołem, ale siedziała za daleko. -- Moim zdaniem powinniśmy wziąć przykład z Heńka i zniknąć stąd czym prędzej.

-- Nawet do widzenia nie powiedział... -- zauważyła Natalia, chyba bardziej z matczynej potrzeby przypominania dzieciom o dobrych manierach niż z rzeczywistego żalu. Miała wrażenie, że relacja z przypadkowym autostopowiczem i tak była o dwa dni za długa.

Ledwie wypowiedziała te słowa, a z góry dobiegł odgłos szurania, który płynnie przeszedł w nierówne, synkopowane kroki na schodach.

-- O wilku mowa! -- Pan Wycieczka nie robił sobie nadziei, że pozbędą się Heńka tak łatwo.

Faktycznie wyglądał jak wilk. Stary, siwy, wciąż jeszcze śniący o przywództwie w stadzie. A teraz w dodatku okulały.

-- Co się panu stało? -- Marysia zadała pytanie, które nasuwało się wszystkim.

-- Spadłem ze schodków -- wycedził Heniek przez zęby, po czym zwałił się na drewnianą ławę. Chodzenie wyraźnie sprawiało mu ból.

-- Czyli nici z samotnej wyprawy przez góry? -- spytał Marek. -- Nie ma pan wrażenia, że to dziwne? Skręcił pan nogę akurat wtedy, gdy zdecydował się pan uciec.

Heniek zastanowił się nad tym. Najpierw pomyślał, że to oczywista bzdura. Skręcona noga była rezultatem bójk. W zasadzie można powiedzieć, że sam tę bójkę sprowokował. Ale właściwie... Miał wrażenie, że to wszystko nie wydarzyło się przypadkiem. Jak gdyby... wpadł w starannie zastawione sidła. Znow pomyślał o mrówkolwie i jego piaszkowym leju.

-- Wyjedźmy. Teraz. -- Marek raz jeszcze przypuścił frontalny atak.

-- Nie pożegnałam się -- Marta próbowała zaapelować do jego ludzkich uczuć.

-- No i co z festiwalem? -- Ojciec nerwowo spojrzał na zegarek.

-- Nie podoba mi się tutaj. Wyjedźmy, proszę.

-- Ale ten festiwal to spektakularne wydarzenie! -- Jaworski tłumaczył synowi z rosnącym zniecierpliwieniem. Czuł, że lada moment puszcza mu nerwy. -- Potrzebujemy właśnie takiego materiału. Potrzebujemy czegoś ekstra. Wujek Karol, jeżeli dobrze pamiętam, też wspominał o tym festiwalu. Podobno jest niesamowity.

-- Gdy już mieliśmy wyjeżdżać, okazało się nagle, zupełnie przypadkiem, że w mieście akurat jest festiwal... -- Marek czuł, że to brzmi paranoicznie, ale wiedział też, że ma rację.

Ojciec wzruszył ramionami. Popatrzył na syna zaskoczony.

-- Czy nie wydaje wam się dziwne, że zawsze dostajemy tutaj to, czego chcemy? -- ciągnął nastolatek.

-- Jedziemy na festiwal. Koniec tematu. Tego chcę. I dostanę to, gwarantuję ci, choćbym miał cię tam dowieźć w bagażniku. Macie dokładnie siedem minut, żeby umyć zęby, przebrać się i spakować potrzebny sprzęt. Za siedem minut widzimy się przy samochodzie. Teraz już sześć minut i czterdzieści pięć sekund.

## 64.

Gdy Marta wróciła do pokoju po pospiesznym umyciu zębów, Marek siedział na łóżku z twarzą w dłoniach. Wyglądał, jakby płakał, ale Marta wiedziała, że po prostu tak siedzi. To było nawet straszniejsze. Siostrze zrobiło się go żal.

Wystarczyła chwila nieuwagi i dopuściła do siebie myśl, że brat może mieć rację. Ta myśl była ohydna. Marta poczuła, jakby szukając po omacku, dotknęła przypadkiem jakiegoś cuchnącego ochłapu tam, gdzie spodziewała się znaleźć kaptcie z króliczkiem.

Z tym miejscem jest coś nie tak. Jej brat ma rację. I ona o tym wie. Nie chce dopuścić do siebie tej myśli, bo natychmiastowy wyjazd oznaczałby rozstanie z Rudą -- koniec epickich imprez, wieczorków na murku, śmiechu, płaczu... Ale gdzieś w głębi od dłuższego czasu czuła, że wokół nich zamyka się pułapka. Jakby trafili na pokaz jednego z tych cudownych urządzeń kuchennych, które znajomi zachwalają znajomym. Jeszcze jedna pyszna potrawa, jeszcze deserek i spróbujemy zamknąć transakcję. Kredyt na milion lat, przystępnie rosnące raty... To, co Marek powiedział przy śniadaniu, było szczególnie niepokojące. Co to znaczy: "Zawsze dostajemy tutaj to, czego chcemy"? Przecież wiedziała. Tylko nie chciała się przyznać. Nawet przed sobą.

-- Ja ci wierzę... -- Usiadła koło niego. -- Ale musimy się zachowywać rozsądnie.

Popatrzył na nią badawczo.

-- Sądysz, że ta... dziwność ma coś wspólnego z Czerwoną Kasztelanową i innymi strasznymi rzeczami, które wyczytaliśmy w bibliotece? -- zapytała. -- Że znaleźliśmy nasze indiańskie cmentarzysko?

Marek pokręcił głową.

-- Ale w bibliotece mówiłeś, że to potwierdza twoją hipotezę...

-- Bo potwierdza. Ale w inny sposób, niż myślisz. -- Położył ręce na kolanach i zaczął mówić bardzo powoli. Jak gdyby tłumaczył dziecku skomplikowane zjawisko fizyczne. Albo jak gdyby mówienie o tym sprawiało mu ból.



Marta przypomniała sobie, jak w zeszłym roku Markowi zaropiał ząb, bo przez dwa miesiące nie dał się zapisać do dentysty. Miał dokładnie taką samą minę!

-- To właśnie wizyta w bibliotece naprowadziła mnie na trop, który teraz wydaje mi się oczywisty -- ciągnął, ledwo otwierając przy tym usta. -- Pytasz, czy znaleźliśmy indiańskie cmentarzysko. Właściwie tak. I to z pięć. Uwielbiam takie zagadki, uwielbiam questy jak w grach komputerowych. Więc dostałem wskazówki, zadania i łamigłówkę do rozwiązania. Tylko że to oznacza, że kasztelanowa i wszystkie te historie to tylko czerwony śledź. Tak się mówi na fałszywy trop, rzucony dla odwrócenia uwagi. Rozumiesz?

-- Chyba nie do końca...

-- Wzięliśmy te książki, żeby znaleźć coś ciekawego, i znajdowaliśmy coraz ciekawsze rzeczy. W tym mieście za każdym razem tak jest. Coś lub ktoś podrzuca nam dokładnie to, czego chcemy.

-- Oprócz internetu...

Marek spróbował się uśmiechnąć.

-- Została minuta. Naprawdę musimy iść.

## 65.

Pan Wycieczka nie spodziewał się, że tak szybko pożałuje odzyskania samochodu. To właśnie za jego sprawą przeżył w to słoneczne niedzielne przedpołudnie prawdziwy horror.

Na początku nic nie zapowiadało katastrofy. Zapakowali się całą rodziną do wehikułu, miejsca starczyło też dla okulałego towarzysza podróży. Marek milczał i trudno było ocenić, czy jest przerażony, czy wściekły. Nie odzywała się także Marta, zatopiona w rozmyślaniach o miejscu, w którym zawsze dostaje się to, czego się chce. Na szczęście przynajmniej najmłodsze dziecko Jaworskich nie zaprzętało sobie głowy dziwacznością Uśniejowa, zajęte zupełnie innym problemem natury metafizycznej (a może również etycznej): z czym można zrobić pierogi. Przez całą drogę do starego parku zdrojowego Marysia wymieniała coraz dziwniejsze produkty, upewniając się, czy można by ulepić pierogi z tuńczykiem, porem, koralikami, groszkiem, dżemem, nutellą, nutellą i dżemem, tymi kłaczkami, co się robią w domu na dywanie, piaskiem, mokrym piaskiem, psią kupą, brukselką... Każdy nowy pomysł na pierogi skutkował kolejnym wybuchem śmiechu. Dzięki temu rodzinie nie groziła pełna napięcia cisza.

Jaworscy nigdy się nie dowiedzieli, jakie były granice pierogowej inwencji Marysi.

-- O, Boże... -- Pan Wycieczka nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył, kiedy z głównej ulicy skręcił w drogę prowadzącą do parku. -- Nie ma szans, żebyśmy zdążyli na jedenastą.

Zaczął się horror, bo tak trzeba nazwać poszukiwanie miejsca parkingowego podczas dużego wydarzenia w małej miejscowości.

-- Cofnij się do głównej ulicy -- poradziła Natalia. -- Zawróć od razu, zanim wpadniesz w ten korek.

-- Może przy samym parku są jakieś tymczasowe parkingi? -- Marta także postanowiła pospieszyć z dobrą radą.

-- Zawracaj, zawracaj, póki jeszcze możesz!

-- Przestańcie gadać! Przecież mam oczy i widzę, co się dzieje.

Tuż za nimi rozległ się przeciągły dźwięk klaksonu.

-- No pięknie, teraz już stąd nie wyjedziemy. Jesteśmy uwięzieni.

## 66.

Z powodu samochodowej apokalipsy Jaworskich ominęło spektakularne otwarcie dorocznego festiwalu pierogów. Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, dochodziła dwunasta i scena ustawiona w parku była już na wpół opustoszała. Niespiesznym przygotowaniom do koncertu tutejszego dziecięcego zespołu pieśni i tańca towarzyszyła nieciekawa muzyka z playbacku.

-- Równie dobrze mogliśmy zostawić samochód pod domem i przyjść pieszo. -- Pan Wycieczka kręcił się wokół własnej osi, próbując jak najszybciej zorientować się w topografii przedsięwzięcia. -- Wygląda na to, że centrum imprezy jest ta scena. Zaraz sprawdzimy program. W parku rozmieszczone są stoiska, nazywane dumnie pawilonami, w których można spróbować pierogów.

-- Tak jest! -- odezwał się nagle głos za nimi.

Odwrócili się, spodziewając się Pani z Okienka, ale ujrzeni inną, nieznaną im kobietę. Nieco starszą i tęższą od tamtej, ale nie mniej entuzjastycznie nastawioną.

-- Mamy w tym roku łącznie sześćdziesiąt jeden pawilonów. To absolutny rekord. Każdy, kto coś znaczy w okolicy, prezentuje dziś swoje wyroby. Lokalne restauracje i bary, koła gospodyń z kilku okolicznych wsi, uczniowie szkoły, ale też parę tutejszych firm, a nawet ratusz. Od dwunastej uśniejowskie pierožki serwuje burmistrz we własnej osobie. Cały dochód z imprezy idzie na cel charytatywny. W tamtej kasie kupujecie karnet. -- Wskazała ręką. -- Jest na nim sześćdziesiąt jeden okienek... Właściwie sześćdziesiąt dwa, ale jeden z uczestników wykruszył się nam dosłownie w ostatniej chwili. Zdarzenie losowe. W każdym pawilonie oprócz pierogów mają pieczętkę, którą przystawiają wam w odpowiednim miejscu. Częstujecie się pierogiem i zgarniacie pieczętkę. Komplet pieczętek daje wam zaszczytny tytuł pierogożercy i udział w loterii. W tym roku, przy sześćdziesięciu jeden pawilonach, to prawdziwe wyzwanie, więc warto zacząć jak najwcześniej i rozsądnie rozkładać siły. Ludzie często myślą, że pójdzie im lepiej, jeżeli nie będą popi-

jać pierogów. Jeśli chcecie posłuchać mojej rady -- nie idźcie tą drogą. Jak zapomnicie o napojach, to zapchacie się najdalej koło trzydziestego pieroga. Mój sposób jest dokładnie odwrotny: chodzi o to, żeby pić dużo przez całą imprezę.

Marek zmierzył ją wzrokiem. Faktycznie wyglądała, jakby już coś wypila.

-- Dziękujemy za wskazówki. -- Pan Wycieczka odwrócił się w kierunku kas, w których sprzedawano karnety. Miał mocne postanowienie, że spróbuje wszystkich pierogów i uwieczni swą heroiczną walkę dla youtube'owej społeczności.

-- Jak jesteście z dziećmiakami, to koniecznie zajrzyjcie do labiryntu! -- rzuciła im na odchodne entuzjastka picia, długim szponiastym paluchem wskazując na konstrukcję wyciętą z żywopłotu w samym środku parku. Marek poczuł, że przechodzi go dreszcz.

-- Po tym, co przeżyłem na zjeżdżalni, za żadne skarby tam nie wejść -- wychrypiał.

-- Może słusznie... -- Pan Wycieczka zmierzył wzrokiem labirynt. -- Tym razem odpuścimy. Przy tutejszym podejściu do atrakcji turystycznych w labiryncie mogłyby nas zastać pierwsze przymrozki.

Ustawili się w kolejce do kas. Ogonek był długi, ale sprzedaż biletów szła sprawnie. Nic dziwnego. Zawsze idzie sprawnie, kiedy człowiek spada w dół leja, pomyślał Marek. Przeszkody pojawiają się dopiero wtedy, gdy istnieje ryzyko, że spróbuje się wydostać. Wciągnąć głębiej i opóźnić, wciągnąć głębiej i opóźnić... Cokolwiek siedzi na dnie piaskowego leja, taką właśnie przyjęło strategię. Chłopak popatrzył na labirynt... Może to gnieździ się właśnie tam? Może to jest serce miasta? Ciemne miejsce, do którego nie wolno się zapuszczać nawet Królowi Wycieczek i jego świcie?

-- Dobra. Mam tu komplet karnetów. Rozdzielamy się i próbujemy zobaczyć jak najwięcej. Telefony w dłoń, aparaty. Zbiórka w tym miejscu o... -- Jaworski spojrział na zegarek. -- Piętnasta trzydzieści będzie okej?

## 67.

"Grapa", przez jedno "p", głosił napis nad niewielką drewnianą chatką, wokół której kłębił się tłumek turystów. Marta się zatrzymała i z pewnej odległości obserwowała charakterystyczną postać krzątającą się za ladą. Rozpoznała znajomy śmiech i głos, gdy Ruda przekomarzyła się z turystą pytającym o możliwość zdobycia dwóch pieczętek w jednym miejscu.

Zastanawiała się, czy podejść od razu, czy może pierogi z Grapy zostawić sobie na później. Będzie miała na co czekać...

Moment wahania wykorzystał inny znajomy.

-- Witam szanowną panią! -- Okularnik z biblioteki miał na sobie nietypowy strój i Marcie zajęło chwilę, zanim go rozpoznała.

-- Co to za mundur? Nie jesteś przypadkiem ratownikiem?

-- Jestem. Wszystko się zgadza. -- Chłopak się uśmiechnął, chyba z dumą. -- Ale też należę do tutejszej Ochotniczej Straży Pożarnej i tę właśnie naszą instytucję mam dziś przyjemność reprezentować. Najpierw kulinarnie, a wieczorem profesjonalnie. Nasza obecność jest zawsze bardzo pożądana po zmierzchu, kiedy rozpoczyna się święto ognia, zwane również wieczorem płonącego pieroga.

-- Naprawdę będziecie podpalać pierogi?

-- My to raczej będziemy gasić, gdyby coś poszło nie tak... -- zaśmiał się chłopak. -- Ale tak. Będzie podpalanie pierogów i specjalnych dekoracji rozstawionych dookoła parku. Trudno to opisać. Pokazałbym ci zdjęcia z zeszłego roku na stronie miasta, ale wyobraź sobie...

Zachichotali oboje, choć Marta miała wrażenie, że śmieje się raczej dla towarzystwa niż dlatego, że jest jej wesoło. Ta awaria już dawno przestała być zabawna i zaczęła się robić dziwna.

-- A teraz musisz koniecznie spróbować naszych ognistych pierogów. -- Okularnik schwycił ją za ramię, ale momentalnie cofnął rękę. -- Oczywiście jeżeli masz ochotę, bo nie chciałbym się narzucać...

Marta machnęła ręką, pokazując, że puszcza w niepamięć ich niefortunne pierwsze spotkanie, i poszła za chłopakiem do drewnianej

chatki ozdobionej literami OSP.

-- Ogniste pierogi, powiadasz? -- zagadnęła, stając przed ladą. -- A to nie miała być przypadkiem atrakcja wieczoru?

-- Nie, nie... -- Chłopak uśmiechnął się tajemniczo. -- Atrakcją wieczoru będą płonące pierogi. Te są ogniste. Istotna różnica.

Podsunał jej na talerzyku parujący pierożek w kolorze strażackiej czerwieni. Wyglądał apetycznie.

-- Dla koloru dodajemy do ciasta odrobinę słodkiej papryki.

Marta przekroiła pierożek drewnianym widelczykiem. W środku znajdowała się bura masa. Wyglądało to na twaróg z przyprawami. Na biła pierożek na sztuciec i włożyła do ust.

Super. Bardzo zabawne. A jakie oryginalne!

-- A pikantną paprykę dodajemy do nadzienia. -- Młody strażak zachichotał, podając dziewczynie wodę w plastikowym kubku.

Pieróg był diabelnie ostry. W pełni zasługiwał na swą nazwę. Marta nigdy nie rozumiała, po co właściwie produkować i konsumować jedzenie, które jest tak pikantne, że nie da się poczuć żadnego smaku. Ale nie lubiła przegrywać, zwłaszcza z chłopakami.

Gestem podziękowała za wodę i jednym kłapnięciem pochłonęła drugą połowę pieroga.

-- To chyba musicie popracować nad recepturą. Na festiwalu gulaszu by was wyśmiali.

Okularnik z uznaniem pokiwał głową. Z wrażenia sam napił się wody. Chciał, żeby wyszło to nonszalancko, ale zadławił się i zaczął kaszleć.

-- Wszystko w porządku? -- zapytała Marta z udawaną troską. -- Topisz się? Wezwać ratownika?

I właśnie w tym momencie absolutnego triumfu Marty do akcji wkroczyła Ruda, waląc chłopaka otwartą dłonią w plecy.

-- Oddychaj! -- wrzasnęła. -- Po prostu oddychaj!

Marta nie wiedziała, jak długo przyjaciółka stała i przyglądała się sytuacji, ale była prawie pewna, że miała okazję obejrzeć jej popis. I była z siebie bardzo dumna.

-- To może dla odmiany spróbujesz czegoś smacznego?



## 68.

-- Kochani, coś niesamowitego! Pierogi z serem i miętą, pierogi z czekoladą, pierogi z powidłami i chili, puste pierogi nadmuchiwane helem... Szkoda, że nie możecie tego wszystkiego spróbować. Ale dzięki nam możecie to chociaż zobaczyć. Jestem właśnie przy stoisku prowadzonym przez uczniów tutejszej podstawówki. Cześć, dzieciaki!

Widzę, że przygotowałyście naprawdę dużo pierogów. Z czym są te pierogi? Z czym? A głośniej troszkę? Z jagodami! Same zbierałyście te jagody? Super. No to gratuluję. Kazali wam przyjść do szkoły w wakacje? Nieludzkie!

Kochani, rewelacyjne pierogi z jagodami. Chyba najlepsze, jakie w życiu jadłem. Chociaż etyczne aspekty przedsięwzięcia budzą pewne wątpliwości.

To szesnasta edycja festiwalu pierogów w Uśniejowie, nie jest to zatem bardzo stara impreza, ale ma już renomę. I oczywiście nawiązuje do znacznie starszych tradycji. Tutejsza kultura kulinarna to fascynująca mieszanka różnych wpływów i inspiracji, jej bazą są oczywiście zwyczaje i przepisy łemkowskie. Stąd właśnie pochodzi wiele pomysłów na pierogi, a także na mniejsze od nich, lecz równie smakowite zlepieńce. Te przepisy, oparte zwykle na ziemniakach, twarogu, ziołach i słoninie, od kilku lat się rozwija i wzbogaca o wszystko, co tylko komu przyjdzie na myśl. Składniki z całego świata, przeróżne smaki, kolory i konsystencje spotykają się w tych pierogach, tworząc najmniej oczekiwane połączenia. Większość, muszę przyznać, jest przepyszna. Jestem dopiero w jednej trzeciej dzisiejszej kulinarnej podróży, nie wiem, czy widać dobrze ten karnet, ale czuję, że po dwudziestu pierogach muszę sobie zrobić chwilę przerwy.

No i oczywiście nie byłby to Uśniejów, gdybyśmy nie spotkali tu naszego starego znajomego kasztelana Bolka i jego ekscentrycznej małżonki. W pawilonie zamkowym usłyszałem kolejną wersję legendy o Czerwonej Kasztelanowej, z której się dowiedziałem, że pierogi z lo-

kalnymi ziołami to afrodyzjak o niezwyklej mocy. Wzięliśmy porcję na wynos i zamierzamy się o tym przekonać. Prawda, kochanie?

Tak czy owak, podobno najlepsze czeka nas dopiero wieczorem, jeżeli tylko te chmury nie pokrzyżują nam planów. Ma się odbyć święto ognia i pierogów, co łącznie daje płonące pierogi. Ciekaw jestem, jak to będzie wyglądało.

## 69.

-- Mamo, a czy muszę każdego pieroga spróbować tylko raz? -- dopytywała Marysia. -- Dlaczego nie mogę zjeść sześćdziesięciu pierożków z czekoladą? Są takie dobre.

Natalia się uśmiechnęła, próbując wytrzeć chusteczką umorusaną buzię córeczki.

-- Warto próbować nowych rzeczy...

-- Ale te pierogi to nowa rzecz -- przekonywała ją rezolutna dziewczynka. -- Nigdy wcześniej nie jadłam pierogów z czekoladą!

Natalia pokręciła głową, ale ostatecznie zgodziła się na jeszcze jednego pieroga z czekoladą. Faktycznie były pyszne. Jak wszystko tutaj. Ciekawe, z czego to wynika. Może to rzeczywiście zasługa wody? A może świeżego górskiego powietrza?

Zamówiła kawę i usiadły przy niewielkim stoliku. Marysia z zapalem pałaszowała kolejnego pierożka, a Natalia rozglądała się po terenie festiwalu. Wypatrzyła Martę wesoło przekomarzającą się z jakąś dziewczyną. Zwykle córka miała problem z nawiązywaniem znajomości, a tutaj momentalnie poznała dzieciaki w swoim wieku. To miejsce naprawdę było magiczne.

Kilkanaście metrów dalej, przy stoisku prowadzonym przez dzieci z podstawówki, stał jej mąż. W ręku trzymał telefon i najwyraźniej właśnie nagrywał kolejny materiał, ale gdy napotkał jej wzrok, przerwał na chwilę i do niej pomachał. Coś nawet zawołał. Nie usłyszała dobrze co, ale na jego: "Prawda, kochanie?" automatycznie odpowiedziała: "Prawda!" i się uśmiechnęła. Czy to możliwe, że jednak wciąż go kochała?

Tak. Kochała ich wszystkich. Nie mogła zrozumieć, jakim cudem jeszcze kilka dni temu planowała rozbić tę wspaniałą rodzinę. To śmieszne, ale teraz nawet nie potrafiła sobie przypomnieć, co właściwie tak ją rozchwiało psychicznie i dlaczego rozważała odejście.

Kątem oka dostrzegła Marka. Zbliżał się do pawilonu prowadzonego przez pracowników tutejszego skansenu, który mieli już okazję

dobrze poznać. Wielkie drewniane litery zawieszono nad ladą układały się w słowa "Chłopska gościnność". Pod nimi Natalia dostrzegła znajomą postać Pani z Okienka. Będzie trzeba podejść i się przywitać. Ciekawe, jakie tam serwują pierogi? Marek wyglądał już trochę lepiej. Wciąż był przygarbiony i wydawał się wyczerpany, ale przemieszczał się z miejsca na miejsce w miarę normalnie, biorąc udział w festiwalu. Był taki kruchy i delikatny. Wydawało mu się, że jest już dorosły, zawsze był przesadnie ambitny -- starsza siostra ciągnęła go w górę. Ale to w gruncie rzeczy jeszcze dziecko. Powinna o tym pamiętać. Łagodniej się z nim obchodzić, tonować reakcje ojca.

Nastolatek stał teraz w kolejce do pawilonu. Przed nim czekały jeszcze dwie rodziny i samotny facet, ubrany stanowczo za grubo jak na panującą pogodę. Marek w zamyśleniu spojrzał w górę i nagle wydarzyło się coś zaskakującego.

Chłopak odskoczył, jakby zobaczył ducha. Natalia widziała, jak w panice zaczął się rozglądać dookoła. Gdy tylko ją wypatrzył, puścił się pędem w jej stronę, krzycząc coś, czego początkowo nie była w stanie zrozumieć wśród panującego zgiełku.

## 70.

Kilka minut wcześniej Marek podszedł niepewnie do jednego ze stoisk. Skansen nie był zły. Ta myśl przyświecała mu, gdy zdecydował się odwiedzić pawilon poświęcony kulturze wsi.

Przecież nie zamkną mnie w wielkim krwawym pierogu, prawda?

Ustawił się cierpliwie w kolejce i zagapił bezmyślnie na plecy turysty stojącego przed nim. Facet miał na sobie pikowaną puchową kurtkę w kolorze kamizelki ratunkowej. Może nie zimową, ale na pewno późnojesienną. Przy dwudziestu kilku stopniach, w pełnym słońcu. Czy on się tam w środku nie gotuje? Wyglądał, jakby się tu zawieruszył w sezonie narciarskim, przespał cztery czy pięć miesięcy pod jakimś kamieniem, a teraz się zbudził, skuszony apetyczną wonią pierogów. Z pawilonu faktycznie wydobywał się wspaniały zapach.

-- "Chłopska gościnność" -- przeczytał napis nad stoiskiem. -- Dobry motyw. Pasuje zarówno do pierogów, jak i do skansenu.

Ze środka dobiegł charakterystyczny, leciutko zachrypnięty alt Pani z Okienka:

-- To jest świetna okazja, aby sobie uświadomić, że kultura chłopska w Polsce nie była kulturą zbytku, lecz niedostatku -- wyjaśniała, jak zawsze, z pasją. -- Aż do początku dwudziestego wieku na przednówku niedobory pożywienia regularnie dziesiątkowały całe wsie. A i latem zdarzało się, że jedzenia nie starczało dla wszystkich.

W źródłach z epoki znajdziemy przerażające historie o ludziach codziennie wykonujących niezwykle ciężką fizyczną pracę w warunkach skrajnego niedoboru kalorii. O, na przykład taka opowieść o żniwiarzach, którzy przed pracą w polu najedli się tego, co akurat mieli, czyli na przykład śmierdzących zieleniną młodych ziemniaków, i poszli żąć zboże. (To wszystko z autentycznego chłopskiego pamiętnika!) Z początku taki człowiek miarowo i dosyć szeroko wodził kosą po ziemi, ściągając pochylone kłosa zboża. Ale z czasem, gdy słońce wznosiło się nad horyzontem, opadał z sił, topniał. Pokosy za nim zostawały coraz węższe, aż wreszcie upał i głód pokonywały ludzkiego ducha. Chłop się za-

trzymawał, opierał na kosie, jego nogi, które nie mogły udźwignąć ciężaru, zginały się w kolanach i padał zemdlony. Tak właśnie narodziły się opowieści o południcach czających się w słońcu na nierozważnych żniwiarzy.

W najdawniejszych czasach chłopci jedli właściwie tylko zboże i produkty zbożowe: kasze, kluski, chleb. Zwierzęta, owszem, hodowali, ale na pański stół, nie na własny. Później chłopskiej doli ulżył nieco ziemniak. Na śniadanie były ziemniaki z mlekiem, na obiad -- kraszone albo bryzgane, skropione odrobiną oleju, na kolację nie było nic.

Co to oznacza? Ano to, że wszelkie stragany z chłopskim jadłem, chłopskie mięsiwa i wędliny w supermarketach to wszystko ściema mająca niewiele wspólnego z prawdziwą tradycją. Prawdziwego chłopskiego jada sprzed lat do ust byście nie wzięli.

Ale był jeden wyjątek. I właśnie o tym wyjątku opowiadamy dzisiaj w naszym pawilonie. Kuchnia chłopska zmieniała się, gdy do domu zachodzili goście. Kiedy przypadły uroczystości rodzinne, przyjmowanie księdza, a także sytuacje, w sumie nieczęste, gdy do chłopskich izb trafiali zbłąkani wędrowcy, a więc ludzie z zewnątrz, spoza lokalnych громад. Kimkolwiek byli goście, traktowano ich lepiej niż domowników.

Prawa gościnności były święte i chłopci, niczym ewangeliczna wdowa, potrafili się hojnie dzielić nie swoim bogactwem, lecz właśnie ubóstwem...

Gościnność... Gościnność... Marek czuł, że coraz bardziej koncentruje uwagę, jak soczewka skupiająca promienie. I nagle przebił zasłonę, która dotychczas nie pozwalała mu dostrzec tego, co oczywiste. To była ona! Tamta potworna istota z rozdziawioną paszczą. Ona pragnęła ich tu zatrzymać! Gościć ich w nieskończoność! Opowieść o trzech braciach to nie była żadna bajka, tylko warunki umowy -- nie-uważnie kliknięta zgoda na politykę cookies.

Popatrzył na wielki napis nad pawilonem, odwrócił się i zaczął biec.

## 71.

-- Narada! Rodzinna narada! -- wrzeszczał Marek.

Było już po piątej, kiedy wreszcie zasiedli w samochodzie. Marek wyszukał wszystkich członków rodziny, nie pominął nawet Heńka. Oderwał ich od pierogowej uczyty i zaciągnął poza teren festiwalu, aż do suwana zaparkowanego dobre dziesięć minut od wejścia. W przypadku niektórych -- jak Marta czy ojciec -- wymagało to niemal użycia przemocy. Marysia, gwałtownie wyciągnięta z dmuchanego zamku do skakania, płakała i tuliła się do mamy.

-- Lepiej, żeby to było coś ważnego... -- wycedziła Marta.

Marek wiedział, że jest na niego wściekła, bo przerwał jej rozmowę z rudą dziewczyną, którą zapamiętał z imprezy na zamku.

-- Możecie mnie wziąć za wariata, nie zależy mi -- zaczął chłopak. -- Tylko błagam, wysłuchajcie mnie do końca. Musimy stąd natychmiast uciekać.

-- O nie, znowu? -- Pan Wycieczka wzniosł oczy ku niebu.

-- Kochanie... -- Natalia wyciągnęła ręce przed siebie. Chciała przytulić syna, ale się rozmyśliła i zamiast tego zmierzyła go przerażonym spojrzeniem. -- Wydawało mi się, że mamy to już za sobą.

-- Posłuchajcie. Po prostu mnie posłuchajcie. -- Marek siedział z tyłu samochodu, co zmuszało wszystkich do wykręcania karków. Musiał się streszczać. -- To, co pan Heniek... znaczy Heniek, mówił o mrówkolwie żyjącym na dnie leja... To wszystko prawda. Trafiliśmy do... do takiej istoty... do... do Gościni.

Nie wiedzieć czemu, przypomniał sobie to słowo, które w zupełnie innym kontekście usłyszał na wykopalisku w parku jurajskim. Pasoowało jak ulał. Cokolwiek próbowało ich uwięzić i pochłonąć, stało się bardziej konkretne i rozpoznawalne, kiedy przygwoździł to imieniem. Jak kiedyś przygważdżało się szpilkami do tablicy kolorowe motyle czy egzotyczne insekty. Tyle tylko, że ten motyl był wielki i straszny. I zwykle to on chwycił ludzi, a nie odwrotnie.

-- Gościni? -- zapytał Jaworski, bacznie obserwując syna w poszukiwaniu śladów nierozpoznanej do tej pory choroby psychicznej.

-- To nie jest jej prawdziwe imię. Sądzę, że ona nie ma imienia. Ona chyba nawet nie jest istotą w ścisłym tego słowa znaczeniu. Raczej zmaterializowanym pragnieniem. Czasem prawie da się tu usłyszeć jej myśli. Przebijają się w ulotkach, sloganach reklamowych, w pojedynczych zdaniach wypowiedzianych przez napotkanych przechodniów, w poplątanej architekturze tego miasta. Też to na pewno słyszycie. Jak szum radiowy pomiędzy stacjami.

Tak. Gościni to było dobre imię. Marek opowiedział historię, którą poprzedniego ranka usłyszał od gospodyni. O trzech braciach, o ich wyprawie przez las i o zaklęciu, które nie wypuściłoby ich już nigdy, gdyby spędzili u Gościni trzecią noc.

O strasznej drewnianej figurce, od której wszystko się zaczęło, też im opowiedział.

Mówił dobry kwadrans. Chaotycznie, nieskładnie i kompletnie nieprzekonująco. Kiedy skończył, w samochodzie zapanowała cisza. Marek uświadomił sobie, że teraz wszyscy nasłuchują tajemniczego głosu, o którym wspomniał. Ale przez uchylone drzwi docierał do nich tylko szum ulicy i odległy dźwięk reklamowej szczekaczki zachwalającej festiwal pierogów: "Przyjdźcie, spróbujcie, rozgośćcie się!". Żadnych metafizycznych odgłosów.

-- Synku... -- Pan Wycieczka nieświadomie wahał się chwilę między trybem ojcowskim a belferskim. Wreszcie wybrał ten drugi. -- To świetna historia. Piękna opowieść. Ale takich opowieści znajdziemy mnóstwo w mitologiach całego świata. Są prawdziwe, lecz nie w sposób dosłowny. To przypowieści, metafory. Ta historia o trzech braciach, którą nam opowiedziałeś, w oczywisty sposób obrazuje święte prawo gościnności i głosi, że nie wolno go nadużywać. W wielu kulturach istniał bezwzględny etyczny nakaz ugoszczenia każdego wędrowca, który zapukał do drzwi z prośbą o pomoc. Ślady tego prawa znajdziemy wszędzie -- od biblii po naszą mitologię słowiańską, przekształconą i utrwaloną w kulturze ludowej. Taki nakaz stwarzał jednak pole do



nadużyć. Jak pozbyć się niechcianego natręta? Kiedy prawo gościnności przestaje obowiązywać, a przybysz przestaje być gościem, stając się utrapieniem? Moralna zasada brzmiała więc tak, że jeśli mieszkasz gdzieś długo, to przestajesz być gościem i powinieneś się włączyć do prac polowych i tak dalej. Bo jeżeli będziesz za długo siedział w gościach (i tu pojawia się fantastyczny element wyobraźni ludowej), to przyjdzie Gościni i cię zje. Proste. Ludzkość od tysiący lat wymyśla potwory, demony i złośliwe bóstwa po to, by mieć kim straszyć tych, którzy łamią zasady. Jeśli zejdziesz ze ścieżki, to zje cię zły wilk. Jeśli zjesz owoc z niewłaściwego drzewa, zostaniesz wyrzucony z raj. Będziesz za długo gapić się w lustro, to zamienisz się w kwiatek albo pokaże ci się dydko na słomianych nogach.

-- Wiem, o czym mówisz. -- Marek bardzo powoli pokiwał głową. -- Ale to nie to. Gościni istnieje naprawdę. Wiem, że jest w pobliżu. Czuję jej obecność.

-- I kto niby jest tą straszną Gościnią? -- dopytywał Pan Wycieczka. Był zmęczony nagłym szaleństwem syna. Nie potrafił mu współczuć i było mu z tego powodu wstyd, co tylko wprawiało go w jeszcze większą irytację. -- Nasza gospodyni, ta przemiła starsza pani? Nocą przy pełni księżyca zmienia się w potwora z wielką paszczą?

-- Nie, nie sądzę. Tę hipotezę odrzuciłem. Wydaje mi się raczej, że... To zabrzmiało naprawdę dziwnie...

Jakby to, co dotychczas mówił, brzmiało normalnie.

-- A jeżeli cała ta przekłeta miejscowość, z jej spektakularnymi atrakcjami i nadgorliwymi mieszkańcami, to jeden demoniczny byt? Wszystkie te miejsca i wszyscy ludzie nie istnieją. Są tylko projekcjami, które tworzy Gościni, żeby nas uwięzić. Jak... postaci w grze komputerowej.

-- I wszystko jasne... -- Pan Wycieczka westchnął ciężko. Od dawna powtarzał, że nadmiar gier komputerowych jest bardzo szkodliwy dla rozwoju psychicznego młodych ludzi.

-- Poczekać, dajcie mi szansę. -- Do Marka docierało, że to, co mówi, brzmi kompletnie nieprawdopodobnie. -- To jest jak wirtualna

rzeczywistość. W dodatku generuje się stopniowo, powoli. Pierwszej nocy, po tym, jak przejechaliśmy przez ten nieszczęsny mostek, istniała tylko mała chatka. Potem zmieniła się w piętrowy domek, później w wioskę, przedmieścia, a wreszcie w wielkie miasto pełne atrakcji. Codziennie pojawiała się coś nowego. Przypomnijcie sobie, że pierwszego dnia, idąc do skansenu, nie widzieliśmy brontozaura. A przecież na pewno zwrócilibyśmy na niego uwagę. Czasem są jakieś glitche, coś się knoci -- ciągnął chłopak. -- Ona uczy się na bieżąco. Poznaje nas coraz lepiej i wymyśla coraz więcej atrakcji. Testuje nas. Rozpracowuje.

-- Przecież to jakaś teoria spiskowa...

-- Z postaciami, czy jak ich tam nazwać, jest to samo! -- Geny odziedziczone po ojcu dawały o sobie znać. Wywód Marka stawał się rozpędzoną masą, którą nie sposób już było zatrzymać. -- Na początku wygenerowało się ich mało. Dlatego się powtarzały. Ciągłe spotykaliśmy te same osoby. Ale to jeszcze nie koniec! Wiecie, co tu jest megadziwne? Ja wiem, że w małych miasteczkach wieści szybko się rozchodzą, ale tutaj jest tak, że zaczynasz rozmowę z jednym z mieszkańców, a kończysz ją dzień później z kimś zupełnie innym. Wszyscy wszystko wiedzą, zawsze zjawiają się w najbardziej dogodnych momentach... Jak to wyjaśnicie? Moje wyjaśnienie jest takie: jeżeli miasto coś wie, wszyscy to wiedzą. Bo oni nie istnieją. Wszyscy są tylko projekcjami Gości.

-- To niedorzeczne! -- Marta otworzyła przesuwne drzwi. -- Nie będę tego dłużej słuchać.

-- Daj mi skończyć. -- Popatrzył prosto na nią. -- Doskonale wiem, dlaczego nie chcesz tego przyjąć do wiadomości. I właśnie to najbardziej mnie przeraża. Bo te miejsca i osoby, te... projekcje nie są przypadkowe! Mam taką hipotezę, że Gości żywi się naszymi pragnieniami. Wykorzystuje je jako tworzywo, z którego potem tka swoją iluzję. Nie macie uczucia, że tu wszystko jest znajome? Że gdzieś to już kiedyś widzieliście?

-- Marek... -- Ojciec chciał położyć mu rękę na ramieniu, ale z fotela kierowcy nie był w stanie dosięgnąć syna. -- To jest definicja miejscowości turystycznej. Wszystkie wyglądają podobnie.

-- Dajcie mi dokończyć! -- Marek już nie mówił, lecz krzyczał. -- Czy was to nie zaskakuje, że każde z nas dostaje tu dokładnie to, czego chce? Tata ma swoje atrakcje, Marta ma nagle mnóstwo przyjaciół, a ja zagadki do rozwiązania i misje do wykonania...

-- Więc sam przyznajesz, że to ma związek z grami... -- Ojciec szeroko rozłożył ręce, a jego ciało ułożyło się w jedną wielką emotkę "A nie mówiłem?".

W tym momencie Marek się poddał. Zrozumiał, że ich nie przekona. W ostatnim desperackim odruchu próbował ich jeszcze ubłagać:

-- Dobra, nie wierzycie mi, okej! -- wrzeszczał. -- Więc zgódźcie się dla świętego spokoju! Odjedźmy stąd! W tej chwili! Nie zostawajmy tu ani minuty dłużej. Nie zostawajmy na noc. Błagam! Błagam!

"Zostałeś u mnie przez noc ciemną i zawsze już zostaniesz ze mną", przypomniało mu się zaklęcie z baśni.

-- Ale jak to sobie wyobrażasz? -- zganił go Pan Wycieczka. -- Teraz jest taki tłok, że nawet nie mamy jak wyjechać. Co niby mielibyśmy zrobić? Porzucić tu samochód i uciec pieszo do lasu z całym dobytkiem w plecakach? Uspokój się. Wróć sobie spacerem do pokoju. Odpocznij. Zdrzemnij się może. Odstawienie telefonu wyraźnie ci nie posłużyło. Spędzimy tu ostatnią noc, a jutro wyjedziemy z samego rana.

-- Wyjedźmy, wyjedźmy teraz... -- powtarzał Marek coraz ciszej.

Ostateczny cios padł z najmniej oczekiwanej strony.

-- To żalotne, wiesz, Marek? -- Głos matki ugodził go jak lodowe ostrze. -- Nie spodziewałam się tego po tobie. W momencie, gdy wszystko przestaje się kręcić wokół ciebie, zaczynasz nas sabotować. Jak możesz?! Wiesz przecież, ile to znaczy dla taty, dla nas wszystkich!

W tym momencie Marek zrozumiał, że tę część równania przeoczył. Nie miał pojęcia, co się dzieje w głowie jego mamy. Czym kusila ją Gościni? Co jej obiecała? Przecież mama od dawna nienawidziła koncepcji Wycieczkowej Rodziny...

-- A co tobie dało to miasto? -- spytał.

Natalia odwróciła się gwałtownie. Marek skulił się w ergonomicznym fotelu, którego projektanci obiecywali komfort i bezpieczeństwo

w każdych warunkach. Uświadomił sobie, że chyba nigdy nie widział jej wścieklej. Od widowiskowej pirotechniki był ojciec. Matka należała raczej do tych osób, które zamykają się w swoim pokoju i płaczą w samotności. Tym większe było zaskoczenie nastolatka, gdy w odpowiedzi na swoje pytanie usłyszał tylko krótkie:

-- Wynocha!

Marysia schowała buzię w spódnicy mamy i zaczęła szlochać. Marek ze zdziwieniem patrzył na osobę, którą kochał najbardziej na świecie. Na osobę, która nigdy go nie skrzywdziła i zawsze mu wierzyła. Nie poznawał jej.

Wysiadł z samochodu i powoli powlókł się w kierunku domu starszych państwa. Może naprawdę zwariował? Może tak to właśnie wygląda z drugiej strony? Rodzina nadal go kocha. Są po prostu bezradni i zrozpaczeni, widząc, że oszalał.

-- Ej, młody -- usłyszał głos za plecami.

To był Heniek. Z plecakiem. Gotowy do drogi.

-- Ja ci wierzę. Uwierzyłem ci już wczoraj. Teraz jestem przekonany, że masz rację. Może nie we wszystkim, bo ta historia z potworem pożerającym turystów jest chora, ale z tym miastem faktycznie jest coś nie tak. Skręcona noga czy nie, zabieram się stąd. Wezmę kij i pokuśtykam przez góry. Do wieczora będę już w jakiejś małej wsi w sąsiedniej dolince. Chodź ze mną, jeśli chcesz.

Marek się zatrzymał, popatrzył na Heńka, potem na sylwetkę gigantycznego brontozaura widoczną z oddali i podjął decyzję.

## 72.

Ruda mocno przytuliła Martę. Dzięki niech będą bogom tytoniu za wynalezienie przerwy na papierosa! Dziesięć minut sam na sam z przyjaciółką naprawdę było Marcie potrzebne.

-- Marek wydawał się zawsze taki zrównoważony... -- Szlochała. -- To ja miałam skłonności do hysterii...

Płakała, jeszcze mocniej wtulając się w ramię koleżanki.

-- Marta... -- Ruda odsunęła się odrobinę, żeby popatrzeć jej w oczy. -- Twój brat przeżył jakieś załamanie nerwowe. To się zdarza, przejdzie mu. Ale czy ty nie widzisz poważniejszego problemu? Dlaczego ciągle żyjesz dla innych? Dlaczego tak bardzo przejmujesz się wszystkimi, tylko nie sobą? Swoje problemy bagatelizujesz, nie chcesz o nich mówić. Wiem, co czujesz, bo byłam tam, gdzie ty.

Ruda podwinęła rękaw o kilka centymetrów. Ukazały się bolesne ślady dziesiątek, może setek momentów załamania, na zawsze utrwalone na jej ciele.

-- Rozumiem cię jak nikt. Uwierz mi. -- Ruda schwyciła ją za ramiona i wpatrywała się w jej oczy, jakby zamierzała ją zahipnotyzować. -- Wiem, czego potrzebujesz. Musisz pomyśleć o sobie. Zadać sobie pytanie, czego naprawdę chcesz. Czego pragniesz?

I nagle czar prysł. Marta zrozumiała. Jeszcze nie potrafiła tego nazwać. Historia z potworem jej nie przekonywała. Ale wiedziała, że w jakimś sensie Marek ma rację. Nie zwariował. Przeciwnie. To jego zmysły zachowały czujność, podczas gdy ona, jego starsza siostra, dała się omamić.

Wszystko, co mówiła Ruda, brzmiało tak wiarygodnie nie dlatego, że było szczere, lecz dlatego, że to były jej własne myśli i pragnienia powtórzone przez echo. Z dobrej, lekko piegowatej twarzy patrzyły na nią jej własne oczy odbite w jakimś dziwnym, zniekształcającym zwierciadle.

Dość tego.

## 73.

Może zwariowałem, a może nie. Ale przecież tak ich nie zostawię.

Marek prawie biegł. Myślał, że dogoni bliskich, zanim wrócą na festiwal, ale geografia tego miasta rodem z koszmarnego snu znów dała o sobie znać. Biegł pod stromą górę, czując, że z każdym krokiem coraz trudniej mu oddychać. Był pewien, że kiedy przed południem tędy szli, droga z samochodu do parku zdrojowego prowadziła łagodnie w dół.

Kiedy wreszcie dotarł z powrotem na festiwal, nie mógł wypatrzeć w tłumie żadnego z członków rodziny. Za to sam został wypatrzony.

-- Cześć, Jutuber! -- usłyszał znajomy głos kolegi ze szkoły. -- Znowu się spotykamy!

-- Cześć... -- odpowiedział Marek nieprzytomnym głosem. -- Jak... jak ci się podoba festiwal?

-- Może być. -- Chłopak wzruszył ramionami. -- Na tle różnych lamerskich festiwali ten jest stosunkowo najmniej lamerski. Pierogi serio są dobre. Za labiryntem jest stoisko, gdzie mają gogle do wirtualnej rzeczywistości. Idę to zbadać, może dołączysz?

Marek tylko się zaśmiał. Był pewien, że to usłyszy. Tani chwyt. Wyglądało na to, że Gościni robi się zdesperowana. Ciekawe, do czego jeszcze się posunie?

Półprzytomnym wzrokiem wpatrywał się przez chwilę w znajomego i nagle połączył kropki. Uświadomił sobie coś naprawdę ważnego. To było to! To było właśnie to, co go prześladowało od pierwszej nocy tutaj.

Ponad ramieniem kolegi dostrzegł Martę biegnącą w jego kierunku. Coś krzyczała.

## 74.

-- Rodzinna narada! Rodzinna narada!

Tym razem było ich dwoje. Razem udało im się znaleźć rodziców i Marysię. Nie mieli chwili do stracenia. Gościni i tak już wie, że oni wiedzą. Usiedli więc po prostu przy jednym ze stołów rozstawionych w parku.

-- Posłuchajcie go, posłuchajcie go! -- Rozgorączkowana Marta wymachiwała rękoma.

-- Wujek Karol. -- Marek wypowiedział tylko te dwa słowa. I czekał.

-- Co wujek Karol? -- zapytał zniecierpliwiony ojciec, któremu przezwali nagrywanie materiału o pierogach z helem.

Wciąż jeszcze miał śmieszny, nienaturalnie wysoki głos i mimo powagi sytuacji Marta zachichotała. Był to bardziej odruch bezwarunkowy niż prawdziwa wesołość, ale zawsze coś. Marek poczuł, że jej śmiech dodał mu otuchy. Zresztą napompowany helem ojciec nie był już tą straszną figurą nieomylnego Mufasy.

-- To ja się pytam, co wujek Karol. -- Tym razem nastolatek mówił spokojnie. Wiedział, że to jego ostatnia szansa, i nie zamierzał jej zmarnować. -- Przypomnijcie sobie, co wiecie o wujku Karolu.

-- Był w Uśniejowie dwa lata temu, tak? -- Ojciec odzyskiwał normalny głos. Był zły. Gdy wróci do nagrywania, będzie musiał zjeść kolejnego napompowanego pieroga. -- O to chodzi?

-- A coś jeszcze?

-- Z zawodu jest... -- Natalia się zawahała. -- Weterynarzem?

-- O, właśnie o to chodzi -- ucieszył się Marek. -- O tę chwilę, zanim to sobie przypomniałaś. Spróbuj przywołać jeszcze jakieś wspomnienie i zwróć uwagę na uczucie, które się przy tym pojawia.

Wszyscy członkowie rodziny zastygli w dziwnych grymasach. Marek doskonale wiedział, co się dzieje w ich umysłach.

-- O Boże... -- Natalia pobladła.

-- Nie wiem, czy Bóg tu coś pomoże. -- Marek pokręcił głową. -- Tu nie ma zasięgu.

-- Jak... -- Matka robiła się coraz bledsza. Nie była jeszcze zupełnie biała, ale miała już kolor kartek ze starego zeszytu.

-- Znowu spotkałem tego chłopaka z mojej szkoły -- wyjaśnił nastolatek. -- I uświadomiłem sobie, że on jest jak... Jak taki niedokończony rysunek. A to dlatego, że nie istnieje. Nigdy nie miałem takiego kolegi. Ale Gościni nie tylko umieściła go w ruinach, a potem w parku. Ona także w jakiś sposób...

-- Stworzyła twoje wspomnienie o nim... -- dokończyła za niego Natalia.

-- Wygląda na to, że Gościni potrafi nie tylko tkać iluzje, ale także tworzyć jakiś rodzaj wspomnień. Najpierw grzebie w naszej pamięci, żywiąc się nią, a potem robi tam porządki. Dlatego to wszystko jest takie wiarygodne. Ale te wspomnienia generują się dopiero wtedy, kiedy są potrzebne. Zawsze towarzyszy im opóźnienie. Taki... lag. Jak gdyby gra odpalona na zbyt słabym sprzęcie nie nadążała się ładować. Przez chwilę kształty są toporne, brakuje tekstur. I właśnie przez ten ułamek sekundy widać, że to jest nieprawdziwe. Jeżeli przygwoździecie to uczucie, zobaczycie wyraźnie, o czym od początku mówiłem.

-- Nie ma żadnego wujka Karola... -- Głos ojca był bardzo cichy i słaby. Hel w jego płucach zupełnie się zużył i ustąpił miejsca czemuś innemu. To coś było jak czarny skłębiony dym, który prawie uniemożliwiał oddychanie.

-- O Boże... -- powtórzyła Natalia, ale Markowi nie chciało się już komentować. -- Musimy stąd uciekać.

-- Ile mamy czasu? -- Marta spojrzała na niebo i stwierdziła, że wkrótce zacznie się ściemniać. -- Czy mamy czas do jakiejś konkretnej godziny? Do północy? Do wschodu słońca?

-- Nie mam pojęcia... -- Marek potrząsnął głową. -- To świat starych baśni i mitów, a nie sprint na olimpiadzie. Tu mierzenie czasu wygląda trochę inaczej. Raczej nie liczą się setne sekundy.

-- Jeżeli ta historia o trzech braciach była instrukcją obsługi -- wtrącił się ojciec -- to sądzę, że mamy czas do wschodu słońca. Ale nie ma co ryzykować. Zabieramy się stąd. Natychmiast.



I właśnie wtedy uświadomili sobie, że wszyscy się na nich gapią. Nie w sensie metaforycznym ("Ej, mów ciszej, bo wszyscy się na nas gapią"), tylko dosłownym. Zebrani w parku ludzie zamilkli, przerwali czynności, które wykonywali, i wybałuszonymi, oczami wpatrywali się w rodzinę Jaworskich.

A potem, dokładnie w tym samym momencie, wszyscy ruszyli w ich stronę.

Przestało być dziwnie. Zrobiło się przerażająco.

**OSTATNIA NOC**

## 75.

Przez umysł przebiega granica dzieląca dziwne od potwornego.

Monstra żerują zazwyczaj w głębinach oceanu naszej nieświadomości. Z rzadka tylko wypływają na płycizny, żeby pożywić się myślą, która podfrunęła niebezpiecznie blisko gładkiej czarnej tafli. Zdarza się wtedy, że mroczna sylwetka potwora się ujawnia. Jako cień na krawędzi pola widzenia, myśl, słowo bez znaczenia czy melodia, od której nie możemy się uwolnić. Właśnie takie sytuacje traktujemy jako dziwne. Wzruszamy ramionami i udajemy, że to się nigdy nie wydarzyło. Żyjemy sobie dalej, jak gdyby nigdy nic. Tylko rozglądamy się z niepokojem wokół, czy przypadkiem nikt nie widział tego, co my. Czy nikt nie widział, że my widzieliśmy.

Bo jeżeli coś takiego przydarzy się nam w większym gronie, sytuacja robi się trudniejsza. Trzeba coś powiedzieć, jakoś skomentować to, co się wydarzyło, żeby przypadkiem wspomnienie potwora nie zagnieżdżyło się w naszej świadomości jako niewytłumaczalne. Ale i na to kultura zna sprytnie sposoby: "ależ to był wielki nietoperz", "pisk tego kota brzmiał zupełnie jak płacz niemowlęcia", "ale miałem déjà vu". Wypowiadamy wtedy jedno z tych magicznych zaklęć, za pomocą których usuwa się niewytłumaczalne z dalszej konwersacji. Zdarza się jednak, na szczęście bardzo rzadko, że monstra -- skryte zazwyczaj w otchłani nieświadomości, głęboko poza polem naszego widzenia, tam, gdzie nigdy nie dociera słońce -- wychyną z siebie tylko znanych powodów na powierzchnię. Ich olbrzymie cielska ukazują się wtedy w pełnym słońcu i żadne zaklęcia -- ani pomyślane, ani wypowiedziane -- nie są w stanie usunąć ich z domeny realnego, zepchnąć ponownie w świat tego, co niemożliwe. Wtedy właśnie dziwne zmienia się w potworne.

Wcześniej umysł i ciało skupiały całą energię na wypchnięciu tego, co potworne, ze świadomości. Kotły grzały się na pełnej mocy, ale para szła w oszukiwanie siebie. Teraz wajcha przeskakuje. W jednej chwili realność potwornego zostaje przyjęta do wiadomości i zaakceptowana. Nie ma już sensu się oszukiwać. Trzeba walczyć albo uciekać. Ospalność

ustępuje miejsca czujności. Kształty wcześniej rozmyte i ignorowane nagle ukazują się z pełną wyrazistością.

Zaczyna się druga faza horroru.

## 76.

Wyglądają jak kukły. To była pierwsza myśl, która przebiła się do świadomości Pana Wycieczki, kiedy już pogodził się z tym, że horror jest rzeczywisty. Że nie zniknie, gdy zamruga oczyma, nie rozwieje się po przebudzeniu.

Oni zawsze wyglądali jak kukły. To była druga myśl. Znacznie bardziej ohydna. Od trzech dni znajdujemy się w mieście wypełnionym przez nierzeczywiste, papierowe postacie. Truchła, pozszywane ze stereotypów i wspomnień, ożywione jakąś złośliwą wolą. Czym zatem jesteśmy my, jeżeli przez tyle czasu dawaliśmy się zwodzić czemuś w tak oczywisty sposób nieprawdziwemu?

W tłumie postaci, które zbliżały się do nich nieubłaganie, Jaworski dostrzegł Panią z Okienka. Była trupem. Nie w sensie dosłownym. Nie wyglądała jak rozkładające się zwłoki. A jednak -- Jaworski widział to teraz zupełnie wyraźnie -- była pusta w środku. Przekrzywiona, niedopasowana. Jej ciało stanowiło tylko powłokę zamieszkiwaną przez bezkształtną magmę starającą się imitować z grubsza ludzki kształt. Przypomniał sobie scenę na basenie. Tę samą kobietę w stroju kąpielowym. Przypomniał sobie myśl, która go wtedy nawiedziła, i zebrało mu się na wymioty.

Pierścień wokół rodziny Jaworskich się zacieśniał. Miał kształt idealnego koła. Jak gdyby osaczała ich grupa niezwykle zdyscyplinowanych przedszkolaków bawiących się w odwróconą wersję *Baloniku mój malutki*. Ludzie się tak nie poruszają. Nawet gimnastycy z Korei Północnej układający się na stadionie w portret Kim Ir Sena nie są tak zsynchronizowani.

-- Czołem, rodzinko! -- powiedziała Pani z Okienka.

Jej głos też był pozszywany. Nie należał do osoby, nie pochodził z ludzkiej krtani. Brzmiał jak dobry syntezator mowy. Tak dobry, że przez chwilę mógł zwodzić ucho swoją melodią. Tym dziwniej było uświadomić sobie, że nie jest to głos osoby, że tych słów nikt nie wyma-

wia. Albo jeszcze gorzej... Że wypowiedziało je lub pomyślało coś, co nie jest człowiekiem.

-- Chyba się nigdzie nie wybieracie? Mam dla was dodatkowe karnety. Gratis. Będzie moc atrakcji. Morze atrakcji. Ocean atrakcji. Włączcie...

Jaworski zdzielił ją ciężkim drewnianym krzesłem. Kobieta bezwładnie osunęła się na ziemię. Ale jeszcze nim dotknęła równo przyciętego trawnika, brodac z dinoparku płynnie przejął jej kwestię w połowie frazy:

-- ...telefony i aparaty. Za chwile to miasto zapłonie.

Puste miejsce po Pani z Okienka zajęła nauczycielka, z którą Jaworski rozmawiał wcześniej przy stoisku prowadzonym przez szkołę. Miała dokładnie takie same oczy jak tamta. Najwyraźniej Gościni jest leniwa. A może nie? Może oceniał ją pochopnie? Może powołanie do życia całego miasta i wypełnienie go tymi kukłami było tytanicznym wysiłkiem? Może monstrum żyjące na dnie piaskowego leja mogło go podjąć tylko raz na sto lat albo wręcz po eonach spędzonych na trawieniu, czekaniu i zbieraniu sił?

Jaworscy zbili się w kupkę i przytulili do siebie w atawistycznym odruchu, starszym niż najstarsze ludzkie kultury. Starszym niż warowne zamki, piramidy, niż jaskinie. Poczuli, jak ciepło ich ciał stawia opór przejmującemu chładowi. Byli rodziną. Wycieczkową Rodziną. Byli jak ognisko. Ale było to dogasające ognisko pośrodku bardzo długiej, bardzo mroźnej i bardzo czarnej nocy. Nocy, po której nie miał już nadejść poranek.

-- Precz. Od. Mojej. Rodziny -- wycedził Pan Wycieczka, chwytając drugie krzesło.

Jego starsze dzieci stanęły z nim ramię w ramię. Dosłownie. Jaworski czuł ich ramiona mocno przyciśnięte do swoich. Za sobą wyczuwał drżące ciało Natalii, tulące do piersi łkającą Marysię.

-- Nie pragnę waszej krzywdy -- usłyszeli z tłumu głos staruszki, ich życzliwej gospodyni. -- Chcę, żebyście byli szczęśliwi. Żebyście zostali. Żebyście sami chcieli zostać.

-- Precz! Z drogi! -- powtórzył Jaworski.

A potem pierścień wokół nich po prostu się zamknął. Jak gdyby to nie byli ludzie, tylko jakaś ciecz, błoto, magma. Coś ciężkiego zważyło się na głowę Pana Wycieczki, obalając go na ziemię. W ostatnim przebłysku świadomości dostrzegł, że gdzieś w oddali, ponad głowami wciąż nadciągających mieszkańców Uśniejowa, zapłonęły jakieś wielkie kształty.

Jak znaki dawno zapomnianego pisma na tle czarnego nieba, zdążył jeszcze pomyśleć. Gospodarze mieli rację. Zdjęcia w folderze zupełnie nie oddawały klimatu.

Marta nie potrafiłaby powiedzieć, jakim cudem wydostała się spośród splecionej masy ludzkich ciał. Chyba było to możliwe właśnie dlatego, że te ciała nie były ludzkie. Były nieludzkie. Przypominały raczej stos zwalonych na siebie mebli. Jak pospiesznie ułożona barykada.

Oni byli martwi... Oni wszyscy byli martwi, powtarzała w myślach. Ci wszyscy ludzie po prostu przestali się ruszać. Oni nie byli prawdziwi. To się nie działo naprawdę.

Najpierw długo się czołgała, potem szła na kolanach. Zmierzch zapadł gwałtownie i drogę oświetlały jej tylko powykręcane płonące kształty na horyzoncie. One też układały się w pierścień, tyle że znacznie większy od tego stworzonego z ludzkich kukieł. Marta podejrzewała, że są rozmieszczone dookoła parku. Z tej odległości trudno było dokładnie ocenić, ale musiały być olbrzymie.

Wreszcie odważyła się wstać i pobiec. Biegła chwilę w przypadkowym kierunku, po czym zatrzymała się gwałtownie bez wyraźnej przyczyny.

Myśl! Myśl, dziewczyno! Spoliczkowała się w wyobraźni. Przecież ich nie zostawię. Ale jak mogę im pomóc? Co mogę zrobić? Co teraz zrobić?

-- Pssst! -- Spod lady jednego ze stoisk czy pawilonów doszło wyraźne syknięcie.

Serce Marty zabiło gwałtownie. To Marek albo mama, pomyślała i podbiegła do stoiska. Ale wtedy usłyszała znajomy głos:

-- Marta, tutaj!

To nie był głos nikogo z jej rodziny.

Zatrzymała się. Ruda wyrzała zza lady, uchyliła drzwiczki i gestem zaprosiła ją do środka.

-- Szybko! Te potwory mogą się tu zjawić w każdej chwili!

Marta zamarła.

-- Marta... -- W głosie Rudej brzmiał ból. Ona nie była tylko wydmuszką. Te emocje były prawdziwe. Ten ból był prawdziwy. Jaworska



to czuła.

-- Ty... Ty nie jesteś człowiekiem. -- Cofnęła się o kilka kroków.

Ruda chyba nie usłyszała. Wyszła z ukrycia i zwróciła się w jej kierunku.

-- To, co do mnie czujesz, jest prawdziwe!

Postać schwyciła ją za rękę i położyła jej dłoń na swoim sercu. Marta wyraźnie czuła jego bicie.

-- To, co ja czuję do ciebie, też jest prawdziwe. Musisz mi uwierzyć.

-- Kim... Czym ty jesteś?

-- Jestem kimś, komu naprawdę na tobie zależy. -- Marta czuła, że istota mówi prawdę. -- Kimś, kto akceptuje cię taką, jaka jesteś. Kimś, kto będzie cierpiał, jeżeli odejdiesz.

To potwór, powtarzała Marta w myślach. Paskudna larwa, która żyje na dnie piaskowego leja, żywiąc się mrówkami takimi jak ja. Rzuca we mnie ziarnkami piasku. Chce, żebym spadła, żebym zawróciła. Chce mnie pożreć, strawić.

Ale bicie serca było faktem. Faktem były słowa, które usłyszała, i uczucia, które żywiła do Rudej. To, co wydarzyło się między nimi na murku, też było faktem.

-- Nie mogę z tobą zostać... -- Czuła, że zaraz się rozpłacze.

-- Marta... błagam. -- Głos Rudej zadrżał. -- Nie przeżyję rozstania z tobą. Jeżeli odejdiesz... To będzie dla mnie koniec. Chcę tylko, żebyś ze mną została.

Marta zabrała rękę i podjęła decyzję. Pobiegnie. Pobiegnie jak najdalej stąd i nie obejrzy się za siebie.

-- Nie chcę cię skrzywdzić. Nie zrobiłabym nic, co by cię skrzywdziło... -- Głos Rudej przeszedł w chrapliwy szept. -- A ty? Czy jesteś gotowa mnie skrzywdzić?

Zamiast pobiec, Marta wykonała kolejny krok do tyłu. To był poważny błąd.

Ruda się cofnęła i wzięła coś z lady. W ciemności Marta nie dostrzegła, co to jest, ale układ ciała dziewczyny i sposób, w jaki trzymała ten przedmiot... Wszystko sygnalizowało niebezpieczeństwo. W mózgu

Marty momentalnie rozbłysły dziesiątki czerwonych lampek. Nim jeszcze świadomość zdołała nazwać to, co widzą oczy, jej ręce w odruchowym geście powędrowały do przodu, osłaniając twarz i ciało.

Ruda trzymała nóż. Długie spiczaste ostrze zabłysło w blasku płonących symboli wyznaczających granicę parku.

Marta zrobiła kolejny krok do tyłu, spodziewając się ataku. Ale Ruda nie podążyła za nią. Wydarzyło się coś okropniejszego. Takim samym powolnym ruchem jak ostatnio dziewczyna podwinęła lewy rękaw bluzki. Lśniący metal znalazł się upiornie blisko jej nadgarstka.

-- Marta... -- Rozległ się drżący, chrapliwy szept. -- Ja naprawdę nie przeżyję bez ciebie. Nie możesz mi tego zrobić.

-- Nie... -- Marta najchętniej zasłoniłaby sobie oczy. -- Nie rób tego. Proszę, nie!

-- To nie ja... To ty mi to robisz. -- Ostrze przejechało po nadgarstku i jakaś gęsta ciecz pociekła na trawę. Marta nie widziała rany. Stała za daleko. Było zbyt ciemno. Ale słyszała dźwięk rozcinania ciała, słyszała ciężkie krople. To było dużo gorsze niż widok krwi. Zgięła się w pół, czując, że zbiera się jej na mdłości.

-- Zostań, po prostu zostań... -- Głos Rudej stał się bardziej opanowany. Niósł w sobie obietnicę, że wszystko będzie dobrze. To jeszcze może skończyć się dobrze.

-- Nie. -- Marta się wyprostowała. -- To się nie dzieje naprawdę. Ty nie istniejesz.

Ruda zawyła. Nie był to dźwięk niehumaniczny, choć Marta marzyła o tym, żeby dziewczyna nie brzmiała jak człowiek. Żeby z jej twarzy wysunęły się macki. Żeby wydarzyło się cokolwiek, co by ją, Martę, przekonało, że postępuje słusznie. Zamiast tego przyjaciółka zaszlochała. Upiornie, ale jednak po ludzku, rozpaczliwie po ludzku.

Marta znów usłyszała odgłos cięcia. I jeszcze jeden, i kolejny. Ręka z nożem wykonała serię gwałtownych, konwulsyjnych ruchów. Jakby strugała gałąź -- mózg młodej Jaworskiej próbował przetłumaczyć ten widok na coś znanego. Jakby ją nacinała, odliczając kolejne dni i tygodnie bardzo, bardzo długiego wyroku...

Dziewczyna zebrała resztki sił i zaczęła biec. Biegła długo i szybko. Jej płuca stopniowo wypełniał ból, ale biegła dalej. Nie ku czemuś konkretnemu, lecz po to, by znaleźć się jak najdalej od tego, co przed chwilą widziała. Biegła ku ognistym symbolom znaczącym granicę parku.

Gdzieś daleko, coraz dalej za nią, Ruda wyła. Wyła długo i przejmująco. Wyła jak ciężko ranne zwierzę, ale w głębi Marta wiedziała, że tak właśnie wyje konający człowiek.

Dopiero teraz zauważyła, że zaczęło padać.

## 78.

Marek wyczołgał się spod stosu ciał, ale czyjaś lodowata sztywna ręka wciąż trzymała go za kostkę. Kopnął kilka razy piętą drugiej nogi - nie pomogło. Zaczął więc wierzgać na oślep. Usłyszał mlaszczący dźwięk i poczuł, że jego markowe sneakersy pokrywają się bryzgami galaretowatej mazi. Uścisk martwej dłoni zelżał i wyswobodzony chłopak pomknął przed siebie z prędkością, jakiej nie powstydziliby się sam Usain Bolt.

Zaczynało mżyć. Drobnutkie kropelki były tak lekkie, że raczej rozpraszają się w powietrzu i płynęły z wiatrem, niż spadały ku ziemi, ale chłopak poczuł wyraźnie, że orzeźwiająca wilgoć wieczornego deszczu miesza się z jego potem.

Po lewej stronie Marek zobaczył trzy czarne cienie biegnące w jego kierunku. Odbił w prawo. Był pewien, że nigdy w życiu nie biegł tak szybko. Nie miał też wątpliwości, że bez względu na finał tej historii już nigdy tak szybko nie pobiegnie. Tym razem mroczne sylwetki pojawiły się z prawej strony. Nie mógł zawrócić, ale nieco skorygował kurs, żeby im się wymknąć.

Wtedy zobaczył przed sobą czarną nieprzeniknioną ścianę i zrozumiał. Zaganiają go. Zaganiają go jak psy pasterskie. Kierują do labiryntu...

Marek wiedział, że to się musi wydarzyć. Czuł to od momentu, w którym zobaczył labirynt z żywopłotu stojący w samym sercu starego parku zdrojowego. Jego wątek skończy się w tym labiryncie. Wejdzie tam i już nigdy nie wyjdzie, zostanie uwięziony w jakiejś idiotycznej parodii gry komputerowej. Co za tania horrorowa kalka! Ale czy wszystko, co mu się przytrafiło w ciągu ostatnich trzech dni, nie było zestawem takich właśnie kalek pospiesznie pozszywanych przez obcy, chory umysł? Jak gdyby sztuczna inteligencja przetwarzała losowo wybrane motywy z literatury grozy, nie bardzo wiedząc, czym jest literatura lub groza.

Odwrócił się przez ramię, nie zwalniając biegu. Nie było wyjścia. Nie było innego wyjścia. Wpadł do ciemnego korytarza i na chwilę zgubił pościg. Cokolwiek kryło się w tych ciemnych zakamarkach, było na tyle straszne, że nawet ścigające go postacie nie zaryzykowały i nie zapuściły się do środka.

Wziął jeden zakręt, drugi, potem kolejne. Wreszcie się zatrzymał. Dysząc ciężko, próbował się zorientować w rozmiarach i charakterze budowli. Panowała ciemność, a ściany miały co najmniej trzy metry wysokości. Trudno było cokolwiek wywnioskować na temat architektury tego labiryntu. Ale tak się złożyło, że Marek był dobry w te klocki. Jeśli Gościni liczyła na to, że z łatwością uwięzi go w gmatwaninie korytarzy, to się przeliczyła. Chłopak zastosował jedną z najbardziej oczywistych strategii, wielokrotnie wypróbowaną w jaskiniach i lochach *Minecrafta*. Położył rękę na ścianie na prawo od wejścia i już nie zamierzał jej puścić. Skręcał na każdym skrzyżowaniu i zawsze w prawo. Znalezienie drogi powrotnej będzie banalne. Pytanie tylko, czy w tym labiryncie nie czai się coś groźniejszego niż utrata orientacji...

Nie musiał długo czekać na odpowiedź. Po drugiej stronie grubej ściany nieprzenikliwego, kolczastego żywopłotu coś się poruszyło. Coś tam było. Nasłuchiwało jego kroków i oddechu. Coś lub ktoś.

Minotaur, pomyślał Marek. Potwór żyjący w sercu labiryntu. Czy to możliwe, że sama Gościni? Jak wielka pajęczycyca siedząca w centrum utkanej przez siebie sieci?

Zamarł w bezruchu. Cokolwiek znajdowało się po drugiej stronie ściany, zamarło również. Trwali tak długo, może nawet kilka minut. Marek czuł, że dłużej nie da rady oddychać płytko i bezszelestnie, że zaraz zdradzi go astmatyczne dyszenie. Zanim jednak to się stało, usłyszał chrapliwy, zdławiony oddech tego, co znajdowało się za żywopłotem. Próbował cofnąć się cicho w kierunku wyjścia, jakoś się oddalić od czającego się w mroku niebezpieczeństwa, ale zdradziła go leżąca na ziemi gałązka. Stwór z labiryntu usłyszał go i zaczął biec. Marek stracił resztki zimnej krwi i też puścił się pędem.

Gnał na oślep kolejnymi korytarzami, gigantycznym wysiłkiem woli pamiętając o uporządkowanym systemie skrętów. Wiedział, że jeśli pomyli się choć raz, będzie zgubiony. Nie tylko metaforycznie.

Przez chwilę wydawało mu się, że zdołał zmylić Minotaura. Po kilku minutach szaleńczego pędu nie słyszał już nic oprócz własnego świszczącego oddechu i tupotu stóp. Zatrzymał się, żeby zaczerpnąć powietrza. Złapała go straszliwa kolka i bardzo pożałował wszystkich opuszczonych godzin wuefu.

-- Już dobrze. Już wszystko dobrze... -- powtarzał sobie, starając się brzmieć jak mama. Ale jego łamiący się, zdyszany głos w niczym nie przypominał spokojnego, melodyjnego głosu, który tyle razy koił go w najgorszych chwilach życia. -- Mamo... Mamusiu...

Marek się rozpląkał. Usiadł na ziemi, podciągnął kolana pod brodę i objął ramionami głowę, jakby pozował do ilustracji z samolotowej instrukcji bezpieczeństwa. Za chwilę nastąpi zderzenie z ziemią. Czuł to.

Ale nic się nie stało.

Nie wiedział, ile czasu minęło. Może kilkadziesiąt sekund, może pół godziny. Zrobiło się chłodno. Otaczała go ciemność i prawie całkowita cisza. Prawie całkowita, bo liście żywopłotu szumiały cichutko na lekkim wieczornym wietrze. I właśnie z tego szumu wyłonił się wyraźny, coraz głośniejszy tupot zmieszany z dyszeniem. Minotaur zwęszył trop i biegł prosto w jego kierunku.

Marek poderwał się z ziemi i na ułamek sekundy stracił równowagę. Ta chwila była decydująca. Nim zdążył ruszyć, usłyszał odgłos złowrogiego pędu Minotaura tuż za najbliższą ścianą. Pognał na oślep przed siebie, pewien, że najbliższe przejście ma po lewej. Było po prawej. Dyszący cień zza ściany zmaterializował się nagle trzydzieści centymetrów od niego. Marek zaczął krzyczeć.

## 79.

Krzyczał długo i głośno, nawet wtedy, gdy cień objął go mocno, szepcząc do ucha kojące słowa:

-- Już dobrze, synku. Już wszystko dobrze.

-- Tato... -- Marek z całej siły przytulił ojca i poczuł, że on też drży. Uświadomił sobie, że również ojciec, słysząc kroki syna, był przekonany, że ściga się o życie z kolejnym monstrem.

A więc Minotaurem żyjącym w sercu labiryntu okazał się jego własny ojciec. Halo, doktor Freud? Proszę przyjechać do Uśniejowa...

-- Co teraz? -- zapytał chłopak, kiedy obydwaj już trochę ochłonęli.

-- Teraz musimy spróbować jakoś się wydostać z tego piekielnego labiryntu. -- Pan Wycieczka rozejrzał się dookoła. -- Nie bój się, synu. Coś wymyślę. Musi istnieć sposób, żeby znaleźć drogę powrotną.

Marek się uśmiechnął i schwycił tatę za rękę, po czym poprowadził go ku wyjściu. Żeby odnaleźć drogę powrotną, wystarczyło tylko znów skręcać na każdym skrzyżowaniu, ale tym razem zawsze w lewo. Szli tak bez słowa dłuższą chwilę -- ojciec i syn. Po raz pierwszy od dawna Marek czuł, jak ważny jest dla niego ten roztrzepany mężczyzna ze śmiesznym wąsikiem. Bardzo chciał mu powiedzieć, że go kocha, ale właśnie wtedy w labiryncie rozległ się chrobot.

-- Idą tu... Są przy wyjściu. -- Marek zamarł i nasłuchiwał. -- Odcięli nas...

-- Co robimy? Czy jest tu jakieś inne wyjście? -- Pan Wycieczka odruchowo zacisnął pięści w geście znanym z filmów o bokserach.

-- Nie wiem. Teraz żałuję, że nie obejrzałem tego labiryntu za dnia.

Zaczęli się cofać, zastanawiając się, czy to jedyna droga prowadząca na zewnątrz. Odpowiedź poznali szybciej, niż się spodziewali. Chrobotanie rozległo się też z drugiej strony labiryntu. Było ciche i dość odległe, ale niewątpliwie się zbliżało, i to szybko.

-- Osaczają nas... Wzięli nas w dwa ognie!

Zatrzymali się w niewielkiej komnacie, która być może była sercem labiryntu, a być może jakimś błędem albo dowcipem architekta. Jaki-

kolwiek zamysł miał jej twórca, wyglądało na to, że będzie to ich wspólna mogiła. Teraz to już na pewno nadszedł moment, żeby powiedzieć tacie, że go kocha. Znowu nie zdążył.

-- Kocham cię, synku -- usłyszał.

Jedyne, co mógł odpowiedzieć, to:

-- Ja ciebie też.

Przytulili się mocno i czekali. Mżawka powoli zmieniała się w porządną deszcz. Ojciec próbował osłonić syna połą swojej kurtki, tak jak to robił wiele razy w przeszłości, ale Marek był już na to o wiele za wysoki.

Chrobotanie z obydwu stron stawało się coraz bliższe. Teraz oprócz kroków dało się z niego wyłowić również pomruki czy może ślady słów. Marek był prawie pewien, że wśród dyszenia i pochrząkiwań słyszy: "zostańcie, zostaaaaaańcie".

Może Gościni jest już bardzo, bardzo głodna, pomyślał. A my jesteśmy dla niej jak wspaniały przysmak albo narkotyki. Nie może się już doczekać, kiedy wchłonie nasze mózgi i nasyci się naszymi marzeniami, albo czym ona się tam żywi. Dlatego zrobiła się taka niezdarna i pospieszna. Jak narkoman wyniszczony nałogiem, odrzucający wszelkie pozory człowieczeństwa na widok upragnionej strzykawki.

Do komnaty, w której się znajdowali, prowadziły dwa wejścia. Ściągający ich mieszkańcy Uśniejowa pojawili się w nich jednocześnie. Marek nie miał pojęcia, co zamierzają zrobić. Podejrzewał, że wystarczy, by przytrzymali ich tu jakoś do świtu. Co się wtedy wydarzy? Czy faktycznie pożre ich wielka pajęczycza? A może po prostu przestaną istnieć, wchodząc łagodnie w tę pogodną noc? Na razie nie znał odpowiedzi na żadne z tych pytań.

Niespodziewanie oprócz bardzo nieodległego już chrobotania pojawił się jakiś inny dźwięk. Daleki pomruk, zwiększający swą moc w błyskawicznym crescendo. Gdyby to był film, pomyślał Marek, teraz nadleciałyby samoloty. Albo nadciągnęła kawaleria.

Niewiele się pomylił.



Jakiś rozpędzony kształt wpadł w labirynt, ze zgrzytem i warkotem przedzierając się przez kolejne warstwy roślinności. Ścianę naprzeciwko nich przebił najpierw snop jaskrawego światła. Dopiero w jego blasku Marek zobaczył, jak bardzo zmęczony jest ojciec. Wyglądał, jakby w ciągu tych kilkudziesięciu minut postarzał się o kilkanaście lat. Spotworniali mieszkańcy Uśniejowa odskoczyli i rozpierzchli się pod ścianami, jak robactwo, na które skierowano snop światła z latarki.

Następnie ścianę przebiło coś srebrnego, potem niebieskiego, aż wreszcie oczom mężczyzny i chłopca ukazała się znajoma sylwetka.

-- Suvan! -- wykrzyknęli jednocześnie.

-- Mama! -- dodał po chwili Marek, gdy drzwi samochodu się uchylły.

-- Wskakujcie, wynosimy się stąd.

## 80.

Natalia wrzuciła wsteczny i wcisnęła pedał gazu. Suvan podskoczył i z zaskakującą żwawością zaczął się wycofywać przez tunel w ciemnej zieleni ku widocznym w oddali rozmazanym światłom. Deszcz wciąż przybierał na sile. Natura zakreśliła koło. Przybyli tu w ulewę, w ulewę spróbują się stąd wydostać.

Pan Wycieczka zajął miejsce w drugim rzędzie foteli, obok syna, i rozejrzał się po wnętrzu auta. Siedzenie koło kierowcy było wolne, ale z tyłu dostrzegł Martę, która tuliła siostrzyczkę. Rodzina znów była w komplecie.

Wciąż poruszając się tyłem, opuścili labirynt, po czym Natalia nawróciła gwałtownie i znów dodała gazu. Przez dziurę w kształcie samochodu z żywopłotu zaczęły wysypywać się kolejne postaci. Jak gdyby wybili otwór w gnieździe pełnym robactwa.

-- Co to było? Co to jest? Czym oni są? -- Jaworski na przemian zakrywał oczy rękoma i odsłaniał je, wpatrując się w groteskowe cienie kłębiące się wokół labiryntu.

-- Nie wiem, nie wiem... -- Marek próbował zebrać myśli. -- Sądzę, że to coś, co próbuje nas uwięzić, ma ograniczoną moc obliczeniową... Te stwory są jak puste naczynia, z których Gościni wycofała prawie całą swą wolę, czy co tam je napędzało. Zostało jej w nich wystarczająco dużo, żeby się poruszali i próbowali nas zatrzymać, ale za mało, żeby mieli ludzki głos albo odruchy... Wyłączyły się tekstury i animacje.

Pozostali członkowie rodziny słuchali go z uwagą. W końcu był tym, który gra w gry i wie różne rzeczy.

-- Pytanie, które powinniśmy sobie teraz zadać -- kontynuował Marek -- brzmi tak: czy Gościni słabnie, czy może raczej szykuje coś naprawdę wielkiego? Może kumuluje siłę gdzie indziej, żeby zadać nam ostateczny cios?

-- Te... postaci. -- Marta się zawahała. -- Czy to możliwe, że one jednak są w jakiś sposób realne? Że... coś w nich jest prawdziwe?

Marek wzruszył ramionami. Tak naprawdę nie miał pojęcia, jak to właściwie działa.

-- Rozmawiałam przed chwilą z jedną z nich... Jej uczucia, emocje... To było prawdziwe, ludzkie. Ona... cierpiała.

-- Te emocje... Ja też je chyba odbieram... -- przyznał Pan Wycieczka. -- One są tu prawdziwsze niż cokolwiek innego.

-- A może część z tych postaci, które spotkaliśmy, to dawne ofiary Gościni, więzione przez nią od stuleci? -- zastanawiała się Marta. -- Może ona ma wiele osobowości, które jakoś ze sobą walczą? A może sama jest przede wszystkim tęsknotą i samotnością?

-- A może wszyscy umarliśmy i tak właśnie wygląda piekło? -- przerwał jej Marek. -- Serio! Od dwóch dni poważnie rozważam tę hipotezę. Zabiła nas tamta ciężarówka na zakręcie i wszystko, co się wydarzyło od tamtego czasu, to tylko chora projekcja naszych gasnących umysłów. Albo kara za to, że jadłem mięso w piątek i nie chodziłem na roraty.

Tymczasem Natalia z szaloną prędkością przejechała przez bramę parku i mijając płonące symbole, wpadła na główną ulicę wyludnionego miasteczka. Kolejny etap mieli za sobą.

-- Dokąd teraz?! -- krzyknęła.

Popatrzyli po sobie.

Suvan zatrzymał się na chwilę na mokrym, błyszczącym asfalcie. Słyszeli, jak krople deszczu łomocą o metalowy dach. Jak na kempingu.

-- Znamy tylko jedno wyjście z tego miejsca -- zasugerował Pan Wycieczka. -- Wracajmy przez mostek.

Nikt więcej się nie odezwał, więc Natalia skręciła w kierunku domu starszych państwa. Przez chwilę jechali w milczeniu.

-- To nie koniec, prawda? -- Marek wypowiedział na głos to, o czym wszyscy myśleli.

-- Cokolwiek się wydarzy, stawimy temu czoła razem.

-- Zaatakują nas? Te plastikowe dinozaury z parku...

-- To byłaby najlepsza reklama samochodów na świecie. -- Pan Wycieczka sam się zdziwił, że to powiedział. -- Widzicie to? Suvan z rodziną pędzi przez miasto, ale zamiast innych samochodów mijają wielgachne jurajskie gady. Bo wiecie, przy naszym nowoczesnym aucie konkurencja to w zasadzie przedpotopowe monstra. Dynamiczny silnik dwa i pół litra gwarantuje przyspieszenie niezbędne do tego, by umknąć raptorom. Asystent pasa ruchu i inteligentne czujniki ze wspomaganiami hamowania zajmują się obserwacją drogi, gdy ty będziesz wypatrywać pterodaktyla.

Nikt nic nie powiedział. Nikt się nie zaśmiał. Gdzieś w głębi wszyscy czuli, że to jeszcze nie pora na żarty.

-- Ja myślę, że to będą raczej Mongołowie -- powiedziała Natalia, gdy mijali zamek.

-- Albo Czerwona Kasztelanowa -- dopowiedziała Marta równie poważnym tonem. -- Rozkaże swoim ludziom nas pojmać i złożyć w ofierze krwiożerczym bóstwom.

-- Albo kasztelan we własnej osobie -- włączył się Marek. -- Jako jeździec bez głowy czy upiór Pierścienia. Coś takiego po prostu musi się wydarzyć.

Nie wydarzyła się jednak żadna z tych rzeczy. Nie nadeszły dinozaury, nie nadciągnęli Mongołowie, nie pojmała ich Czerwona Kasztelanowa, a jej mąż nie zjawił się ani z głową, ani bez niej. Dojechali do wzgórza górującego nad gospodarstwem starszych państwa, minęli ich gościnny dom, a potem krętą wąską dróżką zjechali aż do mostka.

Przed mostkiem zaś mokła samotna figura owinięta w podartą pelerynę przeciwdeszczową. Spod postrzępionych fałdów wystawały spodnie -- również podarte. Jedna nogawka była niemal zupełnie oderwana. Postać miała na plecach gigantyczny plecak i to właśnie po nim rozpoznali Heńka.

## 81.

Cokolwiek próbowało zatrzymać Heńka w Uśniejowie, musiało mieć ostre kły lub pazury. Wyglądał, jakby miał wystąpić w remake'u *Rambo* szykowanym przez Quentina Tarantino. Na podartym ubraniu się nie kończyło. W świetle samochodowych reflektorów dostrzegli, że połowa jego twarzy jest zakrwawiona. Trudno było orzec, co stało się z jego okiem, które skrywało się pod wielką plamą ledwie zaschniętej krwi. Z ubrania mężczyzny ściekały strugi wody. Stał w rosnącej kałuży, a na lewej nodze nie miał buta. W dodatku wydawał się tego nie dostrzegać. Wciąż podpierał się kijem, który trzymał w ręce, gdy widzieli go po raz ostatni. Zrobił kilka kroków w ich kierunku i zobaczyli, że kuleje jeszcze bardziej niż wtedy. Właściwie ledwo się poruszał.

Jaworski wyskoczył z samochodu. Nie narzucając nawet kaptura, podbiegł do starego hipisa.

-- Wskakuj do samochodu! Zabieramy się stąd. -- Wyciągnął rękę w kierunku Heńka, ale ten cofnął się jak oparzony.

-- Groza, groza -- powtarzał.

-- To już koniec. -- Jaworski próbował go uspokoić. -- Cokolwiek chciało cię zabić, już cię nie dopadnie. Za tym mostkiem będziemy bezpieczni.

Heniek zaczął się śmiać. Był to straszny śmiech. Śmiech człowieka, który stanąwszy oko w oko z tym, czego nikt nie powinien oglądać, postradał w końcu zmysły.

-- Nic nie rozumiesz. -- Pokręcił głową, po czym jego zdrowe oko wbiło się w Jaworskiego. -- Nadal nic nie rozumiesz, prawda?

Teraz Pan Wycieczka się cofnął, aż oparł się plecami o samochód.

-- To wcale nie chce nas zabić -- wychrypiał Heniek. -- To chce nas tutaj zatrzymać. Za wszelką cenę. Nie chce nas skrzywdzić, ale nie zawaha się przed niczym, żeby osiągnąć cel.

Pan Wycieczka, wciąż patrząc na Heńka, starał się wymacać za plecami kłamek suwana.

-- Jeśli spróbujecie wjechać na ten mostek, on zawali się i wpadniecie do strumienia. Jest dużo, dużo większy i głębszy, niż był przed trzema dniami. Uwierz mi.

Dopiero teraz Jaworski zastanowił się, dlaczego właściwie Heniek jest kompletnie przemoczony. Czy tylko z powodu deszczu? A może mężczyzna próbował przepłynąć strumień?

-- To drapieżnik -- kontynuował stary hipis. -- Cokolwiek to jest, ma instynkt łowcy. Nie wypuści nas. Jest zbyt głodne. Nie zawaha się przed niczym -- powtórzył. W jego oku tlił się obłęd.

-- Wymyślimy coś. Razem coś wymyślimy. -- Jaworski wyciągnął przed siebie ręce w uspokajającym geście.

-- Panie Henryku... -- Marta otworzyła przesuwne drzwi. -- Znaczący Heńku. Proszę wejść do auta, naradzimy się.

Natalia wyłączyła silnik i wysiadła z samochodu.

Jaworski tymczasem podszedł do mostka. Faktycznie, nie budził zaufania. Wyglądał znacznie gorzej, niż gdy przekraczali go po raz pierwszy. A hucząca pod nim rzeka w niczym nie przypominała strumienia, który zapamiętał.

Pan Wycieczka odwrócił się i podszedł do Heńka.

-- Nie wygląda solidnie -- przyznał mu rację. -- Zostawimy samochód i spróbujemy przejść pieszo, jedno za drugim. Użyjemy linki holowniczej jako asekuracji. Wsiadajcie.

Heniek znowu się roześmiał.

-- Niesamowite! Ty naprawdę nic nie rozumiesz. To nas nie wypuści. Ani samochodem, ani pieszo, ani gęsiego, ani parami, z liną czy bez liny. Jest tylko jedna szansa.

Popatrzyli na niego. Deszcz się wzmagał.

-- To jest głodne, ale nie zachłanne. Jak każdy drapieżnik ma swoją strategię. Pamiętacie historię o trzech braciach? Gościni nie potrzebowała zatrzymać wszystkich, zadowolili się jednym, tym najmłodszym. Jak prawdziwy drapieżnik! Napada na stado, ale wybiera najsłabsze sztuki. Wszyscy jej nie uciekniemy. Możemy się wydostać pod warunkiem, że kogoś zostawimy.

Jaworskiemu coraz bardziej się to wszystko nie podobało. Do czego zmierzał ten dziwny człowiek?

-- To prawo doboru naturalnego. Zawsze tak było. Drapieżnik pożera najsłabszych.

-- Twierdzisz, że ktoś musi zostać? -- Pan Wycieczka pokręcił głową. Czyżby Heniek zamierzał odegrać łzawą scenę, w której oznajmi, że chce poświęcić życie dla turystów poznanych przed trzema dniami?

-- Twierdzę, że ty zostajesz!

Jaworski za późno zobaczył w ręku hipisa metalowy przedmiot pokryty zakrzepłymi brązowymi plamami. Zakrzywiony nóż uniósł się, a potem opadł na korpus Pana Wycieczki i zagłębił się w jego boku. Buchnęła krew, która natychmiast zmieszała się z błotem i strugami deszczu. Jaworski osunął się na kolana, a sekundę później runął twarzą do przodu i momentalnie pogrążył się w ciemności. Wokół niego rozlewała się czarna kałuża. Ostatnie, co usłyszał, to krzyk Natalii.

Tak bardzo chciał ją przytulić i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

## 82.

Natalia weszła do sypialni w wieczorowej sukience. Wyglądała wspaniale.

-- Jednak jedziesz z nami? -- Jaworski odwrócił się od lustra, przed którym od dziesięciu minut bezskutecznie próbował zawiązać krawat. -  
- A co z badaniem?

-- Wszystko obmyśliłam. -- Żona uśmiechnęła się do niego szelmowsko. -- Będę w dwóch miejscach naraz.

-- To jakieś czary? -- Zostawił krawat w spokoju i podszedł do niej.

-- Może i czary. Ale nie ma nic za darmo. -- Założyła mu ręce na szyję. -- Zjem ciasteczko i będę miała ciasteczko. Policzyłam, że jeżeli podjadę samochodem, zdążę na badanie i spóźnię się na galę nie więcej niż pół godzinki. Ominą mnie nudne gadki sponsorów, nie ominie mnie wręczenie nagrody.

W odpowiedzi objął ją mocno w pasie i pocałował. Był taki szczęśliwy. Ta nagroda wiele dla niego znaczyła. Tak prestiżowe wyróżnienie po pierwszym roku na YouTube to było dokładnie to, czego potrzebował. Dowód, że postąpił właściwie, stawiając wszystko na jedną kartę i rzucając szkołę. Będą mogli się z tego utrzymać. Udowodnił światu, ile jest wart. A jego rodzina była z nim. Wspierała go na każdym kroku. To była nagroda dla nich wszystkich.

-- Wspaniale -- wydusił wreszcie. -- Zaraz, zaraz... Ale skoro ty bierziesz samochód...

-- To znaczy, że Pan Wycieczka ze swoimi Wycieczkowymi Dziećmi i uroczo niemodnym krawatem będzie musiał udać się na wycieczkę autobusem. Albo taksówką, jak woli.

Pocałowała go w nos.

-- Ej...

-- Nie ma nic za darmo. -- Rozłożyła ręce. -- Księżniczka musi dotrzeć na bal zaczarowaną karetą.

-- Dzieciaki! -- zawołał. -- Dzieciaki!



Odpowiedziała mu cisza. Wszedł do salonu. Obydwoje siedzieli z nosami w komórkach.

-- Zbieramy się.

-- Czy moja prośba została rozważona? -- zapytała Marta tonem, który stanowił werbalny odpowiednik podania.

-- Przecież wiesz, że dziś wieczorem całą rodziną jedziemy na galę.

-- Mamy nie będzie -- targowała się Marta.

-- Mama właśnie znalazła sposób, żeby do nas dołączyć.

-- To może znajdzie też sposób, żebym ja po tej niezwykle ważnej gali mogła dotrzeć na domówkę u Kaśki? Zaraz zaczyna się rok szkolny. To będzie pożegnanie wakacji.

-- Młoda damo... -- Jaworski czuł, że został pokonany. -- Całonocne imprezy są jeszcze absolutnie poza twoim zasięgiem. Bez dyskusji.

-- Oczywiście, że nie całonocne. Ale może mogłabym dołączyć po gali, a koło pierwszej byś mnie odebrał? -- zapytała Marta przebiegle.

-- Jeżeli miałaś na myśli północ, jak w bajce dla grzecznych dziewczynek, to jest szansa, że to się wydarzy. W końcu mamy dziś czarodziejską noc.

Marta pocałowała go w policzek. Marek nadal nie odrywał wzroku od ekranu.

-- A teraz się zbierajcie. Musimy wyjść za pół godziny.

-- Pół godziny?! -- Marta w panice pobiegła do swojego pokoju. -- Ja nawet nie wiem, w co się ubrać!

-- Marek... -- Jaworski dźgnął syna wyciągniętym palcem, sprawdzając, czy jeszcze żyje.

-- Mhm?

-- Przebieraj się. Za pół godziny wychodzimy.

-- Mhm. Idę w tym. -- Marek nasunął na głowę kaptur bluzy i ściągnął go troczkami. -- Bez odbioru.

-- Świetnie ci poszło. -- Natalia stała za nim, gotowa do wyjścia. Na sukienkę narzuciła nowy płaszcz, który wybrali razem kilka tygodni wcześniej.

-- Już się nie zapnie, ale wygląda ślicznie. -- Uśmiechnął się do niej.  
-- Do zobaczenia na gali.

-- Nie zapomniałeś o czymś? -- Natalia stała bez ruchu z wyciągniętą dłonią. Pan Wycieczka popatrzył na nią pytająco. -- Kluczyki. Nie dałeś mi kluczyków.

-- Jasne! -- Skoczył do szafy, żeby wyjąć kluczyki z kieszeni kurtki. Objęli się jeszcze raz.

-- Jedźcie ostrożnie. -- Pogłaskał ją po brzuchu wielkim jak piłka plażowa. Nie lubiła tego gestu, ale tym razem poprzestała na potarganiu mu włosów. Taka mała zemsta.

-- Robię USG i pędzę do was. Jeśli będzie kolejka do gabinetu, to mimochodem wspomnę, kto jest moim mężem. Powinno zadziałać.

Jaworski poczuł dumę. W ciągu roku udało mu się dużo osiągnąć. Wyglądało na to, że szczęście wreszcie uśmiechnęło się do jego rodziny. A przecież najlepsze dopiero przed nimi!

-- Tylko żebyś nie przyjmował żadnych propozycji na najbliższe dwa miesiące! -- rzuciła Natalia już w drzwiach. -- Nie chcemy, żeby Marysia urodziła się w aquaparku albo w parku linowym!

## 83.

Heniek patrzył na kałużę krwi rosnącą wokół Jaworskiego. Nie czuł smutku. Nie czuł też satysfakcji. Wypełniał go szum. Wezbrany potok przelewający się pod mostkiem przeniknął do jego głowy i porwał wszelkie myśli, emocje i plany.

Natalia rzuciła się do męża, a nieartykułowany krzyk ułożył się w jego imię.

-- Będzie dobrze, wszystko będzie dobrze -- powtarzała bezmyślnie, próbując unieść jego wiotczące ciało. Jak gdyby był dmuchaną zabawką, z której ktoś wyjął korek, pomyślała.

Marysia wyrwała się z objęć Marty i podbiegła do ciała leżącego na ziemi. Zacisnęła pięści i odwróciła się do Heńka.

-- Tatuś... Skrzywdziłeś tatusia...

Mężczyzna spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem. Szum w skroniach trochę przycichł. Heniek przypomniał sobie, jaki miał plan. Otarł z twarzy wodę zmieszaną z krwią i zrobił krok w kierunku dziewczynki. Trzeba walczyć. Zostawić za sobą trupy, którymi nasyci się drapieźnik.

-- Musiałem, kochanie, musiałem. -- W jego ręku błyszczał ten okropny zakrzywiony nóż. -- Nie rozumiesz tego, ale tak działa świat. Prawo doboru naturalnego. Przyroda jest okrutna. Śmierć jest częścią życia. Słabsi muszą umrzeć, żeby silniejsi przeżyli... -- bełkotał coraz mniej składnie. -- A ty będziesz następna. Nie mogę ryzykować. Musisz tu zostać.

-- Marysia, nieeee... -- Marek rzucił się w jej kierunku, ale było już za późno.

-- Zostaniesz tutaj. -- Nóż Heńka błysnął w powietrzu, rozmywając się w złowrogą srebrzystą smugę.

-- Tak. -- Głos dziewczynki był cichy i zupełnie spokojny.

Jaki zimny, pomyślał w ułamku sekundy Marek. Zimniejszy niż metal. Ostrzejszy niż nóż.

I wtedy Marek przypomniał sobie wszystko. Uświadomił sobie tę przerażającą rzecz, która dręczyła go od początku, wciąż kryjąc się tuż za krawędzią pola widzenia. Uchwycił myśl, która umknęła mu pierwszej nocy, gdy zasypiał pod czujnym spojrzeniem drewnianych maszkaronów. "Przecież mogłoby tu spać jakieś małe dziecko. Mogłoby się wystraszyć..." Ale dziecka nie było.

Kiedy trzy dni temu wjeżdżali na mostek, miejsce koło niego było puste. W samochodzie było ich pięcioro, nie sześcioro.

## 84.

Państwo Jaworscy siedzą na łóżku w nowym, przestronnym mieszkaniu. Kupili je za pieniądze zarobione w pierwszym roku youtube'owej działalności. Otaczają ich piękne, drogie przedmioty. Każdy z nich jest starannie dobrany. Każdy jest nowy i dobrze wykonany. Każdy przypomina im o tym, jak bardzo są nieszczęśliwi od dnia wypadku.

-- On wyrósł jak spod ziemi... -- szlocha Natalia.

Powtarza to w kółko. Jakby to było zaklęcie, które może coś zmienić. Jaworski przypomina sobie, jak usłyszał te słowa pierwszy raz, ponad trzy miesiące temu. Wtedy wokoło pikała i szumiała szpitalna aparatura. Z jakiegoś powodu ten dźwięk kojarzył mu się z lasem. Jak gdyby wiele małych zwierzątek dawało piszczący i gwizdzący koncert, niesynchronizowany i spontaniczny, a mimo to harmonijny.

-- Przecież dobrze wiesz, jak było. Policjanci powiedzieli, że zjechał ci z krawężnika tuż przed maską. -- Jaworski głaszcze żonę uspokajającym gestem. -- Chciał ominąć coś, co leżało na chodniku. To nie była twoja wina. Poza tym żyje, wylize się z tego. Długo nie wsiądzie na rower, ale żyje.

Rozpłakała się. Niepotrzebnie to powiedział.

-- Natalia, minęły trzy miesiące. Musimy żyć dalej. Musimy wrócić do pracy.

-- A ty znowu o tym samym...

-- Musimy z czegoś żyć. Mamy kredyt, zaległości...

-- Nie będę nagrywała z tobą tych głupich filmów. Jak możesz myśleć o tym, żeby się śmiać i wydurniać do kamery, po tym, jak straciliśmy dziecko?

-- To tylko praca. Jestem jak klaun. Nikt nie chce oglądać smutnego youtubera. Muszę żartować. Musimy nagrać tę świąteczną serię. Taka okazja się nie powtórzy.

Natalia ukrywa twarz w dłoniach.

-- Natalia... Nie mam wyjścia. -- Próbuje ją przytulić, ale żona odtrąca jego rękę. -- My... My nie mamy wyjścia...

-- Straciliśmy ją... Naszą małą córeczkę...

Przecież ją rozumie. Czuje to samo. Też ciągle myśli o pustej kołysce.

Tamtej nocy, gdy wrócił ze szpitala, usiadł i płakał, wpatrując się w kołyskę, którą kupili, czekając na narodziny małej. Wziął wtedy tę kołyskę razem z wielką różową kokardą, którą wciąż była ozdobiona, i zniósł do śmietnika. Nie postawił jej obok, w altance, jak zwykli to czynić ekologicznie nastawieni mieszkańcy osiedla Pod Dębem, tylko cisnął z impetem do wielkiego kontenera. Delikatne drewno się rozszczępiło, przybierając kształt rozdziawionej paszczy wypełnionej drzazgami. Wrócił na górę, ciężko dysząc. Usiadł na kanapie. Patrzył na puste miejsce po kołysce i czuł, że ona nadal tam stoi. Nie tak łatwo będzie wyrzucić ją z pamięci.

Minęły trzy miesiące i okazało się, że miał rację. Pusta kołyska wciąż stoi w ich pokoju. Widzą ją obydwójce za każdym razem, gdy rano otwierają oczy. Widzą ją wieczorem, zasypiając. Ujawnia się w tle na ich wspólnych zdjęciach. Potykają się o nią, gdy idą w nocy po szklanekę wody.

-- Wiem, że potrzebujesz czasu. Chodzisz na terapię, wszystko się ułoży. Ale może mogłabyś wystąpić w jednym głupim filmie? Założysz tę czerwoną sukienkę, weźmiesz blender, nie musisz nic mówić...

Ona coś szepce. On nie słyszy. Przysuwa się bliżej.

-- Nienawidzę cię.

## 85.

Marek przypomniał sobie wszystko. Uświadomił sobie tę przerażającą rzecz, która dręczyła go od początku, wciąż kryjąc się tuż za krawędzią pola widzenia. Kiedy trzy dni temu wjeżdżali na mostek, miejsce koło niego było puste. Tak samo smutne i puste od czterech lat. Od dnia wypadku mamy. Miał tylko jedną siostrę, starszą.

-- Zostanę tutaj. Ale ty zostaniesz ze mną -- słowa dziewczynki przeszły w krzyk, który szybko przybierał na sile. Marek cofnął się jak odrzucony falą uderzeniową.

Marysia krzyczała głośniejsze, niż mogłoby krzyczeć jakiekolwiek dziecko. Wydawała z siebie dźwięk bardziej przenikliwy niż jakikolwiek głos wydawany przez istotę ludzką. Jej usta otwierały się coraz szerzej, ukazując kolejne rzędy drobnych zębów, ostrych jak igiełki.

Jak Pac-Man, przypomniał sobie Marek. To ona... To jej postać przedstawiała drewniana figurka...

Nóż wyslizgnął się z bezwładnej ręki hipisa. Heniek upadł na kolana, tak jak przed kilkudziesięcioma sekundami upadła jego ofiara. Próbował zasłonić głowę rękoma w geście odziedziczonym po zwierzęcych przodkach. Groza odarła go ze wszystkiego, co ludzkie.

Marek chciał się odwrócić albo zamknąć oczy, ale nie mógł. To, co działo się przed nim, było zbyt dziwaczne, by niepatrzenie mogło cokolwiek zmienić. I tak wiedziałby, że to się wydarzyło. I tak wiedziałby, jak to wyglądało, brzmiało i jak pachniało.

To była Gościni w swej prawdziwej postaci.

Paszczka rozwarła się szeroko, na ponad metr. Oczy dziewczynki zniknęły pod fałdami skóry lub czegoś, co wyglądało jak skóra. Na ułamek sekundy potwór się zatrzymał, a potem błyskawicznym ruchem znalazł się przy Heńku i pożarł go. Jednym straszliwym kłapinięciem oderwał głowę i połowę torsu.

Natalia patrzyła na to widowisko, wciąż tuląc bezwładne ciało męża. Nigdy nie miała córeczki Marysi, choć tak bardzo chciała ją mieć. Pragnęła tego najbardziej na świecie.

Nie czuła zgrozy, nie czuła strachu. Owładnęło nią to samo obezwładniające uczucie, które przejęło kontrolę nad jej życiem cztery lata temu, w dniu wypadku. Znów była pusta w środku, wydrążona.

Rozszarpawszy starego hipisa, monstrum powoli zaczęło przybierać z powrotem ludzki kształt. Jakby ktoś puścił od tyłu horror, który oglądali przed chwilą. Paszcza się zmniejszała, zęby znikwały, ponownie ukazały się oczy.

Znów stała przed nimi mała dziewczynka, którą opiekowali się przez ostatnie trzy dni.

-- Boję się -- powiedziała Marysia.

Wówczas wydarzyła się kolejna rzecz, której żadne z nich się nie spodziewało.



## 86.

Marta podbiegła do dziewczynki i przytuliła ją. Tak po prostu. Jakby to, co przed momentem widzieli, wcale się nie wydarzyło. Marek pomyślał, że siostra zwariowała albo uległa jakiemuś opętaniu, że właśnie ogląda kolejny czar Gości. Po chwili jednak zrozumiał.

-- Ona się boi... -- odezwał się cicho. -- Też to czuję.

-- Boi się i jest samotna -- dodała Marta. -- Tak bardzo, bardzo samotna. Ona naprawdę jest jak mała dziewczynka w ciemnym lesie. Chciałaby tylko, żeby ktoś tu z nią został.

-- Nie -- powiedziała stanowczo Marysia. -- Musicie odejść. Rozumiem, że musicie odejść. On musi natychmiast dostać pomoc.

Popatrzyli na ранego ojca, z którego z każdą sekundą uchodziło życie.

Natalia poczuła, że po policzkach płyną jej wielkie łzy, które mieszają się z deszczem i kroplami krwi.

-- Pan Kot... -- wyszeptała dziewczynka.

-- Pan Kot?

-- Muszę być jak Nieustraszony Pan Kot. Pan Kot nie boi się niczego. Nie boi się nawet snów ani spania, ani tego, co jest po drugiej stronie.

-- Odejdź z nami. -- Natalia nie odrywała od niej wzroku. Nie potrafiła zobaczyć w niej potwora. Wciąż widziała swoją ukochaną córeczkę.  
-- Czy możesz z nami odejść?

-- Nie mogę. Stałoby się wtedy coś... -- Marysia szukała odpowiedniego słowa. Nie znalazła go. W końcu znów była tylko zagubioną czterolatką. -- Po prostu nie mogę.

-- A czy my możemy tu kiedyś wrócić?

Dziewczynka pokręciła głową.

-- Jedźcie już. Nie macie wiele czasu.

Zajęli miejsca w samochodzie.

-- A czy będziemy cię przynajmniej pamiętać? -- Marta też płakała.  
-- Czy wspomnienia, które stworzyłaś, zostaną z nami?

-- Z czasem wyblakną. Bardziej niż zwykle wspomnienia. Mniej niż wspomnienie snu.

Bez niespodzianek przejechali przez mostek. Natalia prowadziła, Marta siedziała za nią, zakładając prowizoryczny opatrunek na ranę ojca. Mocno krwawił, a ona niewiele pamiętała z zajęć o udzielaniu pierwszej pomocy.

Siedzący w ostatnim rzędzie Marek popatrzył za siebie. Ciągle tam była, skąpana w czerwonym blasku wstecznych świateł auta. Stała pochylona nad rozpołowionym trupem człowieka, który chciał ich zabić. Stała i chyba... machała im.

Natalia spojrzała w lusterko. Zobaczyła małą dziewczynkę, bardzo samotną, w wielkim ciemnym lesie. Wydawało jej się, że coś za nimi woła, chociaż z tej odległości nie mogła przecież dostrzec ruchu ust ani tym bardziej usłyszeć głosu. A jednak wiedziała.

-- Mamo, tato, kocham was kocio.

# POSTSCRIPTUM

## Gdzie zamieszkali Pradawni Bogowie?

*Nie musisz czytać tego postscriptum. Chyba że chcesz. Nie napiszę tu, czy Jaworski przeżył ani co działo się później z jego rodziną. Zamiast tego chciałbym powiedzieć kilka słów o tym, skąd się wziął pomysł na tę opowieść (poza tym, że przyśnił mi się pewnej nocy pod koniec rodzinnych wakacji w Beskidach).*

Kiedyś rósł tu las.

W lesie była polana, a na polanie stał stary dąb. Przez stulecia drzewo istniało samo dla siebie, aż pewnego dnia w jego cieniu zasnął wędrowiec. Wędrowcowi przyśnił się dąb, co nie było szczególnie dziwne, bo przecież często śni nam się właśnie to, o czym myśleliśmy przed snem. Wędrowiec jednak uznał to za znak. Tak rozpoczęła się współpraca, korzystna dla obu stron.

Pod dębem zbierało się najpierw po kilka osób, potem po kilkanaście, wkrótce -- po kilkadziesiąt. Każdego popołudnia cień dębowych liści drgał na twarzach ludzi, którzy trzymali się za ręce, śpiewali albo powtarzali magiczne formuły. Drzewo nie znało ich języka, a oni nie znali mowy drzew. Mimo to odbywał się między nimi dialog. Dąb dawał ludziom poczucie bezpieczeństwa -- był żyrantem trwałości rodzin, plemion i sojuszy. W świecie, w którym czas liczono w godzinach i dniach, pozostawał symbolem innego porządku -- odmierzanego upływem wieków.

Trudno nazwać to, co ludzie oferowali w zamian. "Oddawanie czci", "modlitwy" czy "składanie ofiar" to niedoskonałe nazwy, które dziś nadajemy tego typu opłatom. Żadna z nich nie ujmuje w pełni istoty paktu zawartego u zarania dziejów między starym dębem a wędrowcem, który odpoczywał w jego cieniu. Najlepiej chyba powiedzieć, że przedmiotem ich transakcji był Sens -- nieuchwytny surowiec stanowiący tworzywo mitów. Dąb nadawał sens ludzkim poczynaniom. Ludzie, wytworzywszy sens, dzielili się nim z drzewem.

Dębu dawno już nie ma. Po polanie nie został ślad. Las wycięto wiele lat temu, usunięto karpy, ziemię zaorano. Przez siedem pokoleń rozciągały się tutaj pola. Z czasem pośród pól wyrosła wieś. Przez wieś biegła droga. Drogę przecięła kolejna, większa.

Lubimy fantazjować o lesie, który podchodzi pod mury zamku, by ukarać tyrana. Niestety w prawdziwym świecie zdarza się to rzadko. Zwykle to raczej mury wdzierają się do lasu. Otaczają go, potem dzielą, wreszcie -- przykrywają. Miasto było najpierw dziesięć kilometrów od miejsca, w którym kiedyś rósł dąb, potem kilometr, wreszcie sto metrów. Dziś "z myślą o tych, którzy chcą od życia więcej", powstaje tu "nowoczesna inwestycja w okolicy tętniącej życiem, osiem minut od stacji metra".

Im więcej drzew wycinają deweloperzy, tym chętniej umieszczają je w nazwach swych osiedli: Sosnowa Polana, Brzozowy Gaj, Lipowa Ostoja, Bukowa Osada, Pod Kasztanami, Pod Klonami, Pod Jodłami... Do tego drzewa w logo -- realistyczne, stylizowane, geometryczne, tradycyjne i nowoczesne. I oczywiście mnóstwo drzew na wizualizacji, zwykle dyskretnie przyczajonych tuż poza granicami nieruchomości. Tak się złożyło, że osiedle, o którym tu mowa, nazywa się akurat Pod Dębem.

Można powiedzieć, że to przypadek, bo przecież nikt już nie pamiętał o tamtym dawno wyciętym drzewie. Ale przecież przypadek to tylko kolejne z wielu imion, jakie nadajemy aktom interwencji pradawnych bogów.

Dąb zatem przetrwał. Nie jako materialny obiekt, bo po nim nie pozostał nawet spróchniały pień, lecz jako opowieść o drzewie, pieśń o nim, legenda. Obraz drzewa dającego schronienie inspirował ludzi, pozwalał im marzyć, stawiać czoła trudnościom i jednoczyć siły w walce z wrogiem. Dąb z mitu stał się symbolem, przepisem na dobre życie. Ten dąb, w przeciwieństwie do konkretnego drzewa czy osiedla, których czas jest zawsze policzony, to byt przedwieczny i niemal nie-

śmiertelny. Jest jednym z Pradawnych Bogów. Dlatego może się odrodzić w umyśle dewelopera i pokierować rękoma grafika przygotowującego logo.

Ludziom wydaje się czasem, że pomysłowo posługują się mitami do osiągnięcia swych celów. To złudzenie. Ludzie nie są w stanie wykorzystać mitów. Jest na odwrót. Może nam się wydawać, że jesteśmy bardzo sprytni, ale to mity wykorzystują nas i naginają do realizacji swych pragnień.

Nawet wtedy, gdy ludzie zapomnieli o starym dębie, on pamiętał o nich. Bo z punktu widzenia badań nad mitem to nie dąb przyśnił się wędrowcowi. To raczej wędrowcy są tylko snami, które śnią się Pradawnym Bogom.

Piszę to z pełną powagą, mając na myśli zjawisko, które wielu filozofów i socjologów ujmowało w twierdzeniu, że to nie my mówimy językiem, lecz język mówi nami. Mity kierują ludzkimi poczynaniami niepostrzeżenie, proponując nam utarte ścieżki, poręczne metafory i sugestywne obrazy. To właśnie ową moc wpływania na ludzkie działania pozwalam sobie w tym eseju spersonifikować i nazwać Pradawnymi Bogami. Dokładnie tak, jak to czyniono przez tysiąclecia poprzedzające Wielkie Wygnanie, a więc w czasach, kiedy jeszcze rósł tu las.

O Wielkim Wygnaniu napisano niejedną książkę. Bywa nazywane rewolucją przemysłową czy rewolucją naukową, odczarowaniem świata albo po prostu nowoczesnością. Mircea Eliade pisze wprost o zabijaniu bogów, Umberto Eco -- łagodniej, o spychaniu ich do podziemia. Są też autorzy, którzy opisują Wygnanie jako eksmisję bogów z wyobrażonego centrum na (również wyobrażone) peryferia.

W pewnym momencie w miastach Europy Zachodniej narodziło się nowe rozumienie mitów jako tego, co bzdurne, dziecinne, prymitywne i niedopieczone. Pozwoliło to na zbudowanie poczucia wyższości grup, które już się od "zabobonów" uwolniły. Z takiej perspektywy dorośli jawią się jako "mądrzejsi" niż dzieci, mężczyźni jako "bardziej racjonalni" niż kobiety, a biali Europejczycy jako "lepiej rozwinięci" niż mieszkańcy kolonizowanych krajów. Odczarowywanie świata staje się usprawiedliwieniem dla władzy, dyskryminacji lub przemocy.

Warto oczywiście napiętnować zło, do którego doprowadziła wiara w Wielkie Wygnanie. Najciekawsze wydaje mi się jednak to, że ideologie wyższości przy bliższych oględzinach same okazują się mitami. Dumni z siebie piewcy nowoczesności pozostają w gruncie rzeczy gorliwymi czcicielami Pradawnych Bogów!

Wielkie Wygnanie bowiem to najsprytniejszy numer, jaki wykreślił nam Pradawni Bogowie. Człowiek nowoczesny, jak zwrócił uwagę Eliade, ma poczucie, że sacrum stoi pomiędzy nim a jego wolnością, że "nie może być naprawdę wolny, zanim nie zabije ostatniego z bogów" [1]. I tak się poświęca temu zabijaniu, że staje się ono jego obsesją, następnie -- misją, aż wreszcie -- religią. Bardzo jesteśmy dumni ze swojego awansu ze "stadium mitycznego" do "wieku rozumu". Im więcej bogów zabijemy, tym wyżej się wespniemy po Jakubowej drabinie postępu. Im wyżej się wdrapiemy, z tym większym dystansem możemy spoglądać na tych, którzy wciąż znajdują się niżej od nas.

W ten sposób oczyszczanie świata z mitów samo okazuje się kluczowym mitem kultury nowoczesnej. Wielkie Wygnanie jest złudzeniem,

które Pradawni Bogowie rozpięli przed naszymi oczyma, by tym skuteczniej organizować nasze życie. Nigdy nie odeszli. Zmienili szaty i rekwizyty, zawiązali nowe alianse, ale wciąż są z nami. Ich moc nie osłabła. Starzy bogowie doskonale poradzili sobie w epoce stali i pary, zza kulis kierowali ludźmi w straszliwym wieku ropy naftowej, a teraz urządzają się wygodnie w epoce cyfrowych wizualizacji. Osiedle Pod Dębem to tylko jedno z wielu miejsc, w których ich wpływ jest szczególnie widoczny.



Tam, gdzie niegdyś rozwidlała się niewielka ścieżka, po latach skrzyżowały się dwa gościńce, a potem zbudowano zajazd. Dziś w tym miejscu stoi stacja benzynowa. Zamieszkuje ją -- nazywany nowym imieniem -- ten sam demon, z którym przed wiekami układali się zbłąkani podróżni i czarnoksiężnicy szukający zakazanej wiedzy. Teraz cyrograf z nim podpisują politycy pragnący zjednać sobie przychyłność wyborców. Przypomnijcie sobie ich selfie z hot dogami i kawą na stacjach benzynowych albo konferencje prasowe pod słupami z cenami paliw! Pomyślcie o żyłach ropociągów i trasach tankowców oplatających nasz świat; o wojnach toczonych w imię boga ropy, o składanych mu ofiarach. Albowiem bóg ropy nic nie daje za darmo. Ropa to krew. Ropa musi płynąć!

Albo inny przykład, bliższy temu, co przydarzyło się rodzinie Jaworskich. W miejscu, gdzie wiele lat temu zatrzymywali się wędrowcy, aby w osłupieniu kontemplować bezkres morza, dziś rozciąga się plaża pogrodzona parawanami. Kapryśne bóstwo, które niegdyś hojnie rozdelało ryby lub w gniewie roztrzaskiwało łodzie, dziś, korzystając z unijnych dopłat, przerzuciło się na turystykę. Z wieży ratownika patroluje zaklinaniu dobrej pogody i budom z goframi, strzeże przed inwazją sinic. Miejsce świąt przeznaczonych dla bogów zajął czas wolny, w którym człowiek oddaje cześć samemu sobie? Tak nam się tylko wydaje! Nad fantazjami o rajach na ziemi i niekończących się tropikalnych wakacjach nadal czuwają Przedwieczni.

Albo Święty Mikołaj... Nawet nie będę rozwijał tematu! Dość powiedzieć, że to jedno ze starych bóstw chaosu, przebrane dla niepoznaki w czerwony kubrak. Jak wyjaśnia Stephen Nissenbaum, autor książki *The Battle for Christmas*, w dawnych społeczeństwach rolniczych grudzień stanowił punkt zwrotny. Żniwa zakończone, zapasy na zimę zgromadzone. Idealna pora, żeby zabić kilka zwierząt, bo temperatura spadła na tyle, by uchronić mięso przed natychmiastowym zepsuciem. Ale nie przez bardzo długi czas. Stąd zachęta do wielkiej

wspólnotowej uczty, obficie podlanej świeżo sfermentowanym o tej porze winem i piwem. Posileni mięsem i podnieceni winem ludzie obierają sobie za przewodnika Pana Zamętu, który podpowiada im, że w tym wspaniałym czasie zasługują na jeszcze więcej. Rozochocony tłum łomocze do bram bogatych obywateli, żądając od nich jadła, napojów i pieniędzy. Jeśli ich nie dostaną, zemszczą się paskudnie. Posłuchajcie sobie starych pieśni kolędników. Pełno w nich żądań, pogróżek i przemocy.

Pradawni Bogowie i ich współcześni wyznawcy są wśród nas. Nie widzimy ich, bo daliśmy się nabrać na historyjkę o czystym rozumie wolnym od mitów. Jak to pięknie ujął Baudelaire: "Najpiękniejszą sztuczką Diabła było przekonanie was, że nie istnieje!"[\[2\]](#).

Gdzie zatem szukać Pradawnych Bogów? Najlepiej w miejscach, które Jolanta Brach-Czaina nazywała szczelinami istnienia. Nasz świat, przekonywała filozofka, składa się z kolorów, faktur, ciężarów -- "drobin bytu", które "domagają się uwagi"[3]. Najwięcej sensu widzimy i rozumiemy nie wtedy, gdy nasza myśl dryfuje ku abstrakcjom, lecz wtedy, gdy trzymamy w rękach dorodny owoc wiśni albo -- jeszcze lepiej -- kiedy lepimy pierogi z wiśniami.

Nie jestem pewien, czy diabeł faktycznie tkwi w szczegółach, ale Pradawni Bogowie z pewnością zamieszkują właśnie owe "drobiny bytu". Ich domami są stacje benzynowe, billboardy, stadiony i plaże. Ich świątyniami -- zamki, skanseny, a także aquaparki i dinoparki wznoszone za dotacje z Unii Europejskiej. Moc starych mitów znacznie lepiej wyraża się w konkretności niż w abstrakcyjnych ideach. Przez te drobiazgi ("szczeliny istnienia") wdzierają się do naszego świata mitologiczne istoty nazywane starymi lub nowymi imionami.

W zasadzie to Pradawni Bogowie nie mają imion w ścisłym tego słowa znaczeniu. Czy może raczej -- mają ich zbyt wiele, by przywiązywać do nich wagę. Przybierają tyle tożsamości i pseudonimów, że łatwo się pogubić. To część ich kamuflażu, ważny element przekreślenia znanego jako Wielkie Wygnanie. Pradawni Bogowie rozmienili się na drobne, by tym bardziej spotęgować swą obecność. Dlatego właśnie znacznie łatwiej ich dostrzec, jeżeli za punkt wyjścia obierze się nie abstrakcyjne nazwy, lecz konkretne obrazy i działania.

Przy bliższym oglądzie okazuje się, że wartości nie są czystymi ideami. Mają materialną konkretność -- zupełnie jak owoce. Wszyscy możemy cenić wolność, ale kompletnie nie zgadza się co do tego, jak ona wygląda, z czym się wiąże albo kto ją symbolizuje. Zgodnym chórem powtarzamy: "rodzina", "państwo", "naród" albo "Europa", często jednak się zdarza, że oddajemy cześć różnym bóstwom, choć czcimy je pod wspólnym imieniem.

Możliwa jest też sytuacja odwrotna, gdy wiele różnych nazw nadajemy tej samej istocie czy idei. Niektórzy Pradawni Bogowie, ci najbardziej rozsmakowani w ludzkiej krwi, korzystają z tego w wyjątkowo perfidny sposób. Objawiają się mianowicie po dwóch stronach granicy pod różnymi imionami, udając dwie różne istoty. Każda z nich ogłasza się jedynym i prawdziwym bogiem, podburzając brata przeciw bratu, a sąsiada wychowując w nienawiści do sąsiada. Dwie armie powstają do boju, a każda z nich ma na sztandarze dokładnie tę samą ideę. "Bóg jest jeden!" albo "Niech żyje Naród!". Z fabryk broni unosi się dym, pola bitew spływają krwią. Wkrótce istota starsza niż czas będzie ją chleptać łapczywie, materializując się w postaci kruków, sępów czy szakali. Wszyscy fanatycy religijni okazują się dziećmi tego samego boga!

A zatem to nie abstrakcyjne wartości kierują naszym życiem, lecz bardzo konkretne obrazy, opowieści i wyobrażone postaci (archetypy). Potrzebujemy Pradawnych Bogów przede wszystkim jako pośredników. Właśnie ta niezbędność czyni ich nieśmiertelnymi. Pradawni Bogowie pomagają kupować i sprzedawać, zawiązywać sojusze, zdobywać i utrzymywać władzę. Demaskują wrogów, jednoczą przyjaciół, wyznaczają horyzont naszej wyobraźni. Ale nie ma nic za darmo. Od każdej transakcji pobierają myto w postaci odrobiny Sensu, który ich podtrzymuje przy życiu. Intuicyjnie rozumieją to pisarze, niektórzy politycy i specjalistki od marketingu -- charyzmatyczni prorocy w służbie tych potężnych istot.

Samotny dąb to bezpieczne miejsce odpoczynku i punkt orientacyjny w gęstwinie. Jego obraz natychmiast przywołuje wspomnienie chronienia się w cieniu, powidok ludzkiego kręgu, echo śpiewanych niegdyś pieśni. Dlatego właśnie dąb odrodził się w logo zaprojektowanym dla dewelopera. Dziś również obiecuje sąsiedzką wspólnotę, bezpieczną przystań w drodze do sukcesu, punkt wytchnienia. Ciężka gałąź i śpiew ptaków osiem minut od metra, pół godzinki od centrum.

Jestem dzieckiem odczarowanego świata. Zwykle nie rozmawiam z gadającymi drzewami. Nie mam poczucia, że z każdego krzaka ktoś na mnie groźnie łypie (chyba że kleszcze). Można powiedzieć, że stanowią modelowy produkt opisywanej wyżej oświeceniowej filozofii postępu. I wcale się tego nie wstydzę. Oprócz wspomnianych wad wielkie wygnanie ma na koncie mnóstwo sukcesów: eradykację ospy, zwiększenie plonów, powszechną edukację, demokratyzację sporej części globu.

Dlatego nie utożsamiam się z pojawiającym się często na kartach tej książki narzekaniem na technologię. To głos Heńka, nie mój! Mimo to uważam, że warto się przyjrzeć racjom stojącym za takim myśleniem. Warto zrozumieć, dlaczego technologia tak często nas przeraża. Dlaczego wszyscy od czasu do czasu czujemy się nieswojo, wchodząc w świat wirtualnej rzeczywistości i sztucznej inteligencji z naszymi mózgami i ciałami ukształtowanymi wśród drzew lub na sawannie.

Mam okazję współpracować z koleżankami i kolegami reprezentującymi nauki ścisłe, pomagając im w popularyzacji wyników badań i analizując ich społeczne postrzeganie. Dlaczego ludzie obawiają się szczepionek? Co napawa ich odrazą w organizmach modyfikowanych genetycznie? Dlaczego mamy tendencję do przeceniania ryzyka związanego z energetyką jądrową i niedoszacowywania szkód, jakie wyrządza nam spalanie węgla? Jakim cudem, mimo jednomyślności wśród ekspertek, publicyści, politycy i twój wujek wciąż podają w wątpliwość związek naszych poczynań ze zmianami klimatu, a wiatraki, rowery czy zmiana diety wydają się im fanaberią lub niebezpieczną wrogą ideologią?

Niewiele będziemy mieli pożytku z nowych leków, szczepionek, technologii rolniczych czy koncepcji urbanistycznych, jeżeli ludzie odrzucą je z powodu niezrozumienia, lęku albo fałszywych nadziei ulokowanych gdzie indziej. Te społeczne uwarunkowania są równie realne jak wirusy czy emisja CO<sub>2</sub>. Lęki i uprzedzenia nie znikną tylko dlatego,

że ktoś na jakiejś sali wykładowej albo w studiu telewizyjnym gniewnie tupnie nogą i powie, że to tylko mity. Ekspertkom od szczepionek tłumaczą często, że mity są jak wirusy -- trzeba poznać ich strukturę i zrozumieć mechanizmy transmisji, żeby opracować rozsądny program przeciwdziałania epidemii.

Jeśli ktoś nie lubi horrorów, cały koncept Pradawnych Bogów może potraktować jako metaforę -- poręczne narzędzie analizy zbiorowych nadziei i lęków. Konglomeraty wyobrażeń i idei organizujące zbiorową wyobraźnię nazywam tu bogami, bo tak jest i łatwiej, i ładniej. Bo tak czyniliśmy przez tysiąclecia, nim te istoty schowały się za zasłoną utkaną z konceptów biologicznych, socjologicznych i psychologicznych. Poza tym propozycja, by opisać mity językiem charakterystycznym dla mitu, wydaje mi się elegancka.

A zatem z punktu widzenia współczesnej nauki bogowie to nic innego jak tylko jedna z nazw, jakie ludzie przez wieki nadawali normom kulturowym kierującym ich życiem. Tak rozumiane bóstwa jak najbardziej poddają się naukowemu poznaniu. Za pośrednictwem mitów wywierają realny i mierzalny wpływ na nasze poczynania.

Kto chce zyskać większą kontrolę nad własnym życiem albo wpływać na poczynania innych, musi zrozumieć, gdzie leżą źródła Sensu. Poznać mitologię organizującą zbiorową wyobraźnię. Przemówić do ludzi językiem snów i pieśni albo ich współczesnych odpowiedników -- reklam, seriali, internetowych legend miejskich.

Pradawni Bogowie są starsi niż dobro i zło. Niewiele ich obchodzi nasze normy etyczne. Ludzie żyjący z propagandy, oszustw i siania zamętu dawno już zawarli sojusz z niektórymi z tych potężnych istot. Żeby stawić im czoła, my także musimy zawrzeć z Pradawnymi Bogami przymierze, a przynajmniej rozejm.

Choć oczywiście, jak uczą nas mity, tego rodzaju pakty to zawsze ryzykowna sprawa.

\* \* \*

*Przepraszam, ale nie mogłem się powstrzymać.*

*Jaworski przeżyje. Takie powroty mają jednak swoją cenę. Wy-  
cieczkowa Rodzina już nigdy nie będzie taka sama. Nadal będą po-  
dróżować. Nadal będą nagrywać. Tyle że ich materiały raczej nie  
spodobają się sponsorom. Zachowają nawet suwana, choć nieco  
zmieni on kolor. Uśniejów okaże się dla naszych bohaterów bramą do  
zupełnie innego świata (w sensie metaforycznym i dosłownym). Żeby  
zrozumieć rządzące nim zasady, będą potrzebowali książki, która jest  
świecznikiem. A także rady Nieustraszonego Pana Kota.*

## PODZIĘKOWANIA

Pisanie podziękowań jest trudniejsze niż pisanie książek. Zawsze umieram ze strachu, że kogoś pominę albo napiszę coś niestosownego. Ale ten projekt był tak różny od książek, nad którymi dotychczas pracowałem, że naprawdę dużo mi się zebrało wdzięczności...

Dziękuję drużynie Wydawnictwa Literackiego za zaufanie, odwagę i entuzjizm, z jakimi wyruszyła ze mną w tę niezwykłą podróż.

Wielkie dzięki dla Pawła Poszytka za czas poświęcony na Mazurach i celne, praktyczne uwagi do pierwszej wersji maszynopisu. Z kolejnymi wersjami mierzyli się: moi Rodzice i Teściowie, siostra Monika i syn Adaś -- wszystkim bardzo jestem wdzięczny za komentarze, pomysły, a przede wszystkim za przekonanie mnie, że warto tego suwana pchać dalej pod górkę.

Mojej wspaniałej rodzinie dziękuję za cudowne wakacje w Beskidach, które stały się inspiracją dla przygód opisanych w tej książce. Kocham was kocio!



## PRZYPISY

[1] Mircea Eliade, *Sacrum i profanum. O istocie religijności*, przeł. Robert Reszke, Warszawa 1996, s. 168.

[2] Charles Baudelaire, *Le Joueur généreux*, [w:] *Petits Poèmes en prose*, Paris 1869, s. 90 (przekład własny autora).

[3] Jolanta Brach-Czaina, *Szczeliny istnienia*, Kraków 1999, s. 11.